

przykrość. Niezaczepieni wyszli północną bramą Taly.

Odwrot odbywał się prawie tą samą drogą, co podróż do Taly.

Dnia 7. kwietnia opuścili Tong-tszuan, ciągnąc wprost na północ.

Kraj był prawie ciągle górzysty, jednak między łańcuchem gór, wybiegających przeważnie na wschód, kryły się słicznie uprawiane doliny.

W jednej takiej znaczniejszej kotlinie, wzdłuż i w szersz makiem zasianej, leżało miasto Tszao-tong, jeden z najważniejszych a może nawet najważniejszy punkt handlowy między Chinami i Yunnanem.

Napływały tu z północnych prowincyj olbrzymie paki z bawełną i wyrobami bawełnianymi, nawet z angielskich fabryk, a sól i metale z południa.

Powyżej miasta Siu-tszien toczy swe głębokie wody rzeka Huang-Kiang, która przez swą splawność jest bardzo ożywionym gościńcem i pozwoliła podróżnym część drogi odbyć wodą.

Z początkiem maja przybyli do Siu-tszien. Garnier oblicza, że liczba mieszkańców tego miasta sięga do dwóch kroć sto tysięcy.

D. 12. czerwca 1868 dostali się do Szang-hai.

We wszystkich mniej cywilizowanych krajach każdy Europejczyk ma wielkie, mianowicie u chorych, poważanie. Jako istota wyższa, winien on umieć choroby leczyć; dlatego też każdy, udający się w podróż naukową, czy też jako badacz, powinien się zaopatrzyć w jakie takie wiadomości lekarskie i środki lecznicze.

Wyprawa, której dzieje staraliśmy się w krótkości zebrać, niepoślednie oddała nauce usługi; spowodowała ona mianowicie wielką zmianę w mapie Indo-Chin; bieg rzeki Mek-hong oznaczono z wielką dokładnością aż do 28° półn. szerokości; również zbadano rzeki Tong-king, Menam, Saluen i górny bieg Yang-tse-kiangi, i dało o nich pierwsze dokładne i prawdziwe wiadomości.

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMÉNIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI

swym przyjaciółom w Grecji poświęcając.

Przedmowa.

Ze wszystkich zdarzeń, które na początku tego wieku oznaczyły wewnętrzny rozkład potęgi muzułmańskiej, najznaczniejszym jest bez wątpienia zmartwychwstanie Grecji. Dotąd nie studjowano go tylko w historii wojen o niepodległość, których jest otsatnim i najświetniejszym okresem. Grecja jednak długo przedtem protestowała przeciw obcemu panowaniu, zanim Europa ujrzała ją całą, powstającą dla odzyskania swej niepodległości. W roku 1821 powstanie Greków, datujące od kilku wieków, zapoznawane, opuszczone, źle zarządzane, zdławione z jednej strony, odradzające się z drugiej, było jednak dość silnem, by ustalić na zawsze podwalinę żywotności narodu, i ożywić ognisko patriotyzmu i wolności.

Nr. 30.

Skoro Albania i Morea zostały ostatecznie podbite przez Mahometa II (1467), Turcy zwalili brzemie tak ciężkiej niewoli, taką tyranją barbarzyńską ugniatali nieszczęsne prowincje greckie, że chrześcijanie, nie chcący wyrzec się swej wiary, masami opuszczali wsie i miasta. Szczyty dotąd niezamieszkałe Olimpu, Pindu, Parnasu, Taygetu, ustronia najdziksze i najnieprzystępniejsze, zaludniły się tymi ludźmi żelaznego postanowienia, niezłomnej duszy, którzy woleli, jak mówią ich gminne pieśni, żyć w towarzystwie dzikich zwierząt, niż Turków. Wkrótce każda góra miała swoją warownię, każda skała swego klefta.

Olbrzymia praca emancypacji poczęta; trzy oznaczone perjody prowadzą Grecję od walk w górach najdzikszych, które przygotowują jej niepodległość, do walk i zwycięstw morskich, które ją uświęcają. Pierwsza walka, poczęta nazajutrz po podbiciu kraju, by się przeciagnąć aż do początku tego wieku, mało rozgłosu dostąpiła w historii. A jednak była to walka nieustająca gór z płaszczynami. Epoka ta kończy się tragiczną katastrofą góry Suli; pełna rysów wspaniałych, dostarczyła poezji ludowej Grecji mnóstwo najromantyczniejszych legend. Fotos Tsawellas jest tu najwybitniejszą postacią. W drugim okresie, powstanie górskie zwolna rozplamienia się na doliny i miasta. Wtedy wojna zmienia się nagle. Z samotnej, dzikiej walki, staje się ogólną; pokolenia rozstrzelone się łączą, prowincje powstałe podają sobie dłoń bratnią i kombinują swe siły dla zbawienia ogółu. Jedność narodu, rozbita chwilowo, reformuje się przy szczęku broni, a krew przelana ją cementuje nierozzerwalnie. Grecy wydają bitwy strategiczne, cofają się w spokojnym ładzie, wytrzymują długie obleżenia i zdobywają miasta. Missolonghi, imię chwały nieśmiertelnej, kiedy największy może z bohaterów Grecji, i największy z poetów XIX wieku śmierć znaleźli*), jest głównym punktem tej wspaniałej epoki. Państwo ottomańskie w posiadach swych wstrząśnięte, a Grecja wstaje żywa i odnowiona z grobów Marka Botzaris i Lorda Byrona. Wreszcie, w trzeciej epoce, morze poddaje nieskończoność swych głębin pod ostatnie zapasy tej niezłomnej walki. Kilka szalup biednych stawia dzielnie czoło dużym okrętom tureckim; flotyla źle urządzona, ale wiedziona przez człowieka bohatera genjuszu, Miaulis, rozbija wielką flotę ottomańską, i jej upadek utwierdza dzieło niepodległości greckiej. Trzej meże, uosobistniając chwalebnie te trzy okresy. Wojna o niepodległość skoncentrowana z razu w wąwozach gór, potem w miastach, następnie na morzu, ma za przedstawicieli Fotos Tsawellasa, Marka Botzaris i admirała Miaulis, z których każdy, kolejno nadał jej wybitne piętno swego genjuszu. Fotos Tsawellas jest pierwszym z tych nieśmiertelnych, których oparci na zdarzeniach czerpanych w miejscu, chcemy postawić przed oczy wasze.

Fotos Tsawellas. **)

I.

(Panu Leonidas Frangudis, konsulowi w Kanei (obecnie w Tryeście) poświęca ten życiorys pamiętny jego dobroci tłumacz.)

Kanton Suli, położony mniej więcej w środku Epiru, o mil dwanaście od przystani Ambracia,

*) Marco Botzaris i Lord Byron.

**) Właściwie Photos, które skrącamy.

a o czternaście od Janiny jest najeżony górami prawie nieprzystępnymi, przez które Acheron, zwany dziś Maupotamos (rzeka czarna), pedzi grzmiąc w bezdenne przepaście. Kraj ten, zewsząd od natury stworzony warownią olbrzymią, tylko ciasnymi otwiera się wąwozy. W początku oktobra 1853 opuściłem miasto Arta i wszedłem w dziką okolicę powiatu Suli, ścieżką, wiodącą raz zawrotnymi pochyłościami olbrzymich wyżyn, raz szorstkimi gardłami wąwozów, po nad szumiącym wśród lasów Systrumi dawnym Kokytem, inną rzeką śmiertelnej pamięci. Nie bardziej odpowiedniego ciemnym podaniem mitologicznym, nad obraz tej strasznej okolicy. Jest to chaos skał spiczastych, otchlani, stromych szczytów, dzikich i poszarpanych otchlannemi przerwami.

Mimo groźnego opisu, jaki mi robiono, gdy opuszczałem Ateny, czarna groza i opustoszenie tych gór, przeszły wszelkie moje oczekiwania. Głuche szlochanie strumieni, wzbierających za najmniejszym deszczem, są jedynym głosem przerywającym głuchą ciszę tej samotni. Na żadnej roślinności nie spocznie oko znużone nurzaniem się w przepaściach i spotykaniem szorstkich wypukłości. Niekiedy krzak oleandru różowo rysuje się na skalistym tle popielatym. Na samotnych wyżynach, rzadkie bukiety świerków cichym dreszczem trzmiela, to szumią za najślabszym wiatru powiewem, niekiedy źródła rozmarzłej wody zwierciadła się ku niebu. Od czasu do czasu, góra lub skała ku południowi zwrócona, schyla się łagodną pochyłością i tworzy zielone przedmurze, niekiedy po nad niem wybłyska jakaś przestrzeń czerwonawa: są to szkielety dębowego lasu, spalonego przez nieroztropność lub dziką fantazję górskich pasterzy.

Zdziczyli ci koczownicy są jedynymi istotami, które tu przechodzą. W ciągu całego przejścia mego przez góry, jedynego napotkałem pasterza, który opuszczał z swą trzodą iglaste turnie, by się udać na zimowe leże nad cieplejsze wybrzeża Ambracji. Jednak, nie ma lat 60, jak mały ludek, pełen życia, istnie homeryczne plemię, kwitło w tych niedostępnych regionach, z kąd rozciągało swe orle panowanie nad okolicznymi płaszczynami. W końcu XVI wieku, kilku ludzi przybyłych z różnych stron Epiru, spotkało się u progów tego dotąd niezamieszkałego kraju. Uchodzili oni przed Turkami i pojęli, że odtąd tylko te niezdojbyte wyżyny mogą być gniazdem ich rodzin i ich wolności. Inni wygnańcy, nadszali zwolna, powiększając chrześcijańską kolonię. Około roku 1700 liczba Suljotów wynosiła około 3000, zorganizowana w rodzaj wojennej konfederacji. Zasłonięci skałami nieprzystępnymi, i wzniecający obawę władz tureckich, które napróżno usiłowały wysadzić ich z tego potwornego schronienia, zniewolone zostały z czasem do uznania ich niepodległości. W celu zdobycia żywności, której skały nie mogły dostarczyć, Suljoci opanowali część dolin i wąwozów przyległych, których mieszkańcy dawniejsi otrzymali nazwę Parasuljotów, czyli Suliotów *) przyłączonych. Ludność górską stanowiła cztery wioski: Kiaffa, Avarikos, Samoniwa i Souli; rzucone na wysokich grzbietach skał, których nie można osiągnąć inaczej, jak przebywając drogę czteromilową, poprzecinaną bryłami skał oberwanych i tysiącami przepaści, od mili do mili wznosił się Pyrgos, rodzaj wieży fortecznej, w miejscu najtrudniej-

*) Historia Souli i Parga przez p. Parrevas. Wenecja 1815.

szem do przejścia. Cztery te wioski połączone były z sobą mostami z drzewa, rzuconymi po nad otchłanie. Najprzód Kiaffa, wznosiła się nad przerażającą spadzistością, z której wody deszczowe spadały ku Acheronowi. Szczyt Kunghi, ukoronowany kościołem poświęconym świętej Wenerandzie, panował nad tą osadą, będącą kluczem do zdobycia całego pasma. Awarikos i Samaniwa były zawieszane w powietrzu na trzeciej i czwartej w górę wyżynie. Wreszcie wielkie Souli czyli Kassouli, znikło na igle jeszcze wyższego, mglistego szczytu. Tam mieszkaly najznacniejsze i najstarszytniejsze rodziny, między niemi rodzina Tsawellas, Botzaris, Drakos, które według podań sięgały najodleglejszej starożytności.

Zaledwie kilka bezkształtnych odłamów, parę szczerb po murach spalonych, oznaczały mi miejsca tych wdowich siedzib — zawiązku nieśmiertelnej walki. Oto gniazdo zburzone sławnego pokolenia Suliotów, których wódz waleczny Fotos Tsawellas, zostawił po sobie wśród plemion Epiru i w dziejach niewygasłe wspomnienie. — Wdrapawszy się dopiero o zachodzie słońca na szczyt, gdzie leży Kiaffa, nazajutrz musiałem odłożyć wycieczkę na Kassouli. Z kilką towarzyszymi usadowiliśmy się tam małą karawaną, w ruinach fortecy, którą Ali pasza wznosił w tem miejscu. Te gruzy jedynie świadczą o przeszłości tych przybytków, i od czasu do czasu zbyteczna gwardja kilkunastu Abańczyków stanowi straż tych upadłych murów, które zaledwie przeciw natarczywości żywiołów ochronić zdolne.

Noc zapadła szybko, gdyż w tych stronach zmierzch trwa chwilę, a przejście z światła do ciemności niezmiernie szybkie. Znużenie i natłok wrażeń sen oddalały odemnie. Prosiłem przewodnika mego, by dalej ciągnął swe opowiadania w dzień poranne, ku czemu zdał się mieć wielką ochotę. Człowiek ten, którego najalem w Arta dla niezbladzenia w nieskończonych labiryntach gór, należał także do ostatnich wycieczek w wojnie o niepodległość. Utracił nawet jedno ucho. Turcy puścili go z niewoli, w którą był wzięty, pod warunkiem, by się zobowiązał więcej przeciw nim nie podnieść broni. Zanim jednak wyszedł, ucieli mu ucho (!) by w razie powtórnego schwytania był poznany i zaraz zabity. Znał on na palcach historii Polemarka Souli Tsawellas, którą i dzieci sióstr drobnych umieją i długo powtarzać będą tak dla wielkich wspomnień, które obudza, jak dla złaczonych z niemi nadziei, o czem nastąpi. Agojata mój skończył swe opowiadanie taką perorą: „Walka nie jest skończona, skończy się wtedy dopiero, gdy Tsawellas powróci.“ Na moje zdziwienie, wytłumaczył mi to mistyczne proroctwo, mówiąc, że w całym Epirze panuje wiara, iż Tsawelles nie zginął, ale powróci kiedyś, by co do nogi wytepić wszystkich Turków*). Pytałem go się, czy wnoszą, gdzie przez ten czas wielki wódz spełnia swą misję aż do czasu, gdy będzie mógł wrócić? Odrzekł mi, że to niewiadomo, ale że Fotos Tsawellas żyje i spełni jeszcze wiele cudów waleczności. „Wtedy dopiero, dodał, Grecja będzie wolną, gdy w Epirze ani na całej ziemi żadnego Turka nie będzie.“ — Taką jest potęga wpływu, wywarta przez Polemarka na wyobraźnię ludów w Epirze, że legendy ich nie zadowalniają się nieśmiertel-

*) Dziwna; to samo mówiła mi ludność Libanu o swym ukochanym bohaterze Jusuf Beja, gdym podróżował po Wschodzie.
(Przyp. Hum.)

nością przywiązaną, do imienia bohatera, nadając mu (jak i legenda o Barbarossie) życie nieśmiertelne na ziemi, i że każą mu jeszcze powracać na scenę świata, by ostatecznie zdobyć tryumf rasy greckiej nad wrogami. Jest w tem treść głębsza, charakteryzująca usposobienie całego kraju. I pielgrzymka nasza po jego okolicach przeświadczyła nas, że choć Tsawellas nie żyje, genjusz, który go ożywił, został wśród żywych i płonie w ich duszach. Nienawiść i wzdarda Turka dosięgają tam szczytu. Sąsiedzi małego królestwa Grecji, Epiroci, wzdychają do połączenia się z nimi. Duch buntowniczy ciągle robi wśród nich, i niewątpliwie uczucie narodowe już po kilkakroć wybuchające, wyloni wreszcie męża obdarzonego jak Tsawellas wyższością umysłu, energją olbrzymią i wpływem potężnym na bratnie plemiona.

(C. d. n.)

Z literatury niemieckiej.

Pamiętniki hrabiny Platerowej. (Aus meinem Bühnenleben, von Caroline Bauer. Berlin. 1876.

Sprawozdanie przez M. K.

W drugim już wydaniu wychodzą te pamiętniki, nietylko w Niemczech rozchwytywane, ale tłumaczone na inne języki, jak szwedzki, angielski i holenderski. Nas interesują one także, raz z powodu, że autorka, należąca niegdyś do najznakomitszych artystek dramatycznych w Niemczech jest dzisiaj żoną znanego patrioty polskiego, powtóre, że autorka pochodzi z polskiej rodziny Poniatowskich, której jedna gałąź z powodu wyznania protestanckiego wyszła z Polski do Hessji, porzuciła nazwisko dawne, a przyjęła nowe niemieckie, oznaczające skromność ich nowego położenia. Lecz i tutaj niebawem do godności szlacheckiej wyniesieni, jako Bauerowie w wojsku służyli. Ojciec i brat autorki byli oficerami. Powyższe względy atoli nie byłyby nas spowodowały, aby się obszerniej zajmować dziełem autorki, gdyby nie zalety książki samej, tak ujmującej żywością i prostotą opowiadania, tak bogatą przytem w szczegóły, odnoszące się do życia artystycznego i literackiego, że mało jest książek nowszych, któreby w porównaniu z tymi pamiętnikami iść mogły. Literackie biografje dają nam zwyczajnie dokładne, sumienne daty ze życia pisarzy i znakomitości innych, ale nigdy nie przedstawiają ich tak, jak oni rzeczywistość wyglądali; nigdy biografje nie sprawiają i nie dają do tego, aby sprawić opisem to wrażenie, jakie żyjący robił istotnie na ludzi. Otóż właśnie z tej strony, która przedewszystkiem kobiecemu oku podpada, umiała autorka o bardzo ciekawych i znakomitych osobistościach rzucić rysów kilka, które nam niekiedy nadzwyczaj trafnie charakteryzuje znane już z kądinąd postaci. O ostatnim z Wazów królu szwedzkim tak pisze autorka:

Król Gustaw był nieszczęśliwego charakteru: był uparty, zabobonny, pełen dziwactw i urojeń, przejęty całą nieomylnością i wszechmocą swej królewskości. Tem dotkliwiej dotknął króla z Bożej łaski cios niespodziany, gdy go spiskowi 13. marca 1809 r. w Stockholmie uwięzili i gdy mu w piętnaście dni później matka jego, nieszczęśliwa owdowiała królowa Zofia Magdalena, uwięzionemu w zamku Gripsholm z płaczem wyznała, że nie jest synem Gustawa III., że nie jest

prawowitym królem Szwecji. „Zrzeknij się — radziła mu — dobrowolnie tronu, zanim Stany publiczne winę matki twojej ogłoszą“.

Następnego dnia podpisał Gustaw Adolf IV akt zrzeczenia się tronu. Dopiero w grudniu wypuszczono rodzinę królewską z więzienia i pod ścisłą strażą i tajemnicą odwieziono do Niemiec, dziesięcioletniego królewicza Gustawa osobno od rodziców i rodzeństwa.

W lutym 1810 przybyła wypędzona rodzina królewska w gościnę do margrabin badeńskiej do Bruchsal, której córka była królowa szwedzka słynna niegdyś z piękności. Gustaw Adolph IV, który przyjął urzędowy tytuł hrabiego Gottorp, zachowywał tutaj jeszcze w Bruchsal najściślejszą dworną szwedzkiego ętykię. Na wieczorach nigdy nie siadał, a więc i nikt z obecnych siadać nie mógł.

Na wielkanoc miał się mały dwór szwedzki przenieść do romantycznego zamku Meersburg nad jeziorem Bodeńskim, który w tym celu urządzony został przez dziadka królowej, Wielkiego księcia Karola Fryderyka. Lecz nagle król kazał zamówić extra-pocztę i po krótkim pożegnaniu z żoną i dziećmi wyjechał sam w świat — aby się nigdy nie zobaczyć z rodziną. Nikt się nie dowiedział, jakie nowe urojenie nieszczęśliwego w samotne i niespokojne życie wpędziło.

Królowa pojechała za nieszczęśliwym mężem podczas lata do Schaffhausen, później do Altenburgu w Saksonji. Król zażądał, aby żona z dziećmi osiadła z nim w Herrenhut, gdzie hrabia Zinzendorf nową sektę religijną założył, i aby z nim do sekty przystąpiła. Gdy się na to królowa zgodzić nie chciała, odjechał małżonek bardzo rychło rankiem, bez pożegnania. Od tego czasu nie widzieli się już nigdy.

Coraz to z większym niepokojem błądził król bez ziemi. Kiedyś najął statek w Kołobrzegu, aby się udać na statek angielski. Pruski komendant fortecy przeszkodził temu. To znów wybrał się w drogę do Rossji. Ponieważ nie miał paszportu, przeto go cofnęli na granicy.

Potem udał się do Anglii. I tu nie miał spokoju. Po bitwie pod Lipskiem ofiarował służbę swoją jako adjutant swemu dawnemu śmiertelnemu wrogowi, nieprawemu cesarzowi Napoleonowi. Napoleon zimno odmówił. Potem zjawił się hrabia Gottorp na kongresie w Wiedniu, aby żądać dla siebie i syna oddania korony szwedzkiej. Odpowiedziano mu wzdrygnięciem ramion. Niespodzianie pojawiła się we wszystkich dziennikach gadatliwa odezwa do całego chrześcijaństwa, aby hrabiemu Gottorp towarzyszyć w pielgrzymce do Grobu świętego i przyłączyć się do zakonu „czarnych braci“, który zamierza założyć. Żadnemu z „czarnych braci“ nie wolno nigdy strzyżać brody na znak stałości... Same bańki mydlaue, które w następnej minucie pękały.

Napróżno prosił król wydziedziczony „swych kochaanych Norwegów“, aby go pod imieniem „Gustawsona“ przyjęli do siebie na pospolitego obywatela norweskiego. Szwajcarja była wspaniałomyślniejszą i zrobiła Gustawsona obywatелеm i pułkownikiem.

Od tego czasu zabronił stanowczo, aby go tytułowano królewską mością. „Jestem pułkownikiem szwajcarskim, mówił on, i zarazem chodzącą stryżą na święte przymierze które się tak chwali swego legitymizmu“.

W Lipsku nieszczęśliwy pułkownik Gustawson obętnie do teatru i śladował w tylnym rzędzie

łoży dyre...
„Wolnego...
się pokaz...
— szatan...
i opuścił...
w nim n...
bobonny

Pewni...
lam w h...
przeciwk...
zajechał...
w niej sz...
w zapięty...
kłą żyw...
konie. C...
torby. N...

Ludzi...
kiego, ...
daliwie...
ślą nie...
mieszka...
koni od...

W t...
przez B...
dzinę.

A prze...
wyznac...
ze skro...
menty,
Szwecji

Gdy...
nala w...
Gustaw...
trując...
zwłoki...
stał w...
winięty...
kownik...
szy tej...
dzinie.

Jeszc...
niespoko...
szyczan...
jego dop...
w grob...
córki je...
Oldenbu...

O cza...
księżnic...
pieszczo...
szkańcy...
stepna r...

Loro...
w Kart...
Postepo...
w najpr...
była w...
głej loży...
Na scen...
w kaplic...

księżnic...
wnością...
Badea, ...
się księ...
wiał, za...
zwoitości...
nagany ...
razem, że...
przedstaw...
ze swym...

Ledwo...
dzie w pa...

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ
EUGENJUSZA YEMÉNIS
byłego konsula Grecji w Paryżu.
Z francuskiego przełożył
WŁADYSŁAW TARNOWSKI
swym przyjaciółom w Grecji poświęcając.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz wyszedłem na stromą górę Suli. Kilka odłamów muru, szeroki kamień okopcony od ognisk pasterskich, kilka ceglanych pomników upadłych w boju, które przypadek ochronił — oto wszystko, co tam napotkałem. Z tego szczytu wzrok ogarnia wszystkie pasma gór; nie nie zdoła oddać straszliwego widoku tych smutnych samotności, wśród których pamiątki niedawnej przeszłości na każdym kroku przypominają cienie bohaterów. Nocowałem znowu w Kiaffie, nazajutrz wyszedłem z gór. Wstąpiłem tam jako turysta, ciekawy miejsc tych po tem, co zasłyszałem o nieustraszonosci i tragicznym końcu Suljotów, i bardzo skłonny do współczucia z tem wszystkim, co słyszałem o Tsawellasi, przekazane przez usta ludowe. Gdy jednak na własne oczy ujrzałem dotykalnie te miejsca, gdy prawda szczątkami tego ołtarza tyłu ofiar zawolała do koła — wrażenie moje stało się jednym z tych, które już nie zacierają się w życiu. Dramat powstania Suljotów — ich walka bohaterska — stanęły mi przed okiem z majestatem tak wielkim i wspaniałym, że ani części jego pierwej nie czułem w opowiadaniach gminnych, tem mniej w zimnych kompilacjach historyków. Wróciwszy do Aten, badałem najgorliwiej osoby kompetentne, dla rozróżnienia historii od legendy, i nie zawahałem się skreślić ten rys dziejów, którego szczegóły zasłyszałem od sędziwych weteranów *) samej walki o niepodległość.

W końcu czerwca 1792, Ali Pasza, którego imię ohydne unieśmiertelniło się w rocznikach despotyzmu, wychodził z Janiny na czele 10.000 ludzi. Szedł on, jak mówił, na skarcenie miasta Argirokastron, które jednemu z jego zauszników zamknęło bramy. W istocie zaś była to tajemnie i długo przygotowana ekspedycja przeciw Suljotom, którzy z swoich orlich gniazd nie szczydziłi upokorzeń pysze despoty. Ali Pasza postanowił zemścić się monumentalnie. Dla oszukania Suljotów i podejścia ich, udał, że zawarł z nimi przymierze i wezwał ich pomocy. Ci zaś z szlachetną dumą posłali mu 70 ludzi pod dowództwem dzielnego kapitana Lampros Tsawellas. Lampros wziął z sobą syna swego Fotos, by się obznajomił z sprawy rycerskimi.

Fotos, liczący zaledwo lat 15, po raz pierwszy opuścił swe góry. Dotąd wykonywał tylko ćwiczenia wojenne Klettów w czasie pokoju: tańce wojskowe, gonienie na ostrze, improwizacje poetyczne, lowy, oto były szlachetne rozrywki, którym radzi oddawali się Suljoci. Lampros z oddziałem swoim złączył się z Ali Paszą **) nad brzegiem

*) Miałem szczęście poznać osobliwie jednego z nich, Kamasia szarybłatego starca, w r. 1874, gdy po raz drugi odwiedzałem go w Grecji. (P. Hóm.)

**) Ali Pasza z podpadłej rodziny Albańskiej, urodził się w Tebech i wczesnie począł rozbić po górach. Tem nieco zbagaczony, kupił posadę Beja nad swym krainem. Całym szeregiem morderstw, występków, zdrad, opuszczał kolejno Macedonię, Epir, Tessalię, i znowu za posiadanie od Forty wydarł posiadłość. Raz na tym stopniu, pragnął zostać niepodległym; mianowano nawet,

rzeki Tyanis, który tam na nich oczekiwał. Nazajutrz wyruszyli dalej przyboczni sztabowi Alego. Wrócili tegoż dnia oznajmiając, że odnieśli świetne zwycięstwo nad posterunkami, przed Argirokastron. Ali, udając że w tem widzi dobrą wróżbę, wstrzymał pochód i resztę dnia chciał, jak mówił, spędzić na wesołej zabawie. Skoro ustał upał i schyliło się słońce za góry Pindu, Albańczykowie zaprosili Suljotów do pewnych wyścigów, wykonywanych obyczajem starożytnym. Zależą one na przesadzeniu jak najszerzej głębokości w rozpedzie. Suljoci, znani ze swej zręczności, przystali szlachetnie, by każda grupa składała się z trzech Albańczyków, a jednego tylko Suljoty. Ten układ niezmiernie zaostrzył ich ambicję i pochlebił miłości własnej. Nagrody zwycięzców zostały oznaczone, rozbroili się wszyscy dla tem swobodniejszego ruchu i rozpedu. Sam Ali pragnął być sędzią wygranej. Wstąpił na wzgórek, z kądem wzrokiem objął całą płaszczyznę. Wkrótce z niezmiernym zgiełkiem poczęły się gonitwy. Suljoci od razu poczęli zwyciężać; Fotos między nimi celował zwinnością. W upojeniu zwycięstwem, rozigrani górale nie spostrzegali, że tłum widzów ścieśnia się w około nich. Młody Tsawellas, wyprzedzwszy wszystkich niesłychanym skokiem, został ogłoszony zwycięzcą. Ali Pasza wstał, klaszcząc w ręce. Na ten znak Turcy, baczni na każde jego skinienie, wpadli gwałtownie na Suljotów, znużonych i bezbronnych, powalili o ziemię i okuli ich w łańcuchy.

Równocześnie Ali przyspieszonym marszem ruszył na Suli, spodziewając się tem łatwiej je zdobyć. Na szczęście jeden z jeńców o nadzwyczajnej sile, stargał w nocy swe więzy i uszedł tajemnie. Omylił strażę i z szybkością wichru puścił się ku Selleidzie, gdzie przybył zawczasu, by wszystkich do alarmu pobudzić. W parę godzin byli gotowi. Jak zwykle w takich razach, najprzód zniszczyli całą swą żyzną okolicę, owoc swej pracy, potem znikli w górach. To też Pasza przybywszy na miejsce, ze zdumieniem zastał pustynię. Strychy i piwnice puste, futory próżne, źródła zabite, studnie zasypane, pola wyżniete co było możliwe w lipcu. Kilka psów zgłodniałych na widok Turków pierzchoło ku górcom Suli, dla ostrzeżenia swych panów. To widząc, Ali Pasza chciał z nimi traktować o pokój. Uwolnił Lamprona, pod warunkiem, by tenże namówił współbraci do złożenia broni. Zaledwo uwolniony, Lampros wymową swoją rozplomieniał zapal górali i przygotował do walecznego odporu, poświęcając tem samem drogiego syna i resztę ziomków pozostałych w ręku okrutnika.

Fotos i jego towarzysze, posłani do Janiny i uwięzieni, kędy syn nieodrodny Ali Paszy, Wely, do srogości ojca dorzucił jeszcze to, że ich utrzymywał ciągle w mniemaniu, jakoby za chwilę mieli umrzeć. Zawołał Fotosa, którego jako najmłodszego mniemał trwożliwym: „Jutro — rzekł mu — będziecie żywcem spaleni. — Dobrze zrobisz, — od-

że nie wahał się marzyć o sultaństwie i założeniu nowej dynastji. Z potężnym uzdolnieniem łączył skrytość i fałsz bez granic, a dzikość dzikiego zwierzęcia. Z interesu zemsty, czasem z kaprysu, mordował niekiedy tysiące ludzi, trwał i rozstrzeliwał całe plemiona męskie i żeńskie. Nieprzystępny wyrzutem sumienia, był zabobonny bez granic; złowrogie zmory przerywały ciągle krótki sen, jaki miewał duch jego febrycznie czynny. W biały dzień zdawało mu się widzieć się otoczonym przez swe ofiary. Cały tem nie starczyłoby do spisania jego okrucieństw, a wśród zbrodni bez liku, głównym planem jego życia było wytepienie Suljotów. (P. a.)

rzekł mu młodzian — tak samo postąpi mój ojciec z twym ojcem i twymi braćmi, gdy ich pochwyta* *). I pewny tego wyroku, napominał towarzyszy do mężnej śmierci. Po trzech dniach i tyluż nocach przeżytych w grozie doraźnego skonu, nagle widzą, że drzwi więzienia się otwarły. Pewni śmierci, odzyskali wolność i swoje góry. Na głowę zbity, w walce często opiewanej w pieśni Suljotów, Ali pasza zmuszony był zawrzeć pokój i oddać jeńców, których z żalem swym na razie nie pomordował. Fotos w tej potrzebie zapalał przeciw swemu wrogowi nieubłaganą nienawiścią, która wkrótce objawiła się w czynie. W parę miesięcy zamknął oczy swemu ojcu, poległemu w skutek ran odniesionych w ostatniej walce. Pod wpływem tych zdarzeń zemsta osobista i rodzinna wkrótce zmieniła się w zemstę narodową, całooplemienną, którą pobudził Ali Pasza Epiru. Dwóch wrogów — Ali i Fotos, odtąd ciągle stają przeciw sobie, za nimi ich plemiona zażarte, i za ruchem dramatu — widz — historia.

W chwili skonu Lampros Tsawellas polemarka oddający ducha, zwołał wszystkich wodzów. Z mężkiem pożegnaniem podniósł swój uświęcony życiem oręż, i oddał go w ręce swego syna. Zrozumiano ten ruch umierającego, i Fotos, obwołany wodzem polemarką Souli. Pieśń gminna o śmierci tej mówi:

„Lampros zglądził pięćdziesiąt Bejów, sto Agów, tysiąc Turków, wreszcie i sam mężnie poległ i Pallikary płaczą w koło niego.“

„Ubierzcie go w najspanialsze szaty; ustrójcie go na ostatnie święto wieczne, a głowę mu złóżcie na poduszce z laurów.“

„Lampros ma syna, dał mu swój samopał i miecz srebrno-pochwy. — Bądź wodzem — rzekł mu — postaw mię stojąco w grobie, i zrób otwór przy uchu mojem, bym słyszał dźwięk mej broni w bitwie.“

„I pragnę byś przechodząc, co wieczór wymienił mi nazwiska tych, co padli pod twymi ciosami, aż dokąd usłyszawszy imię Alego, nie zadrzę z radości w grobie moim!“

Walecznego wodza pochowano z całym przepychem, przyjętym w takich razach przez Klettów. Strojnego i zbrojnego pokryto ziemią; każdy z nich przystąpił, a ucałowawszy, szeptał mu do ucha zlecenia na tamten świat do drogiej sobie osób. Na noszach z gałęzi i kwiatów poniesiono go do wiecznego przybytku. Od tegoż dnia Fotos Tsawellas nie miał innej myśli, jak pomścić ostatnią krzywdę, Ali zaś, jak powetować kleskę i wytepić Suljotów. Cierpliwszy jednak od swego przeciwnika, Ali czekał zadania sobie urazy, i do raptownego natarcia się gotował.

Niestety, Fotos podzielał porywczosć współplemieńców swoich, dumnych bez granic swem przastarem pochodzeniem i odwieczną swobodą. Chrześcijanie Seleidy gardzili chrześcijanami płaszczyzn, pozornie znoszących jarzmo. Nadto dumą swoją zniechęcili sobie wodzów Tesprocji i Chamury, z którymi łatwo było zawrzeć przymierze, gdyż panowie albańscy aż do rządów Ali Paszy byli zupełnie wolnymi; on pierwszy pokusił się o ich podbicie. Niestety, rozwiązanie walki, wiedzionej z przewagą bohaterstwa nad rozstrojnością, łatwem było do przewidzenia.

*) Wiemy to od siostrzeńca Fotosa, generała Klous Tsawellas.

w głównym oltarzu, „Marja Magdalena“ sławnego Skrety (Scrota) i „S. Florjan“ Molitora, którym nie mogłem przypatrzeć się. Również potrzeba oglądać Helitscha „Dusze w czyściu“ i „Grób s. Katarzyny“.

Proboszczem tego kościoła jest znany w dziejach czeskiej literatury ksiądz Wacław Swatopluk Sztule (ur. dnia 20. grudnia 1814 roku w Kladnie), dla Polaków bardzo przyjaźny i kapłan wcalem znaczenia tego słowa. Ksiądz Sztule sławny jako spowiednik, nie ma też przejeżdżającego Polaka-katolika przez Pragę, któryby się doń nie udawał po moralne umocnienie. Mówi bardzo ślicznie po polsku, i pisuje czasem z Pragi korespondencje do pism polskich. Pisze i pisał bardzo wiele, ale najwięcej sławy zyskały mu pisma katolickie (Perły nobeske 1865, Żywot s. Cyrilla a Metheda 1857, Żywot s. Prokopa 1859, oraz innych świętych katolickiego kościoła, „Renau a prawda“ 1864 i inne), oraz przekład „Konrada Wallenroda“ Mickiewicza, wierny i piękny. Ten kapłan, który jest współpracownikiem ogromnej liczby pism czeskich (Vezela, Przitel mlađeže, Wlatsimil, Rodinna kronika, itd.), jeszcze osobno napisał i wydał bardzo wiele dzieł, i może zasługuje na większy szacunek jako człowiek i dobry kapłan, aniżeli jako autor; to też wszyscy przybywający do Pragi, zwłaszcza od nas, szukają jego znajomości. Polaków miluje serdecznie, Zygmunta Krasieńskiego, Jerzego Lubomirskiego był szczególnie przyjacielem. Nie wyobrażam sobie też nikogo z rodaków, któryby mógł nie powziąć wielkiego szacunku dla tego zacnego Czecha i księdza. Jego życie i pisma, to ewangelja, jego postawa nawet — uspokojenie. Odegrwał ważną rolę w narodowym budzeniu się czeskim, jako nauczyciel religji w Staromiejskim gimnazjum. Należy do tych postaci, które się wszędzie i zawsze szanować będą i muszą, o księdzu Sztule więc mówić można tylko z najwyższym szacunkiem.

Niewielki cmentarz, który widzimy przed kościołem, jakośmy mówili, należy nie do najlepiej utrzymywanych w świecie, ale na nim spoczęło kilka osób godnych uszanowania i czołi nawet za granicą.

Pierwszy pomnik, który wzrok nasz uderza, prawie tuż u kościoła, wzniesiony jest kosztem zgromadzenia „Swatobor“, pod nim spoczywają zwłoki znanego świata Wacława Hanka. Umarł dnia 12. marca 1861 r., urodził się 1791, dnia 10. czerwca w Horzenowci. Imię jego wstawiło odkrycie „Króldworskiego Rekopisu“, co w swoim czasie sprawiło wielkie wrażenie w Europie i przyczyniło się w Czechji do żywszego umysłowego ruchu. Był to człowiek uczony i mądry, ale zwyczajny, wywarł wpływ wielki na ojczyznę wydawnictwami, ale w literaturze jest bez znaczenia, i nie jako autor dzieł oryginalnych nie zostawił po sobie godnego wiecznej sławy. Tłumaczył na język czeski krakowiaki polskie. Wydawca i człowiek, Hanka, dopóki Czechja jest Czechją, będzie wspomniany i z tego stanowiska może ocenił go naród, gdy 20 tysięcy Słowian szło za zwłokami jego. Cześć więc Hance!

W rok później, tegoż samego dnia i prawie teje godziny, spoczęła na tym cmentarzu czeska Klementyna Tańska: pani Bożena Niemcowa. Grób jej jest za kościołem, bardzo daleko, u ogrodzenia. O niej to i o Wiciesławie Halku, znakomitym czeskim liryku, którego zwłoki pochowano

tu również w roku zaproszonym, powiemy niżej.

Z literatów, którzy tu znaleźli spoczynek, jeszcze godzien uwagi ksiądz Wacław Krolmos, zmarły 1861 roku dnia 24. października. Był on proboszczem w Zwikowcu; urodził się 14. stycznia 1787, ostatnie chwile spędził jako weteran w Pradze. Znany jako archeolog; szczególnie zajmowały go pogańskie starożytności. Prace swe umieszczał w „Pamatky archeologicke“. Osobno wydane były jego „Kronika powodni w Czechach“, t. j. podreczna kronika czeska, jak Niemcy mówią „Führer“, (1845), „Staroczeske powiesti, hry a obyceje“ (1845—51) z którymbym radził poznać się każdemu, chcącemu mieć bliższe pojęcie o czeskim kraju, oraz kilka innych dzieł treści duchownej. Sądzić o wartości tych ostatnich nie mogę. (C. d. n.)

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMÉNIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI

swym przyjaciółom w Grecji poświęcając.

(Ciąg dalszy.)

II.

Sposobność, do której wdychał Fotos, zdarzyła się 2. czerwca 1800. Tegoż dnia wkroczył Ali Pasza do Parasulistidy w 15.000 ludzi, których w Janinie zbierał powoli i małymi hufcami, aby nie wzbudzać podejrzeń. Napaść ta była tak szybka, że Suljoci nie zdolali unieść nawet żywności z sobą w góry, i co gorzej, zabrał ją Ali Pasza. Rozpacz chwyciła się Suljotów, tym razem pewnych skonu i męczarni przy tak nierównej walce. Zgromadzeni na placu przed kościołem św. Jerzego, przysięgli zapomnieć wzajemnych uraz osobistych, i drogo sprzedać życie. Jeden Fotos nie podzielał ogólnego skruszenia. Dzień ten był jego dniem oczekiwaniom. Skupił swe siły, wynoszące 1800 ludzi i 30 dowódców. Następnie, licząc na dzielność swych Górali, postanowił zejść z gór i stawić czoło nieprzyjacielowi. Zaledwo oznajmił to postanowienie, duch najlepszy wstąpił na nowo w żołnierzy. Miłość ojczyzny i wolności odniosły tryumf nad chwilowem przerażeniem tak niespodzianie i gromko spadłego niebezpieczeństwa. Męże, niewiasty, dzieci, klócili się o zaszczyt brania udziału w tej walce.

Fotos czuł jednak, że byłoby nieroztropnie zaraz zaatakować armie, która się rozciągała tak licznie u podnóża góry. Postanowił zwabić ich w wąwozy, a ukrywając się w skałach z góralami, zniszczyć napadem raptownym znużonego pochodem nieprzyjaciela. Albańczycy, nie spotykając żadnego oporu, wkroczyli w góry, tłumnie wpadli na pierwsze ścieżki jakie napotkali, wązkie, pochyle, strome, najeżone przeszkodami, przyklepione do skał urwisty h, ściśnięte między opokami, to nad zawrotną otchłanią zyzakujące. Derwisze idąc wśród nich, fanatyzowali przedmowami. Zwolna sunął długi wąż pochodu, co chwila przecinany i wstrzymywany to wypadkiem spłoszonego konia, który spiąłszy się dęba, runął w otchłań skały ze swym jeźdźcem, to upadkiem żołnierza, który

raz pośliznąwszy się z nieuwagi, lub niewidzialną kulą dosięgnięty, przepadł w przepaści... od świtu stanął Ali Pasza na wzgórzu Wirtzacha, z którego jednym rzutem wzrok ogarnia cały amfiteatr przepysznych gór Sellaity. Obdarzony wzrokiem jastrzebia, śledził z radością nieustanną pochód swego wojska. Czasami tracił go z oczu w jakimś wąwozie; ale po chwili zaoczył znów wyżej ponad skalą spiętrzoną lub drzew bukiem ruchome zyzaki o czapkach olonących czerwono, o pięknych kształtach głów końskich, i błyszczących ostrzach dzid, służących pod jego komendą. Tak zbliżali się napaścinicy nieznacząc ku wielkiej osadzie Suli, której lekkie wisze zbliżałone i kapane w blaskach różowej zorzy, wiejące sztandarem konfederacji, uwieńczone girlandą dymu siniego, pochodzącego z wystrzelonego muszkieta jakiego Suljoty, w czasie bitwy, podobne były swą niesłychaną wysokością, dziwną architekturą, niepodobieństwem odkrycia wiodących ku nim ścieżek, do jakiejś bajecznej fortacy z fantastycznego świata, obleganej przez złych, a bronionej przez dobrych genjuszów.

Albańczykowie wzięli wsie Awarikos i Samonika, które znaleźli opróżnione, udali się ku Kiaffie, zostawiając za sobą długi pochód z taborem. Raptem gradem kul zostali przywitani. Tam Fotos Tsawellas postanowił ich wstrzymać. Osłonięty baszta w Kiaffie z 600 ludźmi, wytrzymał w ciągu siedmiu godzin walkę piekielną z nieprzyjacielem, który się ciągle odnawiał, ale walił się setkami, pod gromem strzałów wymienione przez Fotosa miotanych. Wreszcie obie strony znużyły się, upał stał się gwałtownym, słońce zaczęło znikać na horyzoncie, żołnierze Fotosa niezdolali już dźwżyć rozpalonych karabinów; ogień obustronnie ustawał zwolna, ale niespodziewany wypadek znów walkę ożywił. Kobiety Suljotów wprowadzone na najwyższy szczyt gór, z trwogą śledziły wyniki walki; złamanie oparowało je, gdy nastąpiła cisza — słychać było tylko głos derwiszów, opiewających modlitwę wieczorną — sądziły one, że Suljotów pobito.

Moscho, matka Fotosa, siekierą przerebuje pake z kartuszami, napelnia nimi swój welniany fartuszek, rozdaje resztę swym towarzyszkom, i z 300 bohaterkami idzie ku Kiaffie, by pomścić naród lub zginać *). Nieuleknione niewiasty zdumiały Turków i zaatakowały nim się spostrzegli, a obrońcy baszty na nowo rozpoczęli szalony ogień. Moscho, walcząca w pierwszym rzędzie, wstrzymuje się nagle, wobec strasznego widoku. Dzieci wiecioru konających Suljotów czolga się, na ziemi wśród nich poznaje swego siostrzeńca; rzuca się na niego, całuje jego usta, oddające ostatnie tchnienie, pokrywa chustą skrawioną głowę i odzywa się tym lakonicznym wojeannym myrjologiem (sic): „Drogi bratanku, zapózo przybywam, by dni twojego życia ochronić, ale pomszczę się na twych mordercach“.

W tej chwili Fotos dzwoni na gwałt. Inny wojownik także uświecony w legendach, Dimos Drakos, wypada raptem z bliskiej gestwiny, w której był ukryty z kilkuset ludzi. Turcy obleżeni ze wszech stron, ogłuszeni, cofają się, pierzchając, na lew na szyję uchodzą, spadając tu i tam całą ka-

*) Pocięci prześcigali się w jej sławieniu. Oto Suli, mówią, kiedy niewiasty i dzieci idą do walki, kiedy walczą Moscho, trzymając w jednym ręku niemowlę, w drugim karabin z fartuchem kul pełnym. Oto Suli strasliwe, Suli słynne w świecie kiedy Tsawelanka walczą nad Palikary i wszystkich wyprzedza.

skadą ludzi ze stromych skal i urwisk, zostawiając krew na znak swej hańby, a orłom dzikim swe kości. Trzy tysiące ich trup zostało w tej walce. Suljoci mieli 70 umarłych, a około 100 rannych. Ali Pasza, ten podlec i okrutnik małej duszy, haniebnej pamięci, spodziewający się tryumfu nad garstką ludzi, dowiedziawszy się o klęsce, struchlał i tak stracił głowę, że uchodząc do Janiny było przedzie, w drodze padło pod nim dwa konie.

W parę miesięcy znów wychodził na tę wyprawę, ządny zemsty najkrwawszej. Suljoci czuli. Ali zwoła zbliżył się z wojskiem, gotując wielkie oblężenie z napadem. Między bejami albańskimi był Islam Prognio, który nie mógł odboleć straty swej niezawisłości i w sercu żywił kłótnię nienawiści przeciw tyranowi Epiru; zazdrościł on wolności ich Grekom Selleidy, a podziw jaki miał dla ich bohaterstwa, wzniecał jego ku nim sympatję i życzliwość obudzał dla ich sprawy. Islam wyprawił tajemnego powiernika ku Tsawellasowi z odsłonięciem planów paszy Epiru, i zachęcając do szybkiego uprzedzenia wroga. Fotos wybrał 400 Palikarów, najsilniejszych i najdoświadczeńszych. O zachodzie słońca począł zstępować z gór, z największą ostrożnością, by nie obudzić Turków, mocno śpiących swym obyczajem. Noc była ciemna, powietrze ciężkie jak przed burzą, a częste błyskawice wróżyły bliską nawałnicę. Raptem Suljoci zagrzmieli ogniem piekielnym. Obudzeni, porwali broń, strzelając na oślep w ciemnej nocy. Chmury grubego deszczu, zgromadzone w tej stronie, lunęły całą ulewą na oboz turecki, grad potężny począł ich trzepać z nieba tak, że twarz osłaniać musieli. Po trzech godzinach walki pierzchli w nieładzie, zostawiając 200 poległych, rannych i mnóstwo broni i żywności. Suljoci stracili trzech ludzi, nie do uwierzenia! Wrócili obladowani zdobyczą najpożądaną: bo prochem, kulami i chlebem.

Zdemoralizowani Albańczycy, niepomi przyśiąg, powrócili bandami do domów. Ali spostrzegł, że szybko trzeba zmienić taktykę, pod karą utraty żołnierza. Oświadczył im, że już nie będą w polu potykać się z Suljotami, tylko zamkną ich w górach tak, że pozbawią wszelkich środków do życia. To wstrzymało dezercję. Rozłożono armję tak, by otoczyć jak najzupełniej góry Suli. Przewidując to Klefci, łamali szyki Turkom; w ciągu trzech miesięcy nie było dnia, w którymby nie byli napadnięci i roboty ich nie zniszczono. Fotos dokazując cudów waleczności, paraliżował ciągle postępujące oblężenie. W końcu Turcy drżeli przed nim jako przed czarownikiem.

Imię jego, służące za okrzyk wojenny Suljotów, poczytywano za talizman. Opowiadano sobie, że kule na niego umiotane odpadają na strzelającego. Nie wiele czasu trzeba było, by wieści te wśród ludu, przyjmującego płomienną wyobraźnię wszystko postyczne, przybrały olbrzymie rozmiary.

Niestety, historia tutaj zaprzeczy legendzie. W tym właśnie czasie miał zginać waleczny wódz Suljotów. Pewnego dnia, gdy Tsawellas swym zwyczajem zapędził się z swym hufcem zbyt daleko w gorącej potyczce, jeden z Albańczyków, zbyt tchórzliwy, by go spotkać oko w oko, zaczął wazy się za skałą, celnym strzałem ugodził w głowę bohatera. Tsawellas padając, krzyknął: „Do mnie przyjaciele! zginąłem!... odetnijcie przedej mą głowę, bo ją psom rzucą!“ Zaledwo 80 Suljotów mogło go otoczyć. Walka najzajętsza się rozpoczęła, i jeszcze osieroceni Suljoci zdobyli pole, unosząc w rozpacz ciała wodza. Rana jego

głęboka, nie była śmiertelną. W kilka miesięcy zapalem nie do opisanego powitany, stanął na czele szeregów. Fotos jednak smutny był i chmurny. Zaraz rozpatrzył roboty oblężeniów, i przekonał się z boleścią, że przyszłość Suljotów zagrożona. Oprócz szanów i okopów w polach, Ali Pasza kazał wznieść w górach dwanaście wielkich bastjonów z armatami. Suli zostało zamknięte nieprzebytą warownią rowów i murów. Wycieczki partyzanckie, sprytne fortele, ani przekleństwa Suljotów, niestety, teraz nie niepomagały. Turcy nie przyjmowali walki, siedzieli w ukryciu i czekali w biernej cierpliwości rezultatu swej potwornej zaciętości.

Wkrótce Suljotom zabrakło żywności. O nią się usilnie starać zaczęli. W dzień niepodobna im było przechodzić pod ogniem krzyżowym Turków, w nocy uganiać się musieli za jakim bydłem lub workiem zboża. W ubiorach szarych futrańczych z kozy, pełząc po ziemi, z nieczyśczonej bronią, by nie błyszczała, przesuwali się pod baszty, obsadzone armatami. W tem rozpaczliwym położeniu przebywali kordon turecki, rozbiegali się po wsiach, czasem mordowali ludzi i napadali spichrze i wracali do domu*). Turcy tem zdumieni, nazwali ich Demonami nocy (*νυκτερινα δαιμόνια*). (C. d. n.)

O literaturze nowobułgarskiej.

Według K. J. Jireczka

skreślił

Aleksander Petrow.

Literatura starobułgarska, o której nieboszczyk Franciszek Matejko sumiennie napisał w 1864 roku w „Bibliotece w Warszawskiej“ rozprawę pod tytułem: „O początku i rozkwicie literatury starosłowiańskiej w Bułgarji“, kończy się z upadkiem zupełnej niezależności Bułgarji, t. j. z rokiem 1398, gdy państwo bułgarskie i kościół narodowy w ciężką popadły niewolę, i życie umysłowe, objawiające się w literaturze, naturalnym biegiem, szybko zamierało. Wprawdzie przepisywanie rekopismów, mianowicie legend i apokryfów, i pod jarzmem tureckim długo praktykowało się, obok tego zdarzają się niekiedy i tłumaczenia z greckiego; reka jednakże nienawistnych plemieniowi słowiańskiemu greków-fanarjotów, co czas i ciemnota turecka oszczędziła, nielitościwie uiszczyla, rzucając stare drogocenne rekopisma na pastwę płomieni. Jeszcze w drugiej połowie XIX wieku nierzadko przytrafiały się podobne barbarzyńskie „auto dafé“.

Z wieków średnich zasługują na wzmiankę modlitwy, przedstawiające mieszaninę serbszczyzny i bułgarszczyzny, przez katolickiego biskupa Stanisławowa dla Paulikjanów wydane. Mimo chodem dodam, że w Nikopolu i w 14 okolicznych wsiach 1674 r. mieszkało mnóstwo katolików. Wszyscy byli „Bogumilami“ aż do XVII wieku, dlatego i później nazywano ich Paulikjanami; przyłączyli się zaś do rzymskiego kościoła za sprawą biskupa Filipa Stanisławowa, który właśnie dla swej trzody duchownej napisał wspomniane modlitwy kirylicą. Więcej nie nam nie przekazały wieki średnie godnego uwagi.

*) Oto geneza fatalnego synonimu dzisiejszego Kleft-zbójca. Widziałem ich wielu w Grecji. Nie mają jasnego poczucia tego synonimu, w czasie mego tam pobytu ścieto 20 Kleftów w Patras. (Przyp. H.)

Pierwszy głos odrodzenia umysłowego wyszedł z pośród świętych gajów góry Athos. Tam 1762 r. dokończył zakonnik Paysij wielką księgę zatytułowaną: „Istoria sławno-bułgarska o narodach i o carach i o świątyniach bułgarskich“. Dzieje odrodzenia narodowego poczynają się jak to było i u innych Słowian badaniem dziejów ojczystych. Kto był Paysij? Odpowiedź na to dać trudno, gdyż szczegóły życia mego tego są nam wcale nieznane. Wiemy tylko, że około 1720 r. urodził się w djeczji Samokowskiej, w pobliżu starobułgarskiego klasztoru Ryl, wstąpił następnie do klasztoru Chilandarskiego na Athosie, gdzie uzyskał godność protoimena. W 1758 r. zawitał do Chilandaru historyk serbski, człowiek młody, oświecony, poważny, zamieszany w swym przedmiocie, Jan Raicz, gdzie właśnie wówczas przebywał Paysij. W obecności i obcowaniu skromnego mnicha z nieznanym trzeba może szukać powstania myśli w Paysiju napisania dziejów ojczystych; do tego domieszkała się zazdrość narodowa, a chęć nieuchodzenia za gorszych od Serbów i Greków, nie mała była także do studjów podnieta. Przez dwa lata zbierał materiały po różnych klasztorach bułgarskich, a nawet i „u Nemska zemla“, zapewne w Banacie. Mało jednakże znalazł źródeł i dzieł sobie pomocnych. Po powrocie z wycieczki naukowej przeniósł się do Zografu, gdzie i dokończył swą pracę 1762 r.; oprócz podróży jego po Bułgarji, innych szczegółów życia jego nie znamy. Naprózno czytelnik szukał w dziele Paysija krytyki, poglądów; brak w nim tego wszystkiego, natomiast opowiadań bajecznych spotyka się bez liku. Dzieje nowszych czasów są starannie obrobione, a co się tyczy rozwoju narodowości bułgarskiej, znajduje się wiele ciekawych rzeczy. Z ognistemi słowy zwraca się Paysij do „otcerugatelom“ (odstępcom), którzy nie chcąc nic wiedzieć o swym narodzie bułgarskim, uczą się tylko czytać i mówić po grecku, a wstydzają się swego pochodzenia bułgarskiego. „O nierozumny i głupi! dlaczego wstydzisz się mianować Bułgarem i nie czytasz swym ojczystym językiem? Czyż Bułgarzy nie mieli carstwa i gospodarstwa? Tak długo panowali i wstawili się po całej ziemi, i od potężnych Rzymian i od mądrych Greków wybierali daniny, i carowie i królowie dawali im swe carskie córki za małżonki, aby mieć pokój i miłość z carami bułgarskimi“. Z całego „słowiańskiego naroda“ najslawniejsi byli Bułgarzy. Pierwsi oni mieli patryjarchę, pierwsi przyjęli chrzest święty, najlepszą ziemię posiadli, i pierwsi słowiańscy święci wyszli z łona bułgarskiego narodu. „Ty, Bułgarze, nie daj się zwieść, znaj swój naród i język, i ucz się mowy swych ojców.“ Książka Paysija znalazła powodzenie nadspodziewane. W licznych przepisanych egzemplarzach rozchodziła się po kraju, do druku zaś dopiero za naszych czasów nauczyciel Swisztowski, Chrystaki Pawłowicz, ją podał w Budinie 1844 r. pod tytułem: „Carstwennik ili istorija bułgarskaja“, którego tekst wielce skażono.

Uczeń jego Sofronjusz Stojko, biskup Wraczański ur. 1739 r. w Kotle. Matka jego, gdy miał lat trzy, zmarła; macocha zaś była kobietą nieznośną i nielitościwą. Był pojętym i pilnym, tak, że już w 12 roku znał doskonale grecki język. Ojciec wcześniej także go odumarał. Opiekę nad małoletnim przyjął stryj, który Stojkę oddał do rzemieślnika. Wkrótce jednakże i ten jedynek opiekun zszedł z tego świata, zostawiając chłopca na łasce ludzi, którzy go tylko wyzyskiwali, a nawet

szego w Europie ekonomisty, zmarł d. 4. sierpnia 1876 r. w domu swego zięcia, p. Passy, deputowanego departamentu Eure.

Należał on do największych ozdób emigracji naszej, a imię Polski szeroko wślawił w nauce. Ojciec jego Franciszek, deputowany w 1831 r. i prezes Izby poselskiej w Warszawie, słynął jako obywatel i mąż stanu. Syn jego miał imię Ludwik Franciszek Michał Rajmund, urodził się w Warszawie 31. kwietnia 1800 r.

Roku 1813 posłano młodego Ludwika na naukę do Paryża. Powróciwszy do ojczyzny, dał się wkrótce poznać z obszernych wiadomości swoich i z patriotyzmu.

Po wybuchu powstania listopadowego 1830 r. wziął czynny udział wraz z swoim ojcem Franciszkiem w usiłowaniach oswobodzenia Polski. Był kapitanem przy sztabie głównym armii polskiej. Następnie zajmował wysokie stanowisko wice-referendarza w Radzie Stanu, a w końcu powstania pełnił obowiązki pierwszego sekretarza poselstwa polskiego w Paryżu.

Na emigracji połączył się z ojcem swoim Franciszkiem i brał czynny udział w wielu sprawach emigracyjnych, podźwignięcie ojczyzny mających na widoku. W r. 1834 naturalizował się we Francji, otrzymawszy prawa obywatela tego kraju za dekretem króla Ludwika Filipa. Już wtedy dał się poznać jako pisarz i uczonego ekonomik polityczny i prawnik.

W r. 1835 założył pismo w Paryżu „Revue de legislation et de jurisprudence“. Od-tąd nie było prawie roku, ażeby nie wydał dzieła lub broszury treści ekonomicznej, statystycznej lub finansowej. W r. 1837 powołano go na profesora ekonomii politycznej i prawodawstwa przemysłowego w konserwatorium sztuk i rzemiosł w Paryżu. Wykład jego płynny, jasny i świetny, pelen głębokich poglądów gromadził zawsze mnóstwo słuchaczy ze wszystkich klas społeczeństwa. Rzemieślnicy mianowicie licznie uczęszczali na te wykłady, które ciągnęły się przez lat trzydzieści przeszło i najwięcej przyczyniły się do ekonomicznego wykształcenia przemysłowej ludności Paryża. Pod tym względem żaden z ekonomików francuzkich nie ma większych zasług od Wołowskiego.

Imię jego było tak popularne, że Paryżanie wybrali go w r. 1848 na swojego reprezentanta do Zgromadzenia ustawodawczego (Constituante), a następnie 132.353 wyborców Paryża powierzyło mu mandat do Izby deputowanych, w której zaszczytną odegrał rolę.

Po zamachu stanu Napoleona III, Wołowski oddał się wyłącznie naukom i wykładom, o których było wyżej.

Nr. 33.

W r. 1852, dobrawszy sobie do pomocy pana Soubeyran, przy pomocy kapitałów Ksawerego hr. Branickiego, założył pierwsze we Francji Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Paryżu, na wzór takiegoż Towarzystwa, istniejącego w Polsce od r. 1828. Z Towarzystwa tego rozwinęło się później jedna z największych i najpotężniejszych instytucyj finansowych Francji „Credit foncier“ w której pracuje dzisiaj 2000 urzędników. Instytucja ta, dzieło Wołowskiego, przyczyniła się wiele do wzrostu bogactwa Francji, ogromnego nagromadzenia i ruchu kapitałów, który wywołał błogosławione skutki dla dobrobytu Francuzów.

Z kilkunastu dzieł jego ekonomicznych, jakie wydał do tego czasu, wymieniamy: „Les sociétés par actions“; „Mobilisation du credit foncier“; „Des fraudes commerciales“; „De l'organisation du travail“. W latach od 1852 do 1860 ogłosił znowu przeszło dziesięć tomów treści handlowej i przemyślowej. W ostatnich latach wyszło także kilkanaście dzieł jego ekonomicznych, z których jedno poświęcone było kontrybucji pruskiej. Każde z tych dzieł poczytywane jest przez uczonych za znakomite. Powołują się na nie jako na najwyższe powagi naukowe. Pisane po francuzku, tłumaczone były na różne europejskie języki. Kilka z nich przełożono na polski język.

W r. 1855 wybrany był na członka Akademii Nauk moralnych i politycznych.

Zaprzyjaźniony z Adamem Mickiewiczem, po jego śmierci w r. 1855 został opiekunem dzieci wieszczka. Składki, jakie naród złożył dla tych dzieci, przez zręczne operacje finansowe powiększył tak, że na każde dziecko wypadło po 30.000 franków. Zajmował się aż do końca pilnie szkołami polskimi w Paryżu i był członkiem Rady Nadzorczej Szkoły Polskiej na Batignolu, dla której wiele dobrego zrobił. Był także członkiem Towarzystwa historyczno-literackiego polskiego w Paryżu.

W r. 1863 wszedł jako członek do Komitetu polskiego, utworzonego dla spraw powstania przez ówczesny Rząd Narodowy. Protokoły Komitetu przysyłane bywały do Warszawy. Rząd zaś Narodowy bardzo często przychylił się do zdania Ludwika Wołowskiego, wtedy nawet, gdy to zdanie pozostało w komitecie w mniejszości. Patriotyzm jego polski objawiał się wzorowo. Rząd Narodowy zawdzięczał mu niejedną usługę i dobrą radę.

W r. 1869 przedstawiony jako kandydat do Ciała prawodawczego przez swoich przyjaciół, nie przyjął mandatu pod rządem Napoleona III, lubo był dobrze przez ten rząd widzianym.

Po wojnie 1870/1 i ogłoszeniu Rzeczy-

pospolitej we Francji, wybrany został w Paryżu 147.042 głosami do zgromadzenia narodowego, w którym jako deputowany zajął miejsce w lewym środku. Mowy jego odznaczały się dobrym poglądem na rzeczy i wielką wytrawnością. W komisji budżetowej był bardzo pożytecznym pracownikiem.

W r. 1873 jako członek Najwyższej Rady handlowej w Paryżu stanął w obronie projektu prawa o pracy dzieci w fabrykach. Dziełko jego o pracy dzieci w fabrykach przetłumaczył na polski język p. Toloczko i wydał we Lwowie.

W r. 1874 zwalczał system finansowy ministra Magna i przyczynił się do jego upadku. W r. 1875 dnia 10. grudnia wybrany został 349 głosami na dożywotniego senatora Francji.

Pomimo sławy i najwyższych zaszczytów, jakie go spotkały we Francji, nie przestał on nigdy służyć Polsce, był do zgonu wiernym jej synem, wspierał uczącą się młodzież polską i w każdej polskiej sprawie udzielał rad zbawiennych.

Był to umysł rozległy i gruntowną wiedzą wzbogacony, wielce praktyczny i szlachetny. Zarówno nauką jak charakterem budził dla siebie poszanowanie. Francja straciła w nim obywatela najpożyteczniejszego, Polska jednego z mężów, co jej imię blaskiem sławy opromieniali. Cześć jego pamięci!

A. G.

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMENIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuzkiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI

swym przyjaciółom w Grecji poświęcając.

(Ciąg dalszy.)

Po dziesięciu miesiącach oblężenia, rzeczy były w stanie pierwotnym i Suljoci wcale nie zdali się złamani, nawet ugięci. Albańczycy wściekali się ze złości, choroby poczęły ich dziesiątkować, i nastąpiły dezercje; co gorsza, zapasy sprowadzane mozolnie, okazały się niewystarczającymi. Oblężeni jednak w gorszym byli położeniu, mór w skutek głodu pojawiać się zaczął. Wycieczki w okolicy coraz trudniejsze, i bohaterowie Souli poczęli tracić siły z braku żywności. Ali proponował im pokój, jeżeli się zobowiążą nie naruszać jego posiadłości i dadzą 24 zakładników. Tsawellas nienawisć i ambicję złożył na ołtarzu ofiary dobra ogólnego. Oświadczył, że gotów do paktowania. Suljoci przystali na ilość zakładników, niebaczni, że i tak osłabły ich siły. Otrzymałszy ich, Ali przestał prawić o pokoju, a podwoił załogę. Pogroził zakładników obyczajem swej niewiary w podziemiach Janiny, ufając, że ich rodziny się poddadzą. Suljoci zaprzysięgli zemstę i nieufność dla tego ohydneho zwierzęcia. By okazać, że nie

obłakano tracą władzę największe rozumu. Pod wpływem tych czarnych myśli, o! nie do uwierzenia! uchwalono na wygnanie posłać bohatera obrońcę, jakim był Fotos Tsawellas, mimo groźnego oporu mnicha Samuela. Ten, widząc co się święci, wyleciał oburzony z sali i wznosząc w górę krzyż a miecz, zawołał: „Za mną wierni! mój krzyż dożgonny będzie: Krzyż, Grecja i wolność! Ludność tłumnie zebrana, czekała rezultatu obrad. Okrzyk Samuela na nowo zapal obudził. Trzystu Suljotów skoczyło za nim i poszli zamknąć się w fortecy Kungghi, postanowiwszy bronić się do ostatka. Siostra Fotosa, Chaido, godna córka sędziwej Moscho, połączyła się z nim. Tsawellas został na rade wezwany, by zabrać głos w własnej sprawie. O niczem nie wiedział, bo nikt mu nie śmiał powiedzieć. Nastąpiło długie milczenie. Młody wódz widząc zakłopotanie gerontów, nieobecność Drakosa, który wołał pójść z Samuelem, niż zdradzić wodza, obecność wreszcie Krzysztofa, dały mu przeczuć coś złowrogiego. Czekał przemówienia. Wszyscy umilkli, nikt nie śmiał. Wreszcie jeden z dowódców wstawszy, drżącym głosem prawdę mu wyznał. Tsawellas ostupały nic nie odrzekł. Wkrótce jednak się zwyciężył. Usiłując być panem boleści bezbrzeżnej, jaka objęła mu serce, rzekł stanowczo głosem męzkim ale pełnym śledczy: „Odejdę! — Dawszy tylekroć krew i życie ojczyźnie, nie chcę, dokończyć teraz, szkodzić jej moją obecnością, ale przebóg, zachowajcie starannie skarb, który wam poruczam: wolność i ojczyznę.“ Potem wyszedł nagle i zwrócił się ku swemu mieszkaniu. Krewni i przyjaciele szli za nim złamani. On zaś spokojny, od czasu do czasu posilał ich słowem dobrej nadziei; niekiedy tylko, kilka łez wymykało mu się ukradkiem, spadając po mężkiej, ogorzałej twarzy. Na progu swego domu, Fotos stanął i wstrzymał wszystkich, którzy za nim iść chcieli. Sam wszedł do domu. Zrozumiano, że mu potrzeba kilka chwil religijnej samotności, by pożegnać ognisko rodzinne i pomodlić się przed świętymi obrazami, przed którymi modlili się jego ojcowie od kilku wieków. Wkrótce głuchy grzmot dał się słyszeć i słupy dymu z płomieniami objęły dach jego domu. Uprzedzając wszelkie pytania, wyszedł Fotos marmurowo bład i rzekł: „Nie będzie zapisano w dziejach, że stopa turecka skaziła kiedykolwiek dom rodziny Tsawellas.“ Następnie wskazując palcem wioskę Chorta, której domostwa w dali białe błyszcząły jak stokrótki górskie o zachodzie słońca, „tam idę, rzekł, będę w pobliżu czuwał nad wami, by wrócić, gdy mnie będziecie potrzebowali. Obym na ten dzień najdłużej czekał.“ Gdy Fotos ujrzał walącą się strzechę swego domu w aureoli płomiennej, skoczył w bok i stromą ścieżką udał się na miejsce wygnania, a za nim 25 Palikarów, wiernych i gotowych na jego obronę.

IV.

Skoro Ali Pasza o wszystkim się dowiedział, polecił jak najdłużej przewlekać układy. Zaprosił też Polemarchę Suli do Janiny dla zawarcia stałego pokoju. Sądził nieczemnik, że Tsawellas zdradzony przez ziomków, zdradzi ojczyznę i wywabi mu Suljotów na płaszczyzny. Wtedy byłby został panem sytuacji. Fotos czuł czem to pachnie. W młodości poznał charakter Paszy, pamiętał te dni straszliwe w pewności śmierci tam spędzone, i wiedział, że go miasto gościnności, zguba czeka.

Jednak sami Suljoci, jeśli go błagać, by się tam udał. Fotos napróżno się wzbraiał, bohaterska dusza jego, na poświęcenie gotowa, nie oparła się ich błaganiom, udał się do Janiny. Przy bramach Epiru powitany był Fotos z największymi honorami. Taliz Abbas, wielki wozyr, pokłon mu oddał od Paszy i ozdobił bogatym futrem, złoto szamerowanem. Obdarzony darami, które lekceważył, otoczony strażą honorową, której blask wcale nie olśnił jego świadomej siebie skromności, i nie rozprószył jego smutku, Fotos został wprowadzony do seraju przed oblicze Ali Paszy.

Nie pamiętano, by kiedykolwiek Ali przechodził się w uprzejmości chytrej gracji, z jaką robił honory i używał jedwabnych słówek, by zdobyć osobę bohatera. Fotos Tsawellas z źle ukrytą cierpliwością słuchał słów kłamliwych, któremi wróg pragnął go porwać i jak najręczniejsz sprowadzić do celu rozmowy. Wreszcie zaproponował mu, by mu poddał całe Suli!

Mogłem to sprawić, odrzekł Fotos, zanim przekroczyłem próg twego domu, dziś niepodobna. Suljoci wzięliby mnie za drugiego Kristofa Botzaris, i nie daliby żadnej słowem moim wiary. Więc zostaw niechętnych, spraw tylko, by za tobą zeszli ci co zechcą w doliny, dam ich rodzinom wszelkie wolności i przywileje, i wolny wstęp do Epiru. A wtedy, dodał z złowrogą błyskawicą w oku, ręczę, że ci co zostaną, zazdrościć będą tym co wyszli. Fotos pozornie się zgodził, i dał słowo Paszy, że jakikolwiek będzie skutek jego działania, powróci doń. Wróciwszy do Suli, otwarł oczy ziomków na ich zgubę i dowiódł, co to jest ufać Alemu Paszy.

Skoro Tsawellas wrócił do Suli, oznajmił swym współbraciom, że szli ku stanowczej zgubie i że Ali myślał tylko o ich podejściu. Trwoga Suljotów i ich obłęd pierzchy na chwilę, wyznali Tsawellasowi swą niesprawiedliwość, błagali, by ich nie opuszczał więcej, i uzbrowili się na nowo do walki. Fotos w rozpacz z powodu danego słowa, postanowił jednak wrócić do Janiny. Głuchy na wszelkie błagalne głosy, udał się ku stolicy Epiru. Wiedział dobrze, co go czeka. Poddał się losowi bez wahania i skargi. Świadomy wielkości swej ofiary, dokonał jej z tą wielkością ducha, którą zdał się przejąć od swoich gór i skał rodzinnych, mogących urosć jeszcze wyżej z dumy, że wydały takiego bohatera.

Zaledwo przybył do Janiny, Fotos wtrącony został w podziemia więzień cytadeli. Zajęty więcej losem kraju jak własnym, potrafił i z tamtąd znosić się pisemnie z ziomkami i hartować ich ducha. Zapomocą tajnego posła nakazał im zaraz wystąpić do walki. Samuelowi zaś, zlecił swą duszę, bo nie miał nadziei, by jakakolwiek okoliczność lub człowiek mogły go wybawić z tych szponów. Pismo Pandora (Ateny 1857) wspomina romantycznie, że tu nastąpił epizod miłosny w życiu bohatera, i że ręka miłościwa miała go uwolnić. Poemat ten piękny był czystą fikcją. Ani historia, ani pojedyncze świadectwa podania nie podobnego nie wiedzą. Sama natura człowieka oddanego wyłącznie politycznej idei, zdaje to niemożliwie (?). Ali Pasza zawsze grożąc, pozostawał jednak bezczynnym i oblegał Suli. Nie śmiał otwarcie sprzeciwić się sultanowi. Równocześnie korweta francuzka Arab wylądowała, przywożąc Suljotom żywność*). Pomoc ta, która tak wzmo-

gła ducha nieszczęsnych, miała właśnie spowodować ich klęskę. Ali Pasza przez szpiegów uwiadomiony został o powodach, dlaczego Francja tę żywność posłała. Korzystając z tego, wysłał natychmiast kurjera do Stambułu. Oznajmił, że Francja posłała żywność, broń, amunicję, słowem wszystko, co potrzebne do rewolucji całej Grecji, i że ta będzie straconą, jeśli się temu jakim krokiem energicznym nie zapobiegnie. Do tych doniesień dodał Ali kilka sum potężnych dla dygnitarzy państwa. Porta niebadająca prawdy i skora do popłochu, wydała firman, by natychmiast wytepieno Suljotów, niegodnych miłosierdzia. Tryumfujący Ali ogłosił tę wieść wszystkim, aż do najdrobniejszych z swych zauszników. Na ten odgłos 10.000 wojska rzuciło się ku górcom wszelkimi drogami. W Suli wzmógł się właśnie zapal po dokonaniu zburzenia baszty Wilja, najsilniejszej, jaką wznosił Ali. Samuel zaledwo mógł pohamować tę nagłą radość nieprzewidującą już nie prócz zwycięstw. Po tylu cudach dokonanych można było przypuścić, że Suljoci musieli zwyciężyć, gdyby nie zdrada. Kutzomitzas i Filjos Gussis widzieli z wielką niechęcią wznowienie kroków wojennych. Nie podzielali ogólnej wiary i byli pewni klęski. Poważyli się przyspieszyć ją, dla uratowania rodzin i majątków, stawiając je wyżej ogólnego dobra. Pierwszy z nich uszedł tajemnie, opuściwszy swój oddział, drugi, podły Filjos Gussis poszedł dalej, zniósł się z Wely Paszą, i w noc burzliwą wprowadził 200 Albańczyków do własnego domu, który stał w środku gór Suli. Nazajutrz (25 października 1803) ukazał się Wely Pasza na czele oddziału nagle w środku wsi, w której było tylko 50 ludzi. Ci nie mogąc się bronić, cofnęli się do Kungghi. Turcy więc wpadli do środka Suli, sami zdziwieni, że wreszcie dotykają tej ziemi, której tak długo dobywali, pijani radością i pyszni, jak gdyby to nieczemne podejście było dziełem bohaterskiej walki i zwycięstwa. Wtedy mnich Samuel wznosił chorągiew na wieżycy Kungghi i zagrzmiął z działa, by zwołać wszystkich górali na obronę. Na ten odgłos zbiegły się okolicy Awarikos i Samoniwa, nie mogące same się utrzymać. Przez dni 40 daremnie szturmowali Turcy do Kiaffy, Suljoci bronili się z męstwem rozpacz. Gdy znużeni ludzkim wysiłkiem odpoczęli na chwilę, kobiety walczyły, czyniąc nawet wojenne wycieczki z godną mężów walecznością. Do listopada Turcy nie mieli żadnej korzyści, prócz tej, jaką odnieśli z swej zdrady. Ale głód zaczął doskwierać męczennikom. Co się dziać mogło wtedy z Tsawellasem?

Dzień w dzień uwiadomiany o klęskach lub korzyściach rodaków, cierpiał on męki piekielne. Zdaje się, że Ali umyślnie przedłużał jego wielki żywot, by torturować cierpieniami ojczyzny to patriotyczne serce. Wreszcie zdobycie Suli stało się jedną z największych radości w życiu potwornem Ali Paszy. Drżał on jednak, by ten tryumf nie stał się jeszcze, jak tylekroć, nową dla niego klęską. Wydobył Fotosa z więzień, sądząc, że teraz można osiągnąć właściwe korzyści z wielkiego zakładnika. Widząc jego zapadłe lica i osłabienie śmiertelne, udał litość i podnosząc ramiona zawołał: Ach! Tsawellas! gdybyś był mi chciał służyć od początku, nie byłbym tyle krwi i złota strwoził na to zwycięstwo, i twoja dola byłaby pomyslniejszą.

— Wzięłeś Suli, ale nie Suljotów—odrzekł jeniec — i twe zwycięstwo nie jest zape-

*) Ponqueville hist. de la regeneration de la Grece I.

wniouym. Zastanowiłem się, chce od dziś oddać ci moje usługi, puść mnie w góry, a zobaczysz...
— Jak ci uwierzyć, raz już mnie podszedłeś?
— Dam ci w zakład mego syna! To nie dość, całą rodzinę.
(C. d. n.)

Na Wyszehradzie.

(Ciąg dalszy.)

II.

(Czescy poeci. — Poeci ubodzy. — Charakterystyka twórczości. — Halka i jego stanowisko w literaturze czeskiej i powszechnej. — Młodość. — Staromiejskie gimnazjum. — Pisma dziecinne uczniów w Pradze i w Wilnie. — Niedostatek jego i troski. — Życie męża, podróże, praca i śmierć.)

Wicieszaw (Witieszaw) Halek, przed którego grobem obecnie stoimy, jest największym poetą Czechji.

Czesi nie mają ani Mickiewiczów, ani Krasińskich, ani Słowackich, ani Malczewskich i Gószczyńskich, oni mają poetów drugo-ba! nawet tylko trzeciorzędnych. Właśnie do takich należą największe Czechów poetyczne sławy: Czelakowski, Kolar, Koubek i Erben; ale Wicieszaw Halek, jeden z koryfeuszów młodoczeskiej partji (svobodomyslna strana) prześcignął tych dawno zmarłych swych poprzedników. Obecnie literatury nie powstydzilyby się imienia jego. Był to liryczny niepospolity. My teraz, jeżeli przemilczymy Bohdana Zaleskiego, Teofila Lenartowicza i Ujejskiego Kornela, którzy już należą więcej do epoki wielkich ludzi, t. j. minionej, wyższego od niego w tej chwili nie mamy. Ale, choć Halek był poetą prawdziwym, jego poezja ograniczała się śpiewkiem powabnym, uroczym, miłym; dalej po za ten kres, położony jego talentowi, czeski poeta nie przeszedł. Bardzo szczęśliwy śpiewak, oto jest wszystko, co da się powiedzieć o nim, ale i tu jeszcze robimy ograniczenie, że Halek nie śpiewał o wszystkim, koło jego natchnień było tak niewielkie, jak: „cudna luba“, „piękne niebo!“

Są to przedmioty, w naszym ziemskim życiu być może najpowabniejsze, ale nie jedyne i niekoniecznie już najświetsze. Poeta, którego twórczość obraca się tylko w tem ciasnym kółku, nie spełnił swego zadania w zupełności. Ale „cudna luba“, „piękne niebo“, jakież to przedmioty miłe a świeże! Artysta, który w te struny uderza, gdy jeszcze ma talent większy od tłumu „poczynających“ i „kończących się“ poetów i poetek, niezawodnie znajdzie uznanie u ogółu, bo „luba“ i „niebo“ dla większości, to piękna najwyższe szczyty, a bardzo przyjemne piękno dla wszystkich. Nie dziwny się przeto ani wielkiej poczytności poetów ubogich, ani małej „zamożnych i arystokratów-poetów“. (Darujcie, na razie nie znajduję lepszego wyrażenia się)

Halek, którego o „cudnej lubej“ i „pięknem niebie“ piosenki nie ustępują ani „Lirycznemu intermezzo“ Heine'go, ani „Dziłkim różom“ Saphira, przynajmniej najlepsze, jest pierwszorzędną potęgą między takimi poetami ubogimi. Zaprzeczyc tego nie można, i z tego tytułu Halka nazywamy „wielkim“, gdy zaś Czechy nikogo dotąd nie wydały większego, największego, ale tylko na ich niwie, nie naszej i nie europejskiej poezji, gdzie będzie wcale nie wielkim. Narodowym poetą nie nazwiemy go także; mamy nawet silne

podrażnienia, że jego poezja jest poezją... jakby niemiecką.

Dłuższej charakterystyki twórczości Halka, tu kreślić nie mając zamiaru, zwłaszcza, gdy w krótkim czasie osobną rzecz o czeskiej wydam literaturze, powiem, że chociaż i w epos i w dramacie sił swoich próbował, ani w tem, ani w owem po nad liryczną poezję nie wyleciał, a Polacy (ów naród, który z pomiędzy wszystkich narodów ziemi najmniej może widzieć na świecie „cudną lubę“ i „piękne niebo“, a nie więcej; u którego, jako u Izraela Nowego testamentu, powołanego do rzeczy wielkich, mającego przed sobą i wyjarzmienie się z Babilonu, i tradycję przeszłości, jakiej żaden świata naród nie ma, i przyszłość, która się z ich przyszłością nie równa, pieśń taka byłaby, bez wahania się mówić, szkodliwą, a tacy „poeci ubodzy“ uważaliby się za śpiewaków bez słuchaczy), oddali mu słuszną cześć, gdy przekłady „Wieczornych Pieśni“ Halka (Weczerne pisne), uskutecznione przez W. Bełzę, doczekały się aż dwóch wydań*).

Ale gdy życiorys Halka kreślimy dla czytelnika, mamy przed oczami nietylko to uznanie, jakie poeta znalazł w Polsce, ale i charakterystyczność czeskiego żywota: ta biografia bowiem, oprócz opisu wypadków zdarzających się w powszechno-ludzkiem życiu, w wielu razach nosi tylko piętno jedynie czeskie, dlatego też zastanowimy się nad nią dłużej, aniżeli to w artykule tym być było powinno.

Halek był synem karczmarza, jego rodzice szynkowali najprościej piwo w Dolinku i nie odznaczali się ani wychowaniem, ani zamożnością; byli to ludzie bardzo zwyczajni. Mniej zwyczajnym już było ich pobranie się, bo, wbrew woli rodziców. Józef Halek, ojciec Wicieszawa, po rodzicach mających posiadłość w Korycanach, mógł spodziewać się znacznego majątku, ale los zdarzył, że u sąsiada Panochy, starca znacznego majątku w tychże Korycanach, zamieszkała uboga jego krewna, Teresa Sypecka, i młodzi poznali się, pokochali się i pobrali się. To było zapewne wielką zbrodnią w oczach ich najbliższego roduństwa, bo i Halkowie i Panocha powydzielili młodych. Zostawieni więc samym sobie, Józefowie wzięli się do dzierżawy oberż, a pierwszą była austerja w Dolinku, w której o szczupłym funduszu spędzili miodowe miesiące i gdzie przyszedł na świat Wicieszaw dnia 5. kwietnia 1835 r. Gdy przyszedł poeta miał już rok szósty, rodzice oddali go do wiejskiej szkółki w Zaleslicach, ale tu w pierwszym już roku Wicieszaw „poznawszy to wszystko, co mogła dawać taka szkółka, bardzo ją sobie obrzydził“ i za nią począł organizować sobie życie, „choć pierwszym uczniem nie przedstawiał być w szkole“, tak przynajmniej mówi pan Franc. Perzyna, z którego dzieła „Slawin“ (t. j. Pantheon), głównie czerpię materiały do tego rozdziału. Rzecz to trochę nowa, ale wierzymy biografowi. Za szkołą nęciło go pole, pasanie trzód, swobodny z chłopakami żywot. Tu malcy prawili sobie bajki, improwizowali, a owe chwile swobodne przyczyniły się niezawodnie bardzo do ukształtowania przyszłych losów Wicieszawa.

W 1844 roku Halkowie przenoszą się z oberży w Zatworzu t. j. z pod Zaleslic na trakt większy, do Biskowic, i wzięli z sobą syna ze szkoły. W Biskowicach im już powodzi się nie źle i

*) Niektóre z dramatów Halka zostały także przełożone na język polski.
(P. r.)

mogą nawet zaoszczędzać, a interes rozwijać na większą skalę. Traktem, przy którym stała oberża, przechodziło wiele Niemców; Halkowie rozmówić się z nimi nie mogli, bo nie mówili po niemiecku, interes na tem cierpiał, więc Halek, który dla swego syna marzył tylko również los karczmarza, oddał go na naukę do Niemców do Jestrzębna (Habichtstein po niem., Jastrzab po czesku), ażeby się tam nauczył niemieckiego i po roku żakowania pomagał ojcu w interesie. Rok przeszedł i mały wrócił do domu. Wtedy go kojętycki proboszcz, x. Honzik, egzaminował i rzekł, że wymowę ma niemiecką złą i język z gminny. Czesi nie rumieniąc się, chlubią się z tego, że po niemiecku w całej Austrii najlepiej mówią — w Pradze. X. Honzik też radził Halkom posłać syna jeszcze na rok do czeskiej tej stolicy. Rodzice „obdarzeni praktycznym zmysłem“, nie ulekli się kosztu i wnet powieźli tam syna, tylko dla wyuczenia się nie „humjolakkiej“ niemieczyny, i umieścili go w zupełnie niemieckiej szkole trynitarzkiej. Tu znowu, jak powiada biograf, „Wicieszaw nie mając najmniejszej chęci do nauki i szkoły samej nie lubiąc, uczył się do brze“, tak dobrze, że po skończonym roku wyniósł z niej świadectwo arcychlubne; to napęliło malca dumą. Zdarzyło się, że idąc w tym dniu ze szkoły, spotkał x. Honzika, a uradowany, pokazał mu, co niesie. Wtedy x. Honzik zapytał, czyby Wicieszawek nie życzył sobie uczyć się dalej? Gdy zaś potwierdzając odebrał odpowiedź, przyrzekł młodemu Halkowi do jego chęci nakłonić rodziców przyszłego poety. Nie omieszkał też tego uczynić, gdy podczas wakacyj odwiedził Halków. Ci opierali się z początku, ale, skruszeni tem, że x. Honzik powiedział, że ich syn może zostać księdzem, do żądań jego przychylił się, i chcąc Wicieszawka widzieć kiedyś w sutannie, już po wakacjach oddali go znowu do Pragi, do staromiejskiego gimnazjum. Było to w 1847 r.

Halek przekładał jeszcze, jak dawniej, ulicę na szkołę i bawił się rad u miejskich bram z ulicznikami, ale, jak pisze biograf, większego już dla niej nabierał szacunku, bo staromiejskie gimnazjum stawało się z każdym dniem więcej czeskiem. Czesi byli w niem nauczycielami i czeski język wykładano z katedry. Czy to gimnazjum już rzeczywiście pod względem dawanej w niem nauki stało wyżej od wszystkich szkół niemieckich, nie wiemy, wielu nawet przeczy temu stanowczo, ale to pewnik, że na czeskiej ziemi i dla Czecha takie gimnazjum było korzystniejszym, nawet gdyby było najgorszem, i zbawienniejszy wywieralo i wywierać musiało wpływ od wziętych razem wszystkich najlepszych szkół niemieckich. Nadto, powiedzmy jeszcze, że ci nauczyciele nie byli lada kto, ale tacy patryjoci jak Franciszek Swoboda (1778 † 1864), Klicpera, Waclaw Zaleski, Szumawski i obecny proboszcz wyszehradzki ks. Sztulc. Ten uczył języka czeskiego, ale największy wpływ wywarł na młodzież Swoboda, który podawał za przedmiot pogardy tak zwanych „panów Frantzów, pijawki ludu“ i stawiał każdemu za cel, „stanie się gorliwym Czechem.“ Słowa Swobody trafiły do przekonania młodych Czechów i budziły ogromny zapal.

Pod takim kierownictwem Halek dowiedział się po raz pierwszy, co to jest Czech i że on sam jest nim, nie chcąc zaś wstydzic się przed kolegami, zaczął to czytać, co czytali oni. Wkrótce upodobał sobie tak dalece to zajęcie, że w bardzo krótkim czasie już był najoczytawszym pomiędzy

szej wystawie, a przyznać musimy, portret bardzo ładny. Koloryt żywy, natura dobrze i wiernie uchwycona, draperje dobrze odmalowane. Pomimo wielkich zalet tego portretu, radzilibyśmy młodemu artyście, ażeby nie obierał sobie portretów za specjalność, nie dla tego, ażebyśmy nie rokowali mu w niej przyszłości, ale dla tego, że dla jego talentu wydaje się nam stosowniejszym rodzajem historyczny i rodzajowy. Obraz jego „Bitwa pod Ignacem w r. 1863“, który był także na wystawie, przekonywa dostatecznie, iż Ajdukiewicz w tym rodzaju jest już doskonałym malarzem i nie wielu znajduje sobie równych. Był to jeden z najpiękniejszych obrazów na wystawie. Życia w nim, ruchu pełno. Grupy walczących powstańców ułożone z wielkim poczuciem prawdy i piękna artystycznego. Nie ma ani jednej grupy złe i nie w miejscu ustawionej. Każda z nich chwyta za serce wielkim charakterem powstańczej za niepodległość wojny, każdy zaś w tych grupach powstaniec jest typową, piękną postacią. Nie będziemy ich szczegółowo opisywać, bo nie potrafilibyśmy w opisie oddać tej dzielności, odwagi i wojskowej rezygnacji, jaka z nich bije urokiem słonecznego kolorytu, ani też wybornego artystycznego ich rozstawienia na krawędzi sosnowego boru i w borze samym, po którym tłucze się dym wystrzałów. Pan Ajdukiewicz wpatrzył się dobrze w naturę polskiej ziemi i oddaje ją w pięknej lubo posępnej rzeczywistości. Poezji tu pełno i tego uczucia szlachetnego, jakie rodzi miłość ojczystej ziemi. Rysunek wzorowy, perspektywa doskonała, intonacja kolorów pełna harmonji, kompozycja mistrzowska, wykończenie staranne. Winszujemy tego obrazu panu Ajdukiewiczowi i witamy już w nim jednego z pierwszorzędných naszych malarzy.

Kowalski Alfred z Monachjum przysłał na wystawę mały obrazek „Rozjazd na kwatery“. Przedstawia w nim ulicę polskiego miasteczka, a na niej konfederatów szukających mieszkań. Skromny to na pozór utwór, ale doskonały. Nic w nim nie brakuje, wszystko jest na swoim miejscu, a w każdym szczególe charakter i prawda. Ludzie i konie żywi, perspektywa ulicy bardzo dobra. Koloryt miły, oświetlony jak należy. Reputację dobrego malarza, jaką sobie p. Kowalski wyrobił dawniej malowanymi obrazami, utrzymał artysta tym obrazem w zupełności.

Juljusz Kossak nie opuszcza żadnej wystawy i na tej wiec było kilka jego akwarelowych obrazów, z których jeden „Ogłoszenie elekcji króla Jana Kazimierza“, większych rozmiarów, odznacza się świetnym kolorytem i genialną kompozycją. Jest to obraz tegoż rodzaju jak „Rewera Potocki“, który na wystawie powszechnej wiedeńskiej zjednał Kossakowi licznych wielbicieli i zasłużoną sławę jednego z najlepszych akwarelistów Europy. Postacie w tym obrazie senatorów Rzeczypospolitej i szlachty przepyszne, konie, dość powiedzieć, że je Kossak malował, aby dać wyobrażenie o ich niezrównanej piękności. Znakomity jest także obraz, przedstawiający konno wśród wojska polskiego Władysława księcia Sanguszke jako adjutanta naczelnego wodza wojsk polskich w 1831 r. Odznacza się również jak trzecia akwarela tego mistrza na wystawie, wyobrażająca szwoleżera Ponińskiego na rekonesansie pod Somo-Sierra, dostawiającego żywcem Hiszpana, którego trzyma przed sobą na koniu, świeżością w kompozycji, układem artystycznym i tą pogodą ducha, jaka jest właściwą

wszystkim obrazom Kossaka. Oprócz wymienionych, były jeszcze na wystawie trzy inne akwarele Kossaka: jedna przedstawiająca dwa konie, siwosza i kasztanka, prowadzone przez masztalerza; druga staropolskiego Luzaka, a za nim tabor wojskowy; trzecia wreszcie po ponowie myśliwego, będącego na stanowisku z dwoma chartami. Wszystkie te obrazy są na wskrós polskie. Poczucie w nich natury prawdziwe, rysunek doskonały, koloryt pełen wdzięku i poezji, nie dziw też, że każdy z nich najmilsze robi wrażenie.

Tępa Franciszek, drugi nasz znakomity akwarelista, o właściwym sobie kolorycie, wystawił trzy akwarele robione portrety: pani Cieleckiej, pana Cieleckiego i małego chłopczyka, Józia, syna hr. Żaluskiego. Twarze osób malowane są z niezwykłą dokładnością i wykończeniem subtelnem. Wszystkie te portrety są bardzo ładne, najładniejszym jednak jest portret pani Cieleckiej, odmalowany z wdziękiem, z przejrzyistością kolorytu i z wytwornym gustem. Obrazy Tępy są utrzymane w tonie, który uważalibyśmy idealnym, z powodu jego szlachetności i poetycznego, rzewności przejętego uczucia. Była jeszcze na wystawie akwarela Tępy, wyobrażająca greckiego bohatera Botzarisa, znana z dawniejszych już wystaw, a którego czyny damy poznać czytelnikom w dalszym ciągu pięknego dzieła, tłumaczonego przez Władysława Tarnowskiego.

Tytus Maleszewski, który jako pastelista nie ma sobie równego w Polsce, miał na wystawie dwa portrety robione pastelą, i portret robiony czarną kredką p. Sontaka, dyrektora Muzeum przyrodniczego, założonego we Lwowie przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Portrety pastelowe wyobrażały jeden panią Młodnicką, drugi hrabinę Rejową. Wiadomo, że pastel najlepiej oddaje delikatność cery i piękność kobiecą. Oba też portrety pod tym względem nie nie zostawiają do życzenia. Wdzięku i piękności w nich tyle, że każdy mimowolnie przed nimi się zatrzymywał. Życie z nich tryska urokiem czarującym. Układ pełen wytwornego gustu, rysunek, któremu zarzucali pewni sprawozdawcy małe błędy, poprawny i dobry.

Pruszkowski Witold nadesłał z Krakowa dwa obrazy: Chrystus i rodzajowy „Kiedy ranne wstają zorze“. Chrystus przez Pruszkowskiego nie podobał się nam wcale. Oceniamy śmiały pędzel, szerokie malowanie, koloryt piękny, ale z pojęciem autora zgodzić się nie możemy. Jego Chrystus jest wcieleniem brutalnej, fizycznej siły, ale nie moralnej, duchowej. Nie ma w nim bynajmniej świętości. Jest to typ barczystego, muskularnego mężczyzny, zdolnego pięścią potężną gruchotać czaski nieprzyjaciółom, ale nie wyobrażenie Bogaczłowieka, wszechmocnego potęgą ducha, przekonującego miłością, a zbawiającego ofiarą. Za to obraz „Kiedy ranne wstają zorze“, jest prześliczny. Pan Pruszkowski przedstawił w nim kilku wiejskich z Krakowskiej okolicy pastuszków, na wzgórkach śpiewających przed wschodem słońca znaną pieśń Karpińskiego: „Kiedy ranne wstają zorze“. Tępy tej pieśni zdają się zlewać w jeden chwałący Pana hymn wraz z budzącą się po nocy naturą. Krajobraz jest z poczuciem natury odmalowany, poezja jakby woń po nim rozlana. Chłopcy śpiewający ładnie ugrupowani, o szczyrych, polskich fizjonomjach, zdają się żyć i ruszać. Rysunek dobry, koloryt nie naśladowany, o tonach łagodnych, bardzo miłe robi wrażenie. Obraz ten przekonał nas, iż pan Pruszkowski,

uczeń Matejki, posiada talent, swobodę, śmiałość i samodzielność, przy których to przymiotach czeka go wielka przyszłość jako malarza, byle tylko unikał chorobliwych ekscentryczności, które wytknęliśmy mu, mówiąc o jego Chrystusie.

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMENIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Tsawellas rozkazał żonie i dzieciom pod eskortą Vely Paszy udać się do Janiny. Było to ich zgubić, krok ostatni, najwyższa ofiara! Ale w tej duszy spartańskiej, czemuż obok ojczyzny mogła być rodzina? We dwa dni już był w drodze ku Suli, zobowiązawszy się wywieźć z tamąd pozostałych 300 ludzi, którzy nie mogli go nie posłuchać. Opatrzony firmanem, udał się do Vely Paszy, by uzyskać wolny przechód dla wychodźców. Fotos doznał najokropniejszej rozpaczki w chwili, kiedy musiał dobyć podpis wezyra dla przejścia granicy swojej ojczyzny. Ciężko mu było pohamować się wobec cynizmu Paszy, który umyślnie rozłożył dywan swój pod kościołem Suli, by zażywać tureckiego kiewu. Jedyną jego radością było, że dom Tsawellów w popiołach, nie doznał żadnej hańby. Nazajutrz Fotos wszedł do Kiaffy z rozdartem sercem na widok ojczyzny. Nikt nie spodziewał się jego obecności. Tam większy był wybuch radości. Koniec zwycięstwa Suljotów dotrwał od czasu, kiedy go ziomkowie wygnali. Ponure wieszczby mnicha Samuela się ziściły. Suljoci tyle zabobonni, ile waleczni, widzieli w powrocie wodza wyższe zrzędzenie; zapominając o bliskości wroga, otaczali Tsawella krzykami radości i w powietrze wystrzelali swe bronie. Nie wiasty i dzieci dawali mu oznaki największego przywiązania. Fotos ile mógł, chronił się od tych owacji, które zdawały się łagodzić jego cierpienia po doznanej od nich niewdzięczności, po goryczach wygnania i więzienia. Wzbronił się udać do Kungghi dla widzenia Samuela i Chaido, lękając się wzbudzić podejrzenie Turczyzna. Zgromadził więc wodzów Kiaffy i rzekł: „Czas nagli, słuchajcie! Ali dał mi wolność pod warunkiem, że was z gór wyprowadzę. Rodzina moja w jego reku. Trzeba wydalic ludzi do walki niezdolnych. Sam ich sprowadzę ku dolinom, potem wrócę i rozpoczniemy bój ostatni. Bądźcie gotowi!“ I tak się stało. Parga i Korfu wzięły w obronę wychodźców. Ale posłaniec mający wieść tę przynieść od Korfjotów, przez burzę wstrzymany, o dni 14 się spóźnił. Tsawellas w najwyższym niepokoju go oczekując, udał się do Margariti. Tam niestety dowiedział się, że zamiary jego odkryte. Postanowił jednak przeprowadzić wychodzących przebojem.

Wrócił do Suli i powiedział wręcz Weli Paszy, że nie miał nigdy zamiarów, jakie mu przypisują. Weli, lękając się jakiego wypadku, udał, że mu wierzy, ale tajemnie poprzysiął ściąć mu głowę. Tsawellas nocą wrócił do Kiaffy, stan rzeczy jaki tam zastał, odebrał mu resztę nadziei. Inny z wodzów, narzędzie Alego, Kutzon-

kas, namówił stu Suljotów, by się z nim z gór wynieśli, i udał się z nimi do kantonu Zalongos. Co więcej, raz spodleni, ułożyli się o kapitulację Kiaffy, mającej nazajutrz być wydaną Bitulacjom surmanom. Fotos w ostateczności zamknął się w kościele św. Wenerandy, 600 Suljotów wiernych i niezłomnych postanowili ostatnią kroplę krwi przelać, niespodziewając się już nią nie uratować. Ali Pasza, pewny tym razem swego, z całym pośpiechem przybył z Janiny; przeszedł Suli i Kiaffę, nie zatrzymując się, i szedł na Kanghi na czele kilku tysięcy. Pragnął wielki bohater, tam dokonać zwycięstwa. Dowiedziawszy się, że Fotos jest w Weneranda, zgromił za nieudolność swego syna Weli. Opóźnił szturm o 48 godzin dla wzmocnienia się, tyle grozy obudzało samo imię „Tsawellasa!”

Wreszcie 7. grudnia 1803, miał 10 000 ludzi pod ręką. W czasie nocy, Fotos, który chwili nie był bezczynnym, opuścił Kanghi z 300 Palikarów i 200 kobiet.

W pewnej odległości od fortecy, otoczył się palisadami i śmiało czekał na wroga. Turcy, z fanatyzującymi derwiszami w pośrodku, szli raźnie, raźniej jak kiedykolwiek. Rzucali broń, by iść prędzej, pewni, że niczem tylko liczbą zdobędą wielkich niedobitków. O dziesięć kroków Suljoci przypuścili taki ogień z rusznic, że armja się cofnęła. I tak pięć razy upominani, pędzeni przez wodzów, biegli do szturm, i cofali się zawsze! Już Klefci nie mogli strzelać z rozpalonych karabinów, poczęli więc bronić się, zrzucając z góry kamienie. Szczególna ta walka trwała od piątej z rana, kiedy ci z Suljotów, co pozostali na szczytach gór, jęli miotać na Turka bryły skał i staczające się drzewa. To wywołało walkę najwścieklejszą. Turcy padali setkami ludzi. Wreszcie, zdziśniętymi, klnąc, cofnęli się ku Kiaffie, opatrzeni na drogę szyderstwem obłożonych i nagrawaniem głośnem ich żon. Po tej hańbie, Ali popędził na nowo do Janiny i tam zamknął się miotany wściekłością. Mimo tego, Suli trzymało się tylko tą garstką walecznych z Kanghi. W ciągu dni siedmiu Samuel, który przewidywał koniec swej misji, Tsawellas, który lubieżnie tęsknił za grobem, siostra jego Chaido, w ciele kobiecym mieszcząca nadmęskiego ducha, podtrzymywali przykładem siły towarzyszy. Dzień i noc Fotos, którym zdaje strudziły się trudy, robił żwawe wycieczki, ale głód, gorszy od Turków, od początku groźnie wiszący nad Suli, gotował mimowolne poddanie Kanghi. Nawet wody im brakło! Nie mieli innego sposobu na ugaszenie pragnienia, jak spuszczać z 800 stopowych skał stromych pod S. Wenerandą na sznurach gąbki w łożo szumiącego Acheronu, by nabrać wody. Gąbki te miały kulę we środku dla ciężaru. Tak mozolnie wyciągniętą wodę wciskali w usta mrących niewiast i dzieci. Wreszcie ośmielili się prosić Tsawella, by zawarł pokój z wrogiem. Uczynili to z miłosierdzia nad swemi rodzicami i dziećmi. Nadziei zresztą nie było żadnej. Zewnętrzna pomoc lada jaka, mogła być jeszcze ich zbawić, niestety, dzień, w którym Grecja miała waleczyć połączonymi siłami, był daleki. Napisał więc Tsawellas do Weli Paszy, prosząc, by mu dał wyjść z ludźmi i taborem i oddał jego rodzinę pozostałą w Janinie. Weli Pasza, nie wiedząc o ich rozpaczliwym położeniu, które z taką godnością ukryć umieli, lekając się jeszcze długiej ich obrony, przystał na warunki. Na mocy traktatu obustronnie podpisanego 15. grudnia 1803, pozwolił Suljotom z życiem, mieniem i honorami

udać się kędy zechcą. Zobowiązał się święcie dotrzymać słowa, a jeźliby je miał złamać, nie uważać się za prawowiernego muzułmanina, wezwać grom na swą głowę, opuścić swe żony i wziąć je na nowo po trojakiem opuszczeniu. (Patrz Chronologję Epiru p. Arawantinos. Ateny 1856). Takim zaklęciem Weli Paszy oczywiście Górale musieli uwierzyć.

W kilka godzin, Suljoci zwyciężeni, ale nie przez Turków, tylko przez zdradę i głód, poczęli schodzić na dół, żegnając po raz ostatni swe drogą góry. Poprzedzali ich księża, niosąc krzyż i drogą naczynia z kościoła świętej Wenerandy. Cisza śmiertelna była wśród nich, przerywana tylko głuchem szlochaniem od czasu do czasu. Wszystkie te mężkie, ogorzone oblicza błyszczały łzami, wszystkie te serca wielkie, były boleścią na wskrós przeszyte. Pierwsze śniegi pobielły wysokie szczyty Selleidy, które tak, zdały się po nich oblekać białą żałobę. Zszedłszy w dół, raz jeszcze Suljoci obrócili się ku Kunghi, wskazując ją sobie niemo rękami. Tam, w przyszłości zejść się mieli jeźli nie oni, to ich dzieci. Następnie rozdzielili się, i według różnych instynktów, w różne udali się drogi. Główna ich liczba z Tsawellasem udała się ku Parga, inni ku górcom Dżumerka, ztamtąd do Tessalji, dla połączenia się z zbrojnemi bandami niepodległemi Armatola Palacopulo; inni zaś szli za wodzem Kutzonitzas w Zalongos. bo ten oplakiwał błąd swój niewczesnie, widząc ziomek niedole i pragnął życiem to okupić. Jedynie mnich Samuel i pięciu Suljotów wzbronilo się wziąć udział w kapitulacji. Broniąc piędź po piędzi każdego kawałka ziemi, po tylu dokonanych czynach waleczności, podpálili zawarte w podziemiach prochy, i wszyscy wysadzili się w powietrze, krwią swoją inaugurując wolność Greków. Pieśń gminna przez usta p. Zambélios tak opiewa z prostotą rozrzewniającą ten wielki czyn:

„Ptak uleciał z Suli; oczy jego były pełne łez, a skrzydła jego były czarne. — Parginoci pytali: Ptaszku, z kąd przylatasz? Kędy lecisz małe ptaszę?

— Przybywam z Suli, lecę do kraju Franków.

— Daj nam pomyślne wieści, ptaszyno!

— Smutne mam wieści, zabrali Suli spalili mnicha“.

Zaledwo wybuch prochowni zapewnił Weli Paszy ostateczne zwycięstwo, gdy 50.000 Albańczyków puściło się w pogoń za wychodźcami, gdyż Ali Pasza rozkazał żywym lub umarłym przystawić Fotos Tsawella do Janiny. Na szczęście pospieszyli się Suljoci, jednak oddział Drakosa i Tsawella był jeszcze na ziemi tureckiej, kiedy oddział dosięgnął ich i schwytał. Dwudziestu konnych pędziło za nimi. Suljoci odwróciwszy się, dali ognia. Fotos pewien, że w tym boju da życie, rzucił się w środek Albańczyków. Na szczęście Drakos zasłonił go swem ciałem i powoli, krok za krokiem pomógł dojść do teritorjum Parga, na którym już Turcy dosięgnąć ich nie śmieli. Ali wściekły tym zawodem, wywarł złość swą na Suljotach, którzy rozsieli się po Epirze. Poszczuł ich Albańczykami, którzy rzuciwszy się na nich, bez wyjątku płci ni wieku, straszliwą rzeź sprawili między nimi. Dwiestu zbiegów zaledwo uszło tej zdrady krwawej, i dosięgnięty Fotosa, udali się z nim do Korfu. Otrzymali ziemię do uprawy, ale ci ludzie nie mogli przywyknąć do mrówczego, jednostajnego życia. Wkrótce zaczęli chwycić każdą sposobność brania udziału

w niepokojach europejskich, jedni udali się do Włoch, inni do Francji, lub do Rosji. O losach Tsawellasa nie wiele odtąd słyszano. Udał się chwilowo do Rosji, z kąd wrócił do Korfu, by tam oddać ostatnie technienie... napróżno łudząc się nadzieją powrotu do Suli i wznowienia tam wojny.

Fotos Tsawellas na zawsze będzie wielkim posągiem w historii wojen o niepodległość grecką. Jego niezrównana śmiałość, wielkość duszy i tragiczny żywot, przedmioty nieskończonych improwizacji ludu w Epirze, utworzyły z tego Klefsta typ nieśmiertelny, żywą balladę, rozpierzchniętą w podaniu, której rapsody kiedyś zebrane, godne są utworzyć całą epopeję. Niektórzy sądzą, że odwaga i wiara Fotosa osłabły w ostatnich chwilach walki. Wcale nie. Przykład dany w tych górach, nie był bezowocnym. Grecja pojęła, że wróg acz potężny, nie jest niezwyciężonym, patrząc na tę walkę trzyletnią, w której 18.000 ludzi bronilo się przeciw całym armiom jednego z państw najpotężniejszych. Pojawszy to, Grecja zaczęła myśleć o skupieniu sił i środkach swego odrodzenia, odtąd, głucho poczęła wstrząsać łańcuchami. Dotąd, w górach skoncentrowana walka, jak pożar zwolna idący, schodzi na rozdoły, a zwolna przenosi się do siół i miast. Wkrótce pocznie się ona pod wodzą męża równego Tsawellasowi, który przeszedł go w doświadczeniu, jakiego nabył z nieszczęść Suljotów. Zanim Marko Botzaris z kolei rozpoczął wojnę narodową, wychodźcy Selleidy, rozpierzchnięci po różnych krańcach Europy, roznieśli wieści, które obudziły na nowo wspomnienie starej Grecji, dawno zapomnianej. Byli oni pierwszymi siewcami tych idei i uczuć, które później zakiełkowawszy, obudziły sympatje szlacheckich umysłów, podały rękę walczącym Hellenom, mianowicie ze strony Francji. (C. d. n.)

Na Wyszehradzie.

(Ciąg dalszy.)

Ciężkie to były chwile, tak ciężkie, że już często łamał się rozpaczą. Ale w tej walce z niedzą i obowiązkiem, którym nie zawsze mógł podoleć, Wicieszaw wyszedł zwycięzcą i mężem, nie potrzebującym kryć czoła przed ludźmi. Do cierpień, na które bolał, potrzeba zaliczyć jeszcze rozczarowanie, jakiego doznał, poznawszy się bliżej z filologją, którą był sobie wyobraził inną, a nie taką zobaczył, to też jak za pokutę słuchał jej kursów. Ale, im większy chłód i zrażenie uczuwał do filologii, tem więcej go zajmowała historia, filozofja i estetyka.

Nie zawsze przecież trapiły i prześladowały go losy, i te chwile uniwersyteckie miały — oprócz ciemnych i czarnych, barw kilka jasnych. W 1858 r. wydał liryczno-epicki utwor „Alfred“, i krytyka spotkała go tak uprzejmie, że nawet poważny i surowy „Musejnik“ (pismo cz. Muzeum) piórem dr. Czajki pochwalił „Alfreda“. Dalej, będąc domowym nauczycielem u wdowy po Horaczk, poznał tam i pokochał najstraszniejszą jej córkę Dorotę (później się z nią ożenił). Miłość ta była na wskrós poetyczna: wyznawał ją w pełnych uroku piosnkach, które złożyły sławne „Wieczorne pieśni“ (Weczerne piosenki) i, odchodząc po lekce, zawsze jedną taką piosnkę zostawiał w rękach czekającej na nie Doroty. W 1859 r. te piosenki

tego zdarzenia za nic, rzeczywistość bowiem od snu, najważniejszą rzeczą, to jest zakończeniem się różniła. Lecz po dwóch miesiącach i ta część snu się spełniła.

Tancerka nazwiskiem Binetti, którą ostatni raz w Londynie spotkałem, przejeżdżając z Wiednia do Petersburga, zatrzymała się w Warszawie. Dowiedziałem się o tem z samych ust króla u księcia wojewody; dodał on, że ją za tysiąc dukatów przez tydzień w Warszawie zatrzymać myśli, by ją tańczącą widzieć. Ciekawy z nią mówić i chcąc jej jak najprędzej tę przyjemną nowinę donieść, odwiedziłem ją w oberży. Zdziwiła się, iż mnie znowu w Warszawie spotyka, a dowiedziawszy się o 1000 dukatów, zawołała męża (także tancerza), który jednakże dopóty o tem wątpił, dopóki sam książę Poniatowski nie przyszedł, królewską im wolę oświadczyć. Tomatys, dyrektor opery, niczego nie szczędził, wszystko tak urządził, iż zadowolenie króla osiągnął; a nowa para tancerzy tak się podobała, iż ją na rok ugodzono i zatrzymano. Zgryzło to nie mało Catani, zgasła bowiem przy Binetti i przez nią swych wielbicieli traciła. Tomatys skarżył się na przeszkody, z ich nieprzyjacieli wynikające; Binetti tymczasem najmuje dom, jak najmodniej go mebluje, opatruje w podwójne zastawienie, w wyborną piwnicę, wykwinną kuchnię, i znajduje chmurę wielbicieli, pomiędzy którymi stolnik Moszczyński i W. podkomorzy koronny Branicki celują; ostatni mieszkał w zamku tuż przy pokojach królewskich.

(C. d. n.)

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMENIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

II.

Marko Botzaris.

(Temistoklesowi i Izabelli Anino, bratu i siostrze, którzy pięknością i miłością ku sobie przypominali grupę Oresta i Elektry wędrownemu artyście, w domu ich podejmowanemu tak, jak u nikogo z ziomek, ten przykład z niezmienną serdecznością poświęcam. Po raz drugi w Atenach nie zastałem już ojca waszego, a was sierotami. Nie zapomnę jednak pola, jakie otworzył przed koncertem w swym domu, dla zapoznania artysty z obcą publicznością. Cześć odemnie jego pamięci, a wam pozdrowienie braterskie od tłumacza, co Grecję ukochał „na zawsze“.) W. T.

I.

Oto imię, które Grecy wymawiają z największą dumą. Syn Kitsosa Botzaris, który przesunął nam się w górach Suli, urodził się on r. 1788, i spędził pierwszą młodość w Wurgarelli, wiosce pod

górami Dżumerka, na północ sąsiedniej od Sel-leidy, w Altamamej.

Po klęsce Suljotów w r. 1803, Kitzos napróżno próbował ochronić tych, co się w koło niego zgromadzili. Napadnięty przez wojska baszy Janiny, zamknął się w monasterze z kilką set żołnierzy, kobiet i dzieci, i przez kilka tygodni wytrzymał powtarzające się szturmowania Albańczyków. To było szkołą wojskową młodego Marka Botzaris. Ale monaster zdobyto, a obrońców jego wymordowano. Kitzos, Marko i pewna niewiasta, której imię dla historii stracone, w troje zdołali się przedrzeć przez bandy tureckie, i dostali się do Parga. Marko Botzaris był jednym z Greków, którzy poszli służyć wojskowo we Francji. Pobyt jego tamże nie zostawił żadnych śladów; w lat kilka wrócił do Korfu, by zorganizować oddział Suljotów.

Kolokotroni *) powiada, że go spotkał r. 1814 w chwili, gdy miało nastąpić starcie między Francuzami a Anglikami. Kolokotroni był w służbie angielskiej. Wabił on Marka, by przeszedł na jego stronę. Jakże chętnie, odrzekł tenże, bym opuścił sztandar, któremu przysięgłem? Każdy z swej strony! Gdy strzały ustana, uściskamy się. Kolokotroni uznał tę wierność Marka, po skończonej bitwie uściskał go i obyczajem Greków złączył się z nim węzłem braterstwa. Pobyt Botzaris w Europie, widok wielkich wypadków, których był świadkiem, dały mu niesłychaną wyższość nad wszystkimi wodzami w wojnie o niepodległość. Nie umieli oni się pod wpływem barbarzyństwa, w jakim wzrosli i na które patrzyli, otrząść z wzajemnej zawiści i kłótni, które tyle rozczarowań sprawiły szlachetnym Europejczykom, przybyłym do Grecji r. 1820 i 1824, którzy przepełnieni ideami i tradycjami klasycznymi, sądzili, że zaraz spotkają Aristydesów, Militiadów lub Filipomenów w każdym z przywódców oddziału helleńskiego. „Jeden“ Botzaris odpowiedział oczekiwaniu cudzoziemców, którzy walczyli przy jego boku, i urzeczywistnił ich ideał. Filhelleni, których pytaliśmy, lub czytali wspomnienia, w jeden akord uwielbienia dla tego bohatera zstrajają swe głosy i stwierdzają słuszność nadanego mu imienia Leonidasa. Z wszystkich olbrzymów starożytności, ten jeden wzbudzał zażdrość Botzaris swą chwałą; mówił o nim bezustannie i marzył o wynalezieniu sobie drugich Termopyłów i podobnej śmierci.

Z gorącym patriotyzmem, z lwią odwagą, łączył on żywą bystrość umysłu, łatwość wysłowienia, która bez usiłowań wznosiła się do potęg wymowy, znajomość gruntowną rzeczy wojskowych i potężną żądzę sławy. Zjednał sobie wszystkich, co się doń zbliżyli, słodyczą obejścia, a ogólny szacunek zacnem postępowaniem i nieposzlakowanym charakterem. Można rzec, że życie jego o tyle wolne jest od wad, ile mieści przymiotów i wielkich czynów. Edward Blankiers, członek komitetu Helleńskiego, długo bawiący w Atenach, znający osobiście Marka Botzaris, takie o nim składa świadectwo: „Obok przymiotów, jakie daje wychowanie i wykształcenie, Marko Botzaris odznaczał się wszelkimi cnotami, przystępnymi człowiekowi, a były one tak pełne w nim prostoty, że przykład ich znajdujemy tylko w Plutarchu. Od pierwszej młodości był nadzieją, a później podziwem swego kraju, jako obywatel, patriota i

żołnierz.“ Jak cała prawie rasa Suljotów, Marko Botzaris był niski, blondyn, zwinny i silny, po grecku nosił długie włosy, opadające mu na ramiona. Fizjonomia jego, równie jak charakter, miała wyraz słodczy, energii i śmiałości, a osoba jego niewiedzieć jakim urokiem oczarowywała każdego, który doń się zbliżył. Botzaris był bohaterem w całym znaczeniu tego wyrazu. Historia, najbezsronniejsza, zebrawszy wszystko za i przeciw, nie rzuciła najmniejszego cienia na tę postać romantyczną, którą nowsza poezja grecka otoczyła takim urokiem.

W r. 1820 Marek wylądował na wybrzeżach Chamuri z kilku set Suljotów, wróconych z wygnania. W tej epoce, Ali Pasza blokowany był w Janinie, brawując przez lat 12 wyroki śmierci, wydawane przeciw niemu przez sułtana. Obleżony przez 20.000 ludzi, pod Seraskierem Izmaelem, bronił się z całym szaleem rozpacz i nie posiadał już jak swój pałac nad jeziorem i górę Suli, gdzie wznosił warownie najeżoną działami na miejscu słabej wieży Kiaffa. Marko Botzaris przekraczając granicę Epiru, pragnął przejść jak najprędzej ku „meteczom“ *) gór Suli, w których oczekiwali go jego towarzysze. Nie sądząc, by chwila powstania Grecji dojrzała już, chciał pozostać w pośrodku między sułtanem a jego buntowniczym współzawodnikiem, i sądził, że siły obu osłabną w tej wojnie domowej. Tymczasem, chciał z góry Suli uczynić ognisko rewolucji Greckiej, tak jak to uczynili Moskale w r. 1790, ale szybki pochód wypadków uniemożliwił wykonanie tego zamiaru. Za radą sędziwego Notbi Botzaris, stryja Marka, Suljoci w liczbie 800 z dziećmi i żonami udali się do kwatery Izmaela Paszy pod Janiną, prosząc, by na ich ryzyko wolno im było zająć Suli, w których stał jeszcze silny oddział Alego Paszy. Żądali również powrotu a nietykalności wszelkich przywilejów, jakich używali ich ojcowie. Izmael przystał na wszystko, byle pomogli mu w szturmie Prewezy, którą bronił zacięcie Wely, znany nam syn Alego. Preweza w parę dni padła pod ciosami Suljotów i M. Botzaris, którzy upomnieli się zaraz o należną nagrodę.

Izmael**) dla różnych wybiegów odłożył dotrzymanie obietnicy. Suljoci przebiegli a roztropni, postanowili nie brać żadnego udziału w walce, i patrząc na nią z daleka, osiedli w wiosce St. Nikolas, nad jeziorem Janiny, u stóp góry Paktoras. Ali o tem uwiadomiony, począł ich wabić ku sobie. Środek jakiego użył dla skrytości, był taki: Cały dzień kazał strzelać na biwak grecki, i wystrzelił na niego mnóstwo bomb. Żadna jednak nie wypaliła. Grecy zdziwieni tym fenomenem, rozłupali wszystkie, z razu skłonni myśleć, że to jakiś cud, znaleźli w każdej bombie kilkanaście sztuk złota i bilet od Ali Paszy, obiecujący wszystko i wzywający posłów Suljockich do siebie. Żądał, by na znak zgody zapalili trzy płomienie i zeszli ku brzegowi do Gany, kędy łódź na nich czeka. Marko Botzaris udał się zaraz z kilkoma towarzyszami. Stary lis użył wszelkich fortelów, by sobie zjednać dawnych nieprzyjaciół tak przez niego skrzywdzonych, roztworzył przed nimi firman sułtana, który polecał wygubić wszystkich chrześcijan, a najprzód Suljotów. Kapitanowie podpisali ofiarowany im układ, na mocy którego Ali oddawał im cały kraj i ofiarował zakładników.

*) Meteczami zwą Grecy nietylko zjawiska sferyczne, ale i szczyty gór, wyrżnięte u nich bardzo utarte.

**) Po Napoleońsku (l)

(P. R.)

*) Historia wypadków greckich r. 1770 do 1830, dyktowana przez Teodora Kolokotroni synowi swemu Konstantynowi. (Ateny r. 1846. Terrettli.)

Między greckimi mieli być: żona, brat i dzieci Botzarisa. On sam naprózno ofiarował się za zakładnika. Cały bufiac z nim przybyły temu się sprzeciwił; Botzaris zaś sam ofiarował za zakładnika swe dzieci, i te Chryzejs, żonę swą, która więcej jeszcze słynęła z cnót jak z piękności. Z swej strony Ali Pasza dał mu najmłodszego i najulubieńszego z swych synów, Hussejną Paszę. Wymówił sobie tylko, by wieża w Kiaffie wzniesiona, była jego własnością, i że Albańczyków z niej nie wypędzą. Suljoci naiwnie przyjęli ten warunek, nie zważając, że dawna wieża Kiaffy, mieszcząca sumum 50 ludzi, została zastąpiona całą fortecą, całą załogą mogącą pomieścić. Następnej nocy udali się do Kiaffy, ale Marko Botzaris, z którego charakterem nie zgadzała się nocna niecieczka, wzbrowił się wyjść z obozu przed świtem. Rano wyruszył, i ostrzeliwując się patrolom tureckim, wszedł w góry i dopędził towarzyszy wieczorem (w grudniu r. 1820). Kto sobie wystawi zdumienie Suljotów, gdy u wejścia w góry zastali całą hydrę napiętrzonych murów fortecznych, zamiast dawnego Pyryot w Kiaffie? Ograniczyli się rozstawieniem swych straży na głównych punktach warowni; zarazem oświadczyli Wezyrowi, że syn jego zamknięty będzie w Suli, dopóki kluczów Kiaffy im nie oddadzą. Nowy teatr wojny trzeba choć kilku słowami naszkicować. Selleida, którą unieśmiertelnił Fotos Tsawellas, na zachód jest równie łagodną i uśmiechniętą, jak na wschód ponurą, i porozdzieraną gardzielami najdzikszych rozpadlin i wyłobień. Okolica ta, zwana Chamuri, zamyka cały kraj między Tyamis a Acheronem, od morza Korfijoskiego na południe, aż do gór Olchinijskich na północ. Część północna Chamuri, zwana się Tesprocją; ta która zbiega ku morzu, zowie się Cestriną i Aionia. Tam to starożytni umieścili państwo Plutona, i tam znajduje się jezioro Acherus o parę mil od przylądka Glykys. Od tego portu idąc w górę ku przeciwnemu brzegowi Acheronu, idzie się tą samą drogą, którą przebiegali starożytni, idąc z drzeniem ku wyroczniom Dodony. Z tegoż portu Glykys, idąc ku południowi, schodzi się w kanton Rogu, który oznaczał dawną Kassiopeę. Kraj wzgórzysty, czasem bogato roślinny, gdzie pastwiska Epiroccy zwykli zimować.

Na wschód graniczy z Arachtusem (dziś Lurcha) na brzegu którego stoi miasto Lorux, nie daleko od miejsc, gdzie była Ambracja, której zaledwie kilka szczątków zostało. Ta piękna prowincja tworzy szeroką płaszczyznę, całą zasianą łąkami i lasami; wznosi się na północ aż do szorstkich gór, tworzących pasmo Warjados i pięciu studzien, o 5 godzin od golfu Arta. Ali Pasza u pięciu studzien utworzył karawan seraj obronny, i na tem miejscu najbardziej zależało Suljotom, bo jest kluczem drogi morskiej do Janiny, i krótką drogą oddzieloną od gór Dżumerka, schronienia najbliższych Kleftów Epiru.

Podróżny schodzący tą pochyłością od Selleidy ku Arta, ma przed oczyma najrozkoszniejsze panoramy, gdy czystą jest atmosfera: na pierwszym piśmie powstają iglaste wierzchołki, ciemne otchłanie i śnieżne pasmo gór Suli; u nóg jego śmiejąca dolina Arty zbiega aż do morza, które z nią igrza, bryzgając w półkolach modrą falą i pianą podmuchem, góry zaś Akarnanji najwyższe, służą za ostatni plan obrazu. Na wschód wreszcie, po nad alpa szmaragdową Dżumerki, wysokie szczyty Pindu, których masa imponująca nadaje całości czarownej charakter olbrzymi, pełen tę-

sknej melancholji. Dla nadania wojnie, która wkoło Selleidy toczyć się miała, charakteru narodowego i widocznych korzyści, Botzaris pospieszył zbliżyć się do chrześcijan Tesprotyjskich. Suljoci pozbywszy przesądów dawnej wygórowanej wyłączności, która ich osamotniła i zgubiła ostatecznie, postanowili zawrzeć braterstwo z wszystkimi okolicznymi plemionami greckimi. Po raz to pierwszy widzimy zbratanie się gór z płaszczyznami, a mała republika Suljocka, występując z wyłączności, jaką się otoczyła w skutek naiwnej dumy, rozszerzyła się raptem od Janiny do kantonu Loru nad morzem. Tak więc mężny Botzaris stanął na czele 3.500 walczących.

(C. d. n.)

Na Wyszehradzie.

(Dokończenie.)

III.

(Kobiety. — Kobiety autorki. — Czeskie kobiety autorki. — Bożena Niemcowa czeska Klementyna Tańska. — Życie Bożeny. — Jej dzieła.)

Jakiejże to kobiety popiersie widzi oko na grobie? Przed czym stojmy pomnikiem? Przechodniu, ukłęknij: to grób kobiety świętej, to nadgrobie Niemcowej!

Nie wiem, co było więcej godne czci w tej osobie, której tu zwłoki... kobieta czy autorka? Pierwszy tytuł ma dla mnie więcej uroku, ale powszechnie uchylają się przed drugim. Chodząc po mizernej kuli, którą szumnie nazywamy światem, w różnych krajach i pośród różnych narodowości widziałem autorek wiele, a kobiet wyższych ledwo kilka. Te autorki płały się po większej części w mierności; były to puste beczki, z szumem i hałasem toczące się po świecie.. Ale Niemcowa do nich nie należała: ona była autorką w całym tego słowa znaczeniu, taką, jaką autor-kobieta być powinna, ale nie genjuszem; autorką była, niebios wysłannicą, kobietą i kapłanem zarazem, była jak nasza Tańska, jak Biczter Stou (Beecher Stowe) amerykańska lub Fryderyka Bremer szwedzka: wiązała się piśmem tylko ściślej z obowiązkami płci swojej i szeroko je pojmowała, ale nie była genjuszem; Bożena była tylko kobietą, prawdziwą kobietą, więc, wielką...

Takiej kobiecie, takiej autorce, próżno staralibyśmy się wyrażać uznanie nasze; pochwały mogą przejść autorkę, ale nie dorównają świętości niewiasty; powiadam więc raz jeszcze, dla mnie kobieta p. Niemcowa jest większą i czci godniejszą od p. Niemcowej autorki. Lecz, co znaczy moje osobiste przekonanie wobec głosu całego narodu? Kobiecie, Czesi pozwolili umrzeć prawie z głodu, autorce wzniesli pomnik po śmierci!

Stanowisko B. Niemcowej w czeskiej literaturze jest rzeczywiście ogromne; ona i dwie siostry Rottówny (pani Mużakowa czyli Karolina Swietla, najcelniejsza powieściopisarka czeska, i Zofja Podlipska), nie tylko są utalentowanymi autorkami, ale, co więcej, zapatrują się na pisanie ze stanowiska wyższego, podczas gdy wielka część ich mekkiej braci „autoruje z rzemiosła.“ Pisanie podobne tu jest często do szycia butów na obstarunek (tylko, że fabrykowanie literackie łatwiejsze jest od innego) dla tego też tak rzadko chwytają ich utwory za serca: domyślniejsze ono od kobiety chyba!

„Und wo ich die göttliche Natur nicht fand, da fand ich elende Stümperei“, powiedział przez wszystkich kochany Börne. Jakże śliczny dają widok, te trzy zdolne czeskie autorki, których działalność tak do siebie podobna, chociaż sława różna. Imię Karoliny Swietlej przeszło do pobratymczej Polski; jej utwory, jak pisma pani Beecher Stowe, wielbione w świecie, nasze kobiety postawią na pierwszych półkach i w bibliotece i w sercu; niczym przeciwko temu nie miał, gdybym tam widział jeszcze prace Niemcowej. Jej „Babcie“ przełożyła Zaleska (Polka??) na język moskiewski. Pani Podlipska redaguje piękną „Bibliotekę żeńską“ i jest z wielu względów podobną do naszej Pauliny Kraków lub Emilji Leja. Czesi, oprócz tych trzech autorek, mają jeszcze kilka nowych; milczę o nich nie przeto, ażebym je za niezasługujące wzmianki uważał, ale, że piszę o Niemcowej. Powiem tylko o nich, że ogólne wrażenie, jakie sprawia czeska literatura żeńska, jest przyjemne, miłsze od mekkiej, a prazkiej „Biblioteki żeńskiej“ nie krytykuje, ale zalecam usilnie rodaczkom moim.

Pan Pankel, ojciec naszej autorki, był Niemiec, poczciwy, zany, godny. Szlachetny sposób myślenia, poetyczna dusza, dłoń zawsze gotowa do braterskiego uścisku i pomocy, czyniły go przedmiotem powszechnej czci i szacunku. Zbliżywszy się do Czechów, pokochał to ukrzywdzone a szlachetne plemię, a nie przestając być Niemcem, sprawiedliwym był względem Czechów i wybrał sobie z ich grona małżonkę potulną, delikatną, cichą. Dobre wpływy mogły więc spływać w obfitości na dzieci Pankłów, a tych było czternaście. W tem licznej potomstwie najstarszą była autorka, właściwie Barbara, która się w pismach nazywała Bożeną. Przyszła na świat w Wiedniu 5. lutego 1820, ale już w pierwszym roku przenieśli się rodzice do Szlązka, bo tam u księżnej Żegańskiej (Sagan), Pankel był koniuszym. Ów obowiązek bardzo często wydalął ojca z domu. Wtedy miejsce mowy niemieckiej zastępowała czeska, której Pankel nie rozumiał, ale brzydka lub niższą od niemieckiej nie nazywał; wszem, sprawiedliwy we wszystkim, ojciec Bożeny uważał język czeski za mowę plemienia niegdyś sławnego i wielkiego, i tego kochanej Basi wcale nie miał za złe, że później zaczęła pisać po czesku, tylko żałował, że dzieł jej pierwszym być sędzią nie może. W takim więc domu, ta, której żywot piszemy, poczęła swe pierwsze nauki. Później, siedmioletniem dzieckiem oddana ją do szkoły, lecz właściwe nauki odbyła w Chwałkowicach, gdzie nauczyciel i miejscowy ksiądz przyczynili się bardzo do jej oświaty, ale jeszcze więcej zamkowy rządca, u którego mieszkała, człowiek bardzo światły i ocytany. Też ją obezwał z niemiecką literaturą, a służąc dziecku, które już pisało wesołe wierszyki, dostępną swą biblioteką, z powszechną. Był to również człowiek bardzo zany. Po ukończeniu wychowania w szkole, z żalem po Chwałkowicach wracała Bożena do Raciborzyc, gdzie mieszkali rodzice, ale pobyt w domu nie był dla niej bynajmniej straconym czasem, bo przykład matki i babki uczyły zasad etyki lepiej od wszystkich filozoficznych traktatów, a książki z pańskiej biblioteki, gdzie ze służącą przesiadywała całe dni, uczyły ją nauk. Piękna, miła, pociągająca, nie długo była panną, bo już w r. 1837 wydano ją za mąż za urzędnika finansów. Józefa Niemca (Josef Niemec), który, pobywszy krótko w Ke-

Jasioński Stanisław, artysta dramatyczny teatru lwowskiego i jednocześnie malarz, wystawił nie złe malowany krajobraz o zachodzie słońca.

Nieznany artysta przysłał na wystawę kopję z pięknego obrazu Delarocha: „Matka Boska beleśna”. W nowszych czasach nikt lepszych madonn od Delarocha nie malował. Powagą swoją i świętością przypominają madonny Andrea del Sarto.

Hrabina Stadnicka wystawiła pięknie i starannie wykonane malowidło ornamentalne na drzewie.

Majewska Emilja z Krakowa w obrazie olejnym „U furty klasztornej”, okazała pojęcie szlachetne i talent, który się rozwinię przy pracy.

Tyniecki Władysław z Lwowa, wystawił trzy widoki, robione akwarelą, wdzięcznie w oko wpadające.

Werner C. także akwarelą miał na wystawie: Widok ulicy w Weronie z nagrobkiem.

Po Leonie Kaplińskim, zmarłym w Miłosławiu, w gościnnym domu Seweryna Mielżyńskiego, mecenas sztuki i nauk w Wielkopolsce, wystawiono cztery szkice akwarelą robione podczas podróży tego malarza po Turcji. Są to typy: Turka, Czarnogórcę, Serba i Bośniaka, wielce interesujące z powodu wojny, jaką obecnie toczą. Miła to pamiątka po artyście i zarazem pisarzu niepospolitego talentu, który dnie swojego tułactwa napelniał użyteczną pracą dla Polski.

Szkicami Jana Matejki zawieszoną została cała ściana. Były to roboty ołówkowe, pierwsze podmalowania, bruljony, z których później nie jedno powstało arcydzieło. Artystycznej wartości bruljony te nie mają, w wysokim jednak stopniu interesowały znawców z tego mianowicie względu, iż wykazywały pierwsze pomysły, rzucone nieraz w kilku kreskach lub w kilku pociągnięciach pędzla i wyrabianie się tych pomysłów na dzieła znakomite. Pierwszy pomysł nie raz bywał różny od dzieła, jakie z niego powstało. Zasługuje na uwagę, że artysta w pierwszym pomysle nigdy nie zawarł tego wszystkiego, co później w obrazie swoim wyraził. Nie ma też ani jednego, o którymby powiedzieć można: szkoda, iż artysta nie trzymał się do końca swojego pomysłu. Widzimy tu prace, ciągle rozwijającą się w doskonałość; widzimy cały proces powolny wytwarzania się arcydzieł, które nie są i nie mogą być improwizacjami. Ażeby stworzyć arcydzieło, nie dość pomysłu szczęśliwego, nie dość natchnienia. Arcydzieło, to praca, to postęp, tego nauczyła każdego myślącego człowieka ta wystawa bruljonów, szkiców, i studjów mistrza polskiego malarstwa. Były na niej i studja z natury robione przez Matejkę w młodym jeszcze wieku. Pomiędzy nimi znajdował się wykończony i wysokiej wartości portret olejny ojca dzisiejszego właściciela tych szkiców p. Piotra Dobrzańskiego, którego zamalowaniu w sztuce i znawstwu, zawdzięczamy zebranie i zachowanie tej jedynej w swoim rodzaju kolekcji. Z czasem nabierze ona i pamiątkowej wartości.

Z cudzoziemców wzięli udział w dziewiętej wystawie lwowskiej Friedländer Fryderyk z Wiednia, znakomity rodzajowy malarz niemiecki. Przysłał na wystawę mały, drobniawo wykończony obrazek, przedstawiający starą, niemiecką gospoдинię. Friedländer Kamila, córka poprzedniego, nadesłała dwa male obrazki, w których starannie odmalowała różne przedmioty śląskie, tak zwaną „martwą naturę”. Emilja

Nr. 36.

Helon z Wiednia, przysłała olejny obraz malej wartości. Jej cyganek jest tylko szkicem, który należało przed wystawą wykończyć. Plommer S. z Wiednia, reprezentowany był na wystawie przez dwa maleńkie krajobrazy, pięknie i sumiennie wykończone. Oba krajobrazy przedstawiały widoki alpejskie.

Oprócz wymienionych obcych prac, był jeszcze na wystawie obraz z dawnej szkoły włoskiej: „Uczta” niewiomego pedzla, i dwa obrazy szkoły flamandzkiej: „Ptactwo ubite”, niewiomego także artysty, pochodzące z kolekcji Fr. Tepy:

Rzecz o rzeźbie na dziewiętej lwowskiej wystawie, zostawiamy do następnego numeru „Ruchu literackiego”.

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMENIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Zniewolony złą wiarą Izmaela do chwycenia broni pierwiej niż zamierzał, Marko przedewszystkiem wziął się do przecięcia wszelkiej styczności między nieprzyjacielem a miastem Arta, stolicą Amfilochji. W tym celu opanował karawan seraj warowny, który bronił przejścia tak zwanego „pięciu studzien”, o 5 mil na południe od Janiny. Panem będąc tego miejsca, mógł zarazem podać dłoń wojowniczym Kleptom w górach Dżumerka, z których śmielsi poczeli się już kupić w koło niego. Wtedy po raz pierwszy echa Epiru powtórzyły Δεύτε, και δεξ των Ελλήνων! (naprzód! dzieci Hellady!) hymn narodowy, podłożony pod arję Marsyljanki, wprowadzony przez Suljotów, służących ongi pod sztandarami Francji. Spiew ten przedko rozpowszechniony, rozplomiął ducha w najważniejszych zwycięstwach. Utrata przemyku „pięciu studzien, opanowanego przez Suljotów” rzuciła popłoch w obozie Izmaela. Turcy wybrali w zabobonności swej 36 oficerów, którzy mieli na tę intencję powtarzać po dziewięćdziesiąt razy „na dzień Iszy rozdział koranu, i 36 Derwiszów, którzy równocześnie mieli otrzymywać dziewięćdziesiąt plag dyscyplinarnych od swych przełożonych. Ta satysfakcja dana prorokowi, którego zagniewania objawem miało być powodzenie chrześcijan, miała za następstwo, że wysłano 5000 piechoty i konnicy dla odbicia karawan seraju od Suljotów, których tam było 250.

Ci, ostrzeżeni przez Ali Paszę, przypuścili wroga aż pod stopy forteczki, i przyjęli rzesistym ogniem. Niemniej Muzułmanie szturm rozpoczęli; ale w tejże chwili, z innego wąwozu gór, ukryty Marko Botzaris wpadł na nich z garstką zbrojnych, rozbił, i ścigał aż do forpoczty Tyriaki. Poczem z największym pospiechem wrócił ku „pięciu studniom”, dla uwolnienia jeńców wojennych. Jeszcze niezdał wrócić, a już dziecy Suljoci ścigali kilku, wywieszając ich głowy jako trofeje. Przerwał groźnie to dzieło, on, który nigdy swego zwycięstwa krwią bezbronnym nie skalał. Głównym jego trudem obecnie było wprowadzenie karności wojskowej europejskiej wśród małych band koczowniczych, na czele których

jako partyzant stawał, a jakiej świadkiem bywał w bitwach europejskich. To też wojna o niepodległość ojczystą, z Markiem Botzaris przybiera charakter wzniosły, na którym dotąd jej zbywało. Przestaje być szeregiem bójek i krwawych rozbojów wzajemnych, nieopartych na żadnych rezultatach politycznych, epizodów bezładnych, tryumfów bez jutra. Nowy wódz wiedzie ich do celu świadomego, wszystkimi możliwymi środkami, do celu, którym jest wypędzenie Turków nie jak dotąd z jednej wioski, góry, lub choćby prowincji, ale z powierzchni całej Hellady! Dzięki powodzeniu Botzaris, powstanie chyżo się wzmogło. Kassiojpa zerwała się jak jeden mąż. Sami Albańczycy poczeli mierzyć sobie usługę u Izmaela. Dwaj główni ich wodzowie, Tabir Abbas i Hagos Bessiaris, kolejno sprzymierzyli Alego, to sultana, przeszli pod sztandar Botzaris. Seraskier mocno poturbowany, pozbawiony posiłków, użył adjutanta swego Bakir Dżokador, jako pośrednika z Grekami Selleidy (Luty 1821). Ci przystali na zawieszenie broni jednomiesięczne. Polemarka, nierad bezczynności Grecji południowej, użył tego czasu do wysłania emisariuszów, którzyby wieść o zwycięstwach rozsiłali. W kilka tygodni ciż powrócili do Suli z wielką nowiną: oto Germanos*), metropolita Patrasu, manifestem bohater-skim, datowanym 26. marca 1821, ogłosił niepodległość Grecji, zawołał ziomków pod sztandar swój, a za świadków — narody.

Turcja zastąpiła Izmaela, pomówionego o niedołęztwo, Kurschidem, Paszą Morei. Ten opuścił parę dni potem Tripolitę, zostawiając tam skarb i harem swój pod strażą Albańczyków. Przybył pospiesznie do Epiru i stanął pod Janiną w chwili, gdy minął czas zawieszenia broni. Ali Pasza przerażony, wreszcie postanowił oddać chrześcijanom cytadelę Kiaffa, dla większego ich zobowiązania. Powstańcy Epiru, groźnej przeszłości świadomi, gromadnie schronili się w góry Suli. Odtąd życie Botzaris jest nieprzerwanem pasmem bojów, epopeją nieprzerwaną „w czynie”, dzielącą się na trzy rapsody: Obleżenie Arta, kampania Epiru 1822, i wreszcie bitwa Karpenitzi.

Obleżenie Arty (1821) główny rozgłos broni Marka rozniosło. Arta, stolica Amfilochji, leży o 12 godzin od Suli, a o kilka godzin od morza i portu Ambracji. Klimat jej łagodny, ziemia bujna, kwieciste ogrody, gaje wonne pomarańczowym kwiatem, błękitny port, najeżony szkieletami masztów, bogate karawany co dzień wychodzące ku prowincjom północnym, z swem arcybiskupstwem, z dwudziestu sześciu kościoły greckimi, których bizanckie kopuły malowniczo wznosiły się z pomiędzy lśniących minaretów i moszei, miasto to, po Janinie, było wówczas najważniejszym w Epirze. Dziś nikt by nie poznał jego dawnej świetności. Rząd turecki, wierny tradycjom swego fatalizmu, nie podźwignął go z upadku.

Prócz wspanialszych mieszkań kilku rajasów zubożonych w Grecji, a chytrze kryjących swe bogactwa przed okiem jastrzębia, nie widać w tych stronach podległych Turcji nic, prócz nędzy ludu i opieszałości władz krajowych. Niemniej, szafir niebios, który się nie zmienił, jeszcze Artę malowniczą przedzierzga w jedno z najcudniejszych ustroni...

Mimo, że Arty broniło 10.000 ludzi i silna artylerja, Botzaris nie myślał o niczem jak o jej

*) Podróżując po Grecji, nocowałem w jego celi w klasztorze Megaspilion. (Tarnacz.)

opanowaniu, które czyniło go panem okolicy, o-
twierzało stosunki z flotylami hydrjoekimi i po-
wstańcami całej Akarnanji. Po raz to pierwszy
ten naród bezładny, od wieków ujarzmiony, miał
zdobywać miasto i wytrzymać ogień walnej bitwy.
To właśnie uśmiechało się wodzowi. Niczego nie
szczędził ku temu przedsięwzięciu. Olbrzymie
groty tamtejszych gór stały się arsenałem i
spichrzem doraźnym, strzeżonym przez starców
i mnichów. W czterech wsiach Selleidy powstały
szpitale rannych. Łory Tesprocji i kantonu Rogux
zostały przecięte linjami, a na drzewach
porobiono drogoskazy. Na szczytach gór Amfi-
locji osiadły czaty, dające sygnały, i śledzące
ruchy wroga z swych orlich wysokości. Wreszcie,
wzmocnił Botzaris przesmyk „pięciu studzien“, i
osadził załogę mogącą stawić czoło Kurschidowi
Paszy Morei. Wtedy atakiem wykonanym w kie-
runku Wariades, odwróciwszy uwagę Seraskiera,
Marko z 600 ludzi spuścił się cichaczem z Suli,
dawszy hasło Chamidom na granicy kantonu Rogux.

Niestety, liczył on optymizmem szlachetnej na-
turze właściwym, na Albańczyków z sobą sprzy-
mierzonych; ledwo opuścił góry, dowiedział się,
że przeniewierczo na nowo rzucili się w objęcie
sultana. Wzmocniony tą klęską o tyle o ile da-
leki od łamania się pod ciosem, postanowił nie
wracać do Suli, póki nie opanuje pewnej sty-
czności z morzem. O własnych siłach bez spo-
dzianej pomocy nie marzył o zdobyciu Arty na
teraz, przerzucił się szybko w okolice Reniassa,
położoną wobec wyspy Paxos, na wybrzeżu kędy
stała starożytna Kassiopea. Po krwawej utarczce
opanował tę miejscowość i osadził swą załogę;
poczem zwracając się na północ i spadając tam,
gdzie go się Turcy najmniej spodziewali, zdobył
w Atamanji fort Plaka, z którego chciał śro-
dnicę swych działañ utworzyć. W parę dni roz-
bił korpus idący Kurschidowi Paszy w pomoc. Na-
stępnie spotkał się z Izmael Paszą w górach
Olichimji, i zuów go poraził. Tak odnosząc czę-
ściowe korzyści nad oddziałami, którymi Kurschid
ścigać go zamierzył i ruchy partyzanckimi ne-
kając wciąż wroga, wrócił wreszcie w góry Suli
po tych gromkich zwycięztwach.

Nie sama miłość ojczyzny była mu bodźcem.
Wiadomo, że cudna Chryzeis z dziećmi jego, byli
zakładnikami u Ali Paszy, i że ich wyzwolenie
zawisło od powodzenia chytrego sprzymierzeńca.
Marko dla tej pięknej i poświęcenia pełnej nie-
wiasty, nie posiadał się z czułości pełnej namię-
tnego uczucia, tak różnego od zwykłego Suljotów
do swych żon stosunku. Kobiety Suli, słynne
z swej odwagi, dorównyujące nie raz mężom
w władaniu bronią, o duszy mekkiej, w której
patryjotyzm, honor i nienawiść bisurmana wyru-
gowały wszelkie niewieście uczucia. Przeciwnie
piękna Chryzeis, w Korfu wychowana, tęczyła
w sobie wszystkie przymioty płci swojej właściwe.
Miłość jej bez granic dla Botzarisa, ciągła obawa
i boleść z powodu niestannych niebezpieczeństw,
którymi on tylko oddychał, zostawiły wspomnie-
nia w gminnych pieśniach tych okolic Grecji.
Improwizatorowie Epiru przeczuli, zdaje się, ten
najdelikatniejszy zakąt uczucia swego bohatera i
zródoło jego smutków. Śpiewali oni bohaterstwo
dziewięć Moscho i Chaido, ale pięknej Chryzeis
poświęcili ustępy najtkliwsze, pełne rzewnej me-
lancholji:

„Chryzeis (mówi pieśń gminna) siedzi nad li-
tym haftem, ale jej czarne oko nie idzie za ro-
botą: patrzy ono w chmury i śledzi ich bieg.

„Serce moje zatrzasnęło swe wrota — zamknięte
jest, nie wesołe jak ongi! — Łzy uchodząc moim
żrenicom, tworzą gorzkie jezioro, morzu podobne“.

„Przynies mi żałobne szaty (mówi inna pieśń);
od trzech miesięcy nie mam żadnej wieści. — Sko-
nał — albo ja skołałam w jego pamięci!

„Ptaszyna siadła na cyprysie — i świegoce:
Nie zginął — ani zapomniał. Gromi wroga w Wa-
riades, w Systrani, w Lelowo. — Obiecał dziesięć
tysięcy lbów Ali Paszy, by cię wykupić; sześć
tysięcy już padło.

„Niedługo okrutnik Ali zapłacze widząc cię od-
jeżdżającą z orszakiem bohaterów... i t. d.

Ostatnie słowa zdają się świadczyć o zakocha-
niu się wezyra w brance. O tem powzieliśmy
świadczenie podania z ust jednego z pasterzy, ko-
czujących pod wieczystymi oliwami na wzgórzach
otaczających Ateny. Tylko mały okrucz tej pastu-
szej piosuki ostał się w naszej pamięci. Świadczy
on, jak Chryzeis postępowała względem groźnego
Paszy:

„Nalej mi czarę — mówił jej Ali — i daj mi
się zachwycać tobą, gdy ją wypróbuję.

„Chryzeis pokraśniała z oburzenia. — Nie je-
stem twą niewolnicą bym ci nalewała czarę —
jestem wnuczką prymasa — a żoną Marka Bot-
zarisa!“

Marko, mimo całej żądzy wyparcia wroga i po-
wrotu do rodziny, nie zdołał pokusić się o zdo-
bycie Arty, aż w r. 1821. Oszukany wiarołom-
stwem Albańczyków, zmienił plan. Obiegać z ma-
łemi siłami w sposób zwykły tak silne miasto, wi-
dział, że niepodobna. Znając swych żołnierzy,
wolał poruczyć tę sprawę zgodnemu z ich cha-
rakterem dzikim i niepodległym, jednemu ude-
rzeniu niespodzianemu. Porozumiał się z wodzem
Akarnanji Karaiskos, który 1000 mężów obiecał, i
opuścił Suli 11. listopada 1821, na czele 300 Pali-
karów. Liczył, że w nocy przebedzie płaszczyznę
Amfilochji, i o świcie wpadnie na Turków nie-
spodzianie, łącząc się z Karaiskosem, który miał
zaatakować od strony południowej. Ten plan bo-
haterski nie był bez podstawy, zważywszy, jak
łatwi Turcy do cofania wobec dzielnie nacie-
rającego przeciwnika. Jak na złość pasterze tu-
reccy, zoczywszy ruchy Suljotów, wznieśli alarm
w Arta. Parę tysięcy Albańczyków pospieszyło
bronić wału, pod którym płynął Inachus, i który
Botzaris przebyć musiał, nimby mógł miasto o-
panować. Niemniej spróbował szczęścia. Mimo
pogróżek wodza i uroczystej chwili, Grecy nie za-
niedbali obyczajem datującym z czasów Homera,
obrzucić mnóstwem obelg nieprzyjaciela przed
samą bitwą. Opowiadanie o tej bitwie historyka
p. Trikupi (Londyn 1856) świadczy, że im to do-
dawało energii. Autor maluje obie strony zarzu-
cające się obelgami przed bitwą, jakby dla zwię-
kszenia swej zaciekłości.

Marko, rozpaczony, że czas na lichostawieniu
schodzi, zmusił ich do walki. W tej chwili 800
jeźdźców mostem przez Inachus wpada na Suljo-
tów, niemogących im dostać kroku. Szybko cofają
się ku wiosce Mihurti i chronią się po domach.
Cztery działa niszczą kruche wieśniacze siedziby,
otoczone kolumną dla oblawy chrześcijan. Marko
z kilkoma towarzyszy biega z miejsca w miejsce,
z lwia rozpaczą dowodzi obroną, wzmacnia miej-
sca osłabione, i szykuje ludzi z rąk w nieładzie
rozpięzchnionych. Bitwa ta mająca się skończyć
rzezią Suljotów, trwała kilka godzin, kiedy Noti
Botzaris niespodzianie napadł od drugiej strony
Turków w 400 palikarów. Stary ten wiarus, sły-

sząc huk dział w oddali, nie wytrzymał, by nie
pospieszyć na plac boju; młodość i siła odnalazły
się w nim i uratował siostrzeńca, w groźnych be-
dącego opalach. Wtedy Marko formuje kolumnę
jak najgęstszą i wpada z ostatnią furją na wroga,
którego z drugiej strony niespodziewanie jął
szarpać Noti Botzaris. Wieczorem Suljoci byli
panami pola walki, aż po wał miasta. Druga
niespodziana pomoc przybywa: 2000 Toxidów łą-
czy się z nimi. Albańczycy ci byli, pod wodzą El-
mas-Beja, długo będącego pod wodzą Kurschida
Paszy, który po wzięciu Tripolizy przez Mora-
tów postanowił przejść na stronę Ali Paszy a
zatem Suljotów. (C. d. n.)

PRZERWANIE BLOKADY

POWIEŚĆ

PRZEZ

JULJUSZA VERNE.

(Ciąg dalszy.)

V.

Kula Irokeza i rozumowania Miss Jenny.

W tej chwili „Delfin“ zrobił już był trzy piąte
części swej drogi. Od dwóch dni gęsta mgła za-
leżała wody Oceanu, co z jednej strony było do-
godnem dla „Delfina“, ponieważ go ukrywało, z dru-
giej zaś nie dozwalało dokładnie rozpatrzeć się
do koła, i tym sposobem parowiec mógł łatwo
natknąć się na statki, których wolałby uniknąć.

Tak się też właśnie stało: gdy ze strażniczego
kosza dano znać, iż ukazał się okręt, znajdował
się on już nie dalej jak w odległości trzech mil
morskich*).

Wkrótce James Playfair mógł zupełnie de-
kładnie rozpoznać wielką korwetę federalną, pe-
dzącą całą siłą pary, widocznie wzamiarze prze-
cięcia Delfinowi drogi. Rozpatrzywszy ją należy-
cie, kapitan kazał zawołać swego pomocnika.

— Panie Mathew — zapytał go — co myślisz
o tym statku?

— Myślę, że to jest okręt federalny, który
ma nas w podejrzeniu.

— Rzeczywiście, co do jego narodowości nie
zachodzi żadna wątpliwość — odrzekł na to Ja-
mes Playfair — patrz pan!

W tej chwili gwiazdista bandera Stanów pół-
nocnych ukazała się na korwecie i na jej części
rozległ się strzał działowy.

— Jest to wezwanie, byśmy okazali i naszą
banderę — rzekł pan Mathew — a więc pokażmy
ją; nie mamy czego wstydzić się.

— Na co? — odrzekł James Playfair — ban-
dera nasza nie osłoni nas i nie przeszkodzi tym
ludziom odwiedzić „Delfina“. Nie, lepiej płynijmy
uaprzód.

— I płynijmy przedko — dorzucił pan Mathew —
gdyż jeżeli nie mylę się, widziałem tę samą kor-
wetę gdzieś koło Liwerpola, jak bardzo pilnie
przypatrywała się budowie nowych statków. Niech
mi oczy wyleżą, jeżeli nie widzę na przodzie na-
pisu „Irokez“!

— A czy szybki to statek?

— Jeden z najszybszych w całej federalnej
marynarce.

*) Około półtora kilometra, 5556, metrów.

Popiersie gipsowe pana G.; Popiersie zasłużonego chemika i aptekarza Torosiewicza, niedawno zmarłego, i wreszcie mały lew z terracoty, przeznaczony do odlania z brązu. Liczny to zbiór, świadczący o wielkiej pracowitości i łatwości tworzenia. Łatwość jest zaletą talentu ale bywa też ona przyczyną niedokładności, którą i w pracach Barączy spostrzegliśmy. Artysta gorączką pośpiechu trawiony, nie zdaje się dostatecznie studiować modeli, co w następstwie spowodowało kilka uchybień przeciwko naturze. W niektórych popiersiach są rozmiary głowy i oddalenie różnych jej części między sobą, albo za wielkie, albo też za małe; noga jedna i piersi Wenery, zdaje się być bez modelu robiona, nie jest bowiem ściśle anatomiczną; nos Amorka jest nieproporcjonalnie małym i robi szpetną twarz jego; Portret Matejki w popiersiu nie zachował duchowego wyrazu mistrza i dla tego jest niepodobnym. Wyliczyliśmy błędy, które jeszcze pamiętamy, dla tego, że ceniąc wysoko zdolności p. Barączy, chcieliśmy zwrócić jego uwagę na konieczność pilniejszego badania natury człowieka. Robienie z pamięci albo też niedostateczne wystudjowanie modeli wyraża błędy, które psują dzieła sztuki. Gdyby p. Barącz muięj się spieszył, a więcej studiował, dłużej pracował nad swojemi rzezbami i dokładniej je wykończył, nie wątpimy, iż utworzyłby dzieła bez zarzutu, posiada bowiem niezaprzeczoną talent, biegłość i łatwość niepospolitą. Kto jest tak hojnie obdarzonym jak p. Barącz, od tego można wymagać nie połowicznie dobrych, ale zupełnie pięknych i doskonale wykończonych utworów sztuki. Same tylko pochwały mogłyby utwierdzić artystę na tej niebezpiecznej dla największych talentów drodze pospiesznego i niedokładnego tworzenia; dla tego do słów zachwyty i wielbienia, jakie zewsząd słyszał, uważaliśmy za pożyteczne dorzucić kilka wyrazów zimnej krytyki. Ze wszystkich dzieł, jakie wystawił p. Barącz, najwięcej się nam podobał medaljon rodziców Tepy, jest on bowiem najdokładniej wykończony i w rzeczy samej prześliczny. Tą pracą pokazał artysta, jakie wysokie stanowisko w sztuce zająć może przy wielkim talencie i bujnej artystycznej fantazji, która go unosi jak koń stepowy, nie dość wytresowany. Dzisiaj, pomimo błędów, jakie popełnia, cenionym już jest i słusznie, jako jeden z lepszych polskich rzeźbiarzy, pragnelibyśmy atoli słyszeć, iż jest jednym z najlepszych, i dla tego wypisujemy tu nasze spostrzeżenia, wywołane szczerą dla niego przychylnością i bezstronnością, do jego rozważ.

Rygier Teodor z Warszawy, nadesłał na wystawę portret Jana Matejki w płaskorzeźbie z białego marmuru, bardzo starannie wykończony i podobny. Za mało widzieliśmy prac tego artysty, ażebyśmy mogli uzasadniony sąd wydać o jego stanowisku w sztuce. To jednak co widzieliśmy, upoważnia nas do wypowiedzenia, iż Rygier jest nie tylko utalentowanym ale i umiejętnym rzeźbiarzem. Nie lekceważy on sztuki, nie unosi się łatwością, lecz pracuje gorliwie a dokładnie i dla tego wydaje dzieła o tak pięknych linjach, delikatnych cięciach, pełnych wyrazu i piękna artystycznego, jakim jest portret Matejki.

Błotnicki Tadeusz, uczeń Gujskiego, wykonał medaljon gipsowy nieznaną nam osoby i drugi medaljon także gipsowy Supińskiego Józefa, naszego sławnego ekonomika. Jest to jeszcze bardzo młody, początkujący artysta, po którym wiele spodziewać się można i należy, jeżeli talent,

tylko jaki posiada, ciąglem modelowaniem z natury i ciągłą pracą kształcić i udoskonalać będzie.

Na wspomnieniu o tym rzeźbiarzu przyszłości, kończymy nasze sprawozdanie z wystawy, która się tem jeszcze odznaczyła, iż większą na niej ilość obrazów niż lat przeszłych zakupili przyjaciele sztuk pięknych, co jest pocieszającym dowodem postępu w estetycznym wykształceniu się narodu.

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMENIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

W dwa dni potem Toxydzi i Suljoci, którzy już byli opanowali przedmieścia, rzucili się wewnątrz Arty, spotkali się z dzielnym Karaiskos, który z swej strony przybył, i po strasznej walce zawładnęli trzecią częścią miasta. Noc rozdzieliła walczących; zdobywcy biwakowali na gruzach dymiących po walce, u stóp Akropolu miasta, kedy była warownia i domy arcybiskupie, ostatnie paszy schronienie. Szturm miano nazajutrz przypuścić, z niemalą nadzieją wyparcia wroga, licznymi klęskami zdemoralizowanego. Był to widok szczególny, derwiszów toxydzkich i popów suljockich, noc całą dziękujących błagalnie niebu za swe tryumfy. Wierchołki gór różnej wysokości, od wzgórzów Amfilochji aż do iglastych turni Selleidy, zapłonęły nocą jedne po drugich; te płomienie łączące się powietrznymi ogniwami, zwiastowały w Suli zwycięstwo chrześcijan; ale nawet przy ich radośnym blasku miał paść cień gruby nieprzychylny znowu fortuny. Bejowie Chamuri poruszeni, naradzali się co przedsięwziąć. Zawsze pod wpływem niedzymnych chwilowych wrażeń, miotających jak szuwarami bagien na tę i na ową stronę, nie wiedzieli sami czy do Greków czy do prześwieczonej Porty się przechylić. Służyć pierwszym nie zgadzało się z ich fanatyzmem religijnym, ostatnim zaś, bronili ich uczucie niezawisłości. Kilku posłów Kurschida Paszy skłoniło ich na jego stronę. Obiecali namówić bejów Toxydy do dezercji z szeregów greckich. Następnego nocy emisariusze Chamidów zdołali dostać się do obozu albańskiego. Błagali w imię proroka Almasa ich wodza, by nie walczyli więcej przeciw własnym współwiercom i reabilitowali się predko poprawą.

Almas Bey uległ namowom, rozkazał zwinąć obóz i oddać się w najgłębszej ciszy, jednak wzbraniał się walczyć przeciw swym sprzymierzeńcom. Suljoci gotowi nazajutrz do walki, spostrzegli zniknięcie Toxydów. Marko jednak, licząc na zapal towarzyszy, świadomych dotychczasowych krwawo wywalczonych zwycięstw, nie zwątpił o zwycięstwie. Niestety, światła dające znać, że nowy oddział ciągnie w pomoc oblezionej Arcie, zniweczył te nadzieje. Niemniej Marko z okrzykiem bojowym rzucił się na gmachy arcybiskupie. Nie było to tyle bohaterstwo, ile uczucie wspaniałomyślności. Pamiętamy bowiem, że Karaiskos i Akarnańczycy przez wodza Selleidy zostali do tej potrzeby wciągnięci. Chciał on tą napaścią zająć wroga, by mógł od drugiej strony

osaczonym tym sprzymierzeńcom odwrót ułatwić, a sam idąc na ciosy, ich od ciosu zbawić. Ale i Karaiskos żołnierz honorowy, nie chciał ustąpić z placu boju, tylko przez posłuszeństwo dla wodza Botzarisa to uczynił. Dzięki atakowi bohatera Suli, w kolo którego skupiła się cała waga i uwaga Turczynów, Akarnańczycy umknęli całi i mogli wrócić w ojczyste strony. W parę godzin później, Suljoci uchodząc, rzucali się wplaw i tak przebywali wezbrany ulewą Inachus. Tu nowy epizod, który słyszeliśmy z ust starych inwalidów. Przypływając do brzegu, Grecy z przerażeniem ujrzeli szwadron kawalerji nieprzyjacielskiej, żeby na nich ostrzący. Botzaris spostrzegł w tej chwili wielką trzode wołów, które uwolnione w zgiełku wczorajszej bitwy, spokojnie krażyły w okolo dymiących gruzów, acz zaprzężone do taboru. Rozkazał wtedy żołnierzom, by każdy czepił się wolego ogona, będąc go równocześnie ostrzem palasza. Woły przerażone krzykami Suljotów i boleścią, którą im klucie szabel sprawiło, rzucili się w rzekę z całym taborem swych uprzęży, inne zaś spłoszone, z takim impetem wpadły wraz z taborem na kawalerję, że konie spłoszone z jeźdźcami-rozpierzchły się w nieładzie.

Mimo, że wyprawa na Artę nie powiodła się i właśnie dla tego, jako dowód nieustraszonej waleczności i niezłomnego wytrwania, stanowi jej obalenie jedne z najwspanialszych kart w życiu Marka Botzarisa. On powziął ten plan dzielny, który gdyby się był powiódł, Suljoci byłiby zostali panami portu i brzegów Ambracji, i mogli podać rękę powstańcom Etolji, Akarnaui i Peloponezu. Pomysł więc, acz się nie powiódł, niemniej wielkim zostanie dziś rozważany spokojnie, i jest chwałą bohatera, co go powziął. A nie powiódł się jedynie w skutek nikczemnego wiaryłomstwa Toxydów. W parę dni po odwołaniu Suljotów, wieża Remiasa odebrana została przez Turków. Towarzyszące temu okoliczności dowodzą, jak wojownicy Epiru pojmowali swe powinności. Tylko 53 Palikarów tworzyło załogę tej wieży. Poprzysięgli Botzarisowi bronić jej do upadłego. Achmed Aga otoczył ich w 3000 ludzi. Odparty w pierwszym napadzie, uznał za stosowne wejść w układy z wodzem powstańców Timolasem. Ten widząc niepodobność obrony, postanowił poddać się z amnestją i wolnością zabrania taboru. To nie uległo trudności, z radością puścili ich Turcy do domu. Zaledwo jednak doszli brzegów Acheronu, napotkali oddział Palikarów suljockich, którzy nie tylko ich rozbroili, ale wzbronili im wstępu na ojczystą ziemię skonfederowaną, tak oburzeni byli ci dzicy górale poddaniem wieży Remiasa; zarzucali podłość, zdradę żołnierzom Timolasa, mówiąc, że winni byli zagrzebać się pod gruzami baszty. Ci zaś nie zdołali przekonać ziomków o przesadzie ich wyobrażeń i musieli uleść rozbrojeniu.

Dekret Gerontów wydalili ich z ojczystej ziemi. Domy ich zaś zostały od góry do dołu czarno pomalowane, jakby w istocie byli pomarli, a żony ich, nie dowierzenia! w żalobie stanęły przed sądem wojennym, by prosić o rozwód, który prawami Suli w takim razie był dozwolony *).

*) Kobiety mimo dzikości gór suljockich miały ważne postannictwo czuwania nad wzajemną zgodą mężów, by kraj nie upadał. Najgroźniejszych w tym celu używały środków. Jeżeli Suljota uderzył żonę, ulegał wielkiej grzywnie, jeżeli ją zabił, winien był do śmierci dać utrzymanie tylu ludziom, ile zabita, mogła dzieci zrodzić, co sąd rozstrzygał.

I w miłości bliźniego, to jest w urzeczywistnieniu tej prawdy tu na ziemi drogą istotnej cywilizacji, mając doczesność i jej zasoby jako środki do tego urzeczywistnienia.

Kochać Boga, to nie tylko poznawać prawdy jego i wolić go modlitwą, ale i w uczynkach wykonywać te prawdy; nie tylko być nabożnym, ale i pobożnym, a więc unikać złego, które jest wrogiem i naszym razem, bo naszego szczęścia. Cóż jest to zło i czy jest gdzie ono w całym ogromie świata? Czyż nieskończona dobroć mogła zło stworzyć? Mamyż z Zoroastrem dwa widzieć początki, lub z Gnostykami ratować jednobóstwo demiurgiem? Ogień, co pali nasze mienia, trucizny i jadowite gady, drapieżne zwierzęta i wszelkie groźne potęgi, są istotnie złem wśród stworzeń? Nie obracaż się to przeciwnie na użytek? Nie służyż dobru? Trucizny nie są lekarstwem często? Ogień nie jestże dobroczynnym żywiołem?... *Malum non est effectus, sed defectus Dei*, powiada Leibnitz; zło nie jest stworzone przez Boga, ale jest tam, gdzie nie ma Boga. A gdzie Boga nie ma? Bóg wszędzie, więc nigdzie złego; wszędzie panuje dobro, bo prawo Boże, wola Boża niezmienna i ścisła panuje wszędzie. Użycie tylko złem być może, a użycie zależy od wolnej woli, którą obdarzony człowiek. W człowieku więc może nie być Boga, kiedy się od prawa Bożego wyłącza, w człowieku też i zło być może, a to zło jest jego nieszczęściem.

Bądź posłusznym woli Boga, jest to uszczęśliwiać siebie: któż nie wie, że ani jednego kroku, ani jednego uczynku w świecie zmysłowym nie zrobimy bez posłuszeństwa prawom materialnej natury, a zatem prawom Bożym; któż nie wie, że wszelkie wynalazki i odkrycia, przynoszące tyle korzyści i ułatwienia w życiu doczesnym, są niczem innym, jak poznaniem praw Bożych i posłuszeństwem bezwarunkowym tym prawom.

A czyż nie to samo, tylko jeszcze ściślej musi być w świecie moralnym? Bo prawa fizyczne są tylko odbiciem praw w duchowej naturze. Dla tego nauki fizyczne i matematyczne najprzystępniejszymi winny być szczeblami do praw niewidzialnego świata; dla tego też służyć one przedewszystkiem temu celowi winny w wychowaniu, a chlebobajność ich sama przez się przyjdzie. Poznając prawa Boże, wolna wola nasza łatwiej na proste kieruje się drogi i tem nas uszczęśliwia, jak o tem w fizycznym przekonujemy się świecie. Ślizko nam wprawdzie z tem prawem wyboru słuchać ich albo nie słuchać; ale też to najwyższa cecha godności człowieka: lalki teatralne odbierają oklaski, ale te oklaski służą tylko temu, co je urządził. Nikczemnik tylko zarzuciłby ojcu swemu brak miłości dla niego, gdyby, zamiast chować go za piecem, posłał na niebezpieczne ale ważne stanowisko w czasie obrony kraju. I my ludzie, dzieci Boże, stojmy na tem stanowisku, podniesieni nad wszelkie stworzenie godnością zasługi w pracy około królestwa Bożego, w obronie naszego szczęścia — ale nie inaczej jak naszą wolę podnosząc do woli Bożej, a sama natura, i to tem więcej, im więcej jej tajniki są rozkryte, i nauka Chrystusa, każdy krok nasz wspierając w poznaniu i posłuszeństwie woli Bożej do zdobywania prawdziwej wolności. Najwyższa wolność, mówi św. Augustyn, jest największe posłuszeństwo Bogu.

Taka jest mądrość przedwieczna, że biegunowe na pozór sprzeczności tak silnie spoila. Wszakże nikomu na myśl nie przyjdzie, że jest niewolni-

kiem dla tego, iż musi np. kuć żelazo nie inaczej, jak tego natura żelaza wymaga, bo i przyjść nie może, gdyż właśnie tem posłuszeństwem, z całą wolnością, zdobywa cel swojej pracy. Toż samo posłuszeństwo prawom moralnym nie zniewolnicza człowieka, owszem daje mu prawdziwą wolność do zaspokojenia wrodzonych pragnień szczęścia. Potrzeba więc dobrej woli, to jest zgodnej z wolą Boga dla zabezpieczenia prawdziwego szczęścia i prawdziwej cywilizacji wśród ludzkości. I oto jest najogólniejsze zadanie wychowania: wole młodego pokolenia podnosić do woli Bożej.

(C. d. n.)

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMENIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuzkiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

II.

W miesiąc po potrzebie w Arta (27. marca 1822) Ali Pasza został wreszcie schwycony i ścięty, a Kurschid Pasza, najczynniejszy i najzdolniejszy z wodzów tureckich, postanowił w czterech punktach otoczyć Suli w 40.000 ludzi. Jak widzimy, góry te, gniazda bohaterów, skazane były na bohaterskie — bo tragiczne losy. Marko mniemał, że wybawienie Grecji zawisło od wyzwolenia Selloidy. Epir, w którym burzliwe żywioły greckie uporczywie objawiały się od kilku wieków, wydał mu się najstrategicznym punktem do rozwinięcia sił zbrojnych, już mających za sobą część ziemi wywalczonej; bój zaś pierwotny zdaniem jego winien był aż do osiągnięcia pierwszych rezultatów ukończyć się w Suli, kedy się rozpoczął. Gdyby ta myśl została była skuteczną, Grecja w krótkim czasie byłaby wolna, byłaby równie odbiła swe żyźne prowincje, które dotąd oglądają się na nią, a z których zdobyciem, byłaby równie od razu zajęła pozycję geograficzną, nadającą jej znaczenie polityczne, na jakim w skutek ciasnoty jej granic dotąd jej zbywa.

Na to trzeba było, by Kiaffa stawiała główny opór tłumom barbarzyńców, którzy zbiegli tam z nad Bosforu; chodziło tą razą o straszne zapasy z Kurschidem Paszą, który uwolniony od Ali zwyciężonego, wyteżył wszystkie siły, by zdobyć te główne a jedyne dotąd przedmurze niepodległości greckiej.

Marko Botzaris pospieszył do Koryntu; zażądał od senatu Helleńskiego tam zebranego, posiłków, które otrzymał. W tej mierze druch po broni Colocotronis był mu głównym poplecznikiem. Widzenie się obu było proste a charakterystyczne. Colocotronis pierwszy pospieszył odwiedzić tego, którego znał niegdyś nieznanym, a dziś już sławnym, a któremu sławę on wróżył od początku. Ubrał się umyślnie w najokazalsze szaty, na co Grecy baczą niezmiernie. Szal z kaszmiru indyjskiego opasywał jego biodra, miecz w srebrnej kunsztownej pochwie błyskał u jego boku, barki zaś odział ową kamizolą o szerokich wylotach, całą lśniąca od złota, wielkiej wartości

i malowniczego wdzięku, którą sobie (jak ongi strój Polski) i Grecy nie raz przekazywali z ojca na syna.

Marko przeciwnie, przybysz cichaczem do Koryntu, nosił swój skromny ubiór górnik, rodzaj błękitnego żupana, burkę o śnieżnych kędziarach z domaszego koźlecia, i broń bez wszelkich ozdób... ale z ozdobą sławy zdobytej! Jedyne zbytek jego stroju stanowił szeroki pas wełniany, śnieżnej białości, roboty jego siostry Anieli.

Colocotroni zmieszany skromnym pozorem bohatera Suli, skrócił swe odwiedziny i przysiadł za ledwo, ale nazajutrz wrócił w szorstkim ubiorze Klefta: z fezem płomienistym, fustanellą zdziurawioną od kul, kiudżał zrdzewiały, i długi samopół na taśmie przez ramię zawieszony. Na ten widok rozrzewniony Botzaris rzucił się ku niemu, porwał go w ramiona i zawołał: „Jeżeli tak, to owszem! Bracie mój, oto jesteś znowu Palikarem, teraz znowuśmy swoi, uściskajmyż się po bratersku!“ Zdaje się, że ci dwaj męże spotykali się tylko w Korfu i w Koryncie. Colocotroni, najdzielniejszy wódz Morei, jeden z najzawołanych Kleftów, jakich Grecja wydała, mimo wielkiej różnicy charakterów i zdań, okazywał zawsze Botzarisowi największą sympatję i poważanie. Oto — jak zgodzić się mogą wodzowie najróżniejsi, jeżeli ojczyznę i świętą sprawę jej, za którą walczą, miłują więcej jak siebie.

Poruczył Colocotroni zaraz Botzarisowi żołnierzy (stratjotów), mających pod jego wodzą odejść do Selloidy. Botzaris nie przyjął tego zaszczytu. Pragnął on, by interwencja Morei na rzecz Epiru przybrała charakter wielkiej doniosłości, manifestacji narodowej, dowodzącej wymownie, że wszystkie prowincje greckie działają w zjednoczeniu, i jeden zdźwięk patriotyczny stanowią. Skłonił też prezydenta senatu Maurocordato, by stanął na czele hufców. Wkrótce potem (w maju 1822) przybył tenże do Patras, przebył Missolonghi i skierował się ku Epirowi z zebraną armią, w której szeregach mieściło się mnóstwo Filhelenów: Francuzów, Niemców, Włochów i dzielnej Polonji. Mała ta armja, po raz pierwszy okazała Grekom, podniesionym na duchu, obraz wojska regularnego; był tam regiment grecki, zupełnie po europejsku urządzony. Był to wielki wysiłek, i największy dowód poświęcenia ze strony Kleftów, żyjących i walczących dotąd jak orły wolne w ich górach, że się dobrowolnie poddali dyscyplinie i wymogom armji regularnej, tak różnej od ich wypraw awanturniczych.

Maurocordato zgadzał się we wszystkim z Botzarisem; rozumiał że wojnę narodową skupić trzeba w Epirze, i do tego dążyć wszelkimi siłami. Oto co mówi Trikupi w swej historii Grecji: „Jedynie opór Kiaffy wstrzymywał wojska Kurszida Paszy gotowe rzucić się na Akarnanję. Niezmiernie ważnym było więc dla Grecji, utrzymać się przy tej twierdzy i skoncentrować walkę wśród Epiru.“

Dlatego Maurocordato, za ledwie wylądował w Missolonghi, postanowił obwarować się w Makzinoros *) i całą siłą godzić na odebranie Kiaffy. Niestety siły prezydenta i Botzarisu nie były dostatecznymi; wynosiły za ledwo 3000 ludzi. Prezydent i Filheleni uznali konieczność zdobycia powyższego miasta, dla zyskania punktu oparcia i komunikacji z resztą Grecji, zanimby pomknę-

*) Państwo gór, dotykające na wschód Amfiochji i Paracheloidy.

li ku górom Suli; było to tylko powtórzeniem usiłowań niedawnych Botzarisa. W połowie czerwca 1822 Grecy osiedli na wzgórzach Komboti, o dwie godziny prawie od Amfilochji, a wkrótce Filheleni, żądni sposobności odznaczenia się wobec tych, za których sprawę walczyli, posunęli się aż ku warowni Peta, dla przecięcia wszelkiej styczności między obrońcami Arta a wojskiem tureckim, zajętem oblężeniem Suli. Przywieźdzeni od ostateczności w skutek rosnących sił nieprzyjacielskich, bez żywności, Suljoci wysłali gońca za gońcem do kwatery generała Komboti, blagając natychmiastowych posiłków. Botzaris i Maurocordato złożyli radę wojenną w nocy pod golem niebem, nad rzeką Potimi. Obok obcych poruczników, byli tam księża siwobrodzi, garstka Suljotów w białych burkach, o gestach gwałtownych, śmiałym wejrzeniu i wyrazistych rysach, uwydatnionych zwyczajem golenia brwi i czoła; górale Pindu o szerokich pasach, przetkanych skalłowymi pistoletami; wreszcie kilku Albańczyków surowych, słuchających z niemą grozą dyskusji narad wojennych, jedni stojąc z brodą opartą na lufach karabinów, inni siedzący wschodnim obyczajem z nogami pod siebie i palący na pozór obojętnie długie nieodstępne nargile drewniane. Uchwalono, że Botzaris uda się w 500 ludzi dla wsparcia walczących w górach, Filheleni zaś, poparci przez Albańczyków, działać będą tymczasem w jego celu w okolicy Peta. Botzaris wyruszył nazajutrz, przebył strumień Arta o dwie godziny od miasta tegoż imienia, i ukryty w lasach czekał nocy, by przejść cichaczem pod czaty tureckie. Eskapada ta, godna hartu Annibala, jest szczytem rycerskiej niezłomności w nieszczęściu. Naprawdę udawał, że chce iść płaszczyzną, wykonywał fałszywy marsz po marszu w różnych kierunkach by omylić czujność wroga: ciągle trafiał na niezwalzone przeszkody. Po upływie tygodnia, zbolaty, upadający z utrudzenia, powrócił do Komboti; zostało mu z pięciu set, trzydziestu dwóch ludzi, reszta poległa w ciągłych utarczkach, lub zrozpaczona rozpierzchnęła się w wawozach Pindu. Fortuna była nieubłagana dla Greków, a mała przestrzeń ziemi zdobytej, zdawała się niknąć na nowo... zdobyta tyła trudów nadludzkich. W tej chwili Toxyda Gogos zjawił się w obozie Maurocordata z tysiącem ludzi. Pomoc te, jak z nieba zesłana, wódz jednak, wahał się przyjąć. Albańczyk ten nie był czystym człowiekiem, sława jego dwuznaczna, nadto vox populi posądzał go o zgładzenie Kitzosa Botzarisa*), ojca dzielnego Marka. Był to starzec butny, wychowanek ze szkoły AliPaszy, któremu dochował wiary. Po upadku Janiny Gogos łączył się z Kurszidem Paszą. Słusznie więc podejrzewano szczerść jego zamiarów. Botzaris, głuchy na krzyk własnego serca, w imię sprawy ojczyźnej, podaje dłoń mordercy swego ojca, godzi się z nim i skłania Maurocordata do korzystania z tej pomocy niezbędnej. Wezwał Gogosa do swego namiotu i zawołał: „O mój ojcie! jeżeli prawda jest, że ten człowiek był twoim wrogiem, niech się cień twój nie zżyma! Ojczyzna żąda, niech mu wybaczył.“ Wiecej jak to, wyciągając dłoń prawie, dla pozyskania go dla sprawy, rzekł: „Mezu, jeżeli szczerze będziesz w zakonie naszym postępował, obiecuję dać córkę moją za żonę twemu synowi.“

*) Tenże nie mogąc znieść męki wygnania, tajemnie wrócił do Janiny, nazajutrz zamordowany. Śmierci jego przypisują Gogosowi.

Czy podobna! Botzaris popełnił w dniu tym błąd, o który oskarżyć trzeba chyba wielkość jego duszy. Gogos udając rozczulonego, dybał na zgubę Greków. A za zgubę ich płatym był od Kurszida.

W kilka dni potem wszczęła się walka pod Peta. Podły ten i niekzemny starzec, któremu dano ważne stanowisko, uszedł z placu w najważniejszej chwili, i Grecy w skutek istnej, długo wytrzymywanej rzezi, zostali pobici. W walce tej bohatersko odznaczyli się wszyscy Filheleni. Tylko osiemnastu Filhelenów po tej bitwie z dziewięćdziesięciu sześciu pozostało przy życiu. Cześć im, cześć!

W parę dni doszła wieść, że Suljoci wygłodzeni i zmordowani, wobec przemocy, broń złożyli *).

Wolni od tylu wieków w swych górach, kiedy Grecja jęczała w niewoli, o losie tragiczny! Suljoci z kolei ginęli teraz i tracili ojczyznę! Ziemię z pod nóg, kiedy jutrzeńka swobody poczęła już świtać nad Helladą. Byli oni jej zwiastunami, poprzednikami ofiarnymi. Z upadkiem Suli, Maurocordato stracił wszelką możliwość opanowania Epizu. Wrócił ku Missolonghi. Wojsko jego o trzecią część osierocone, zamiast upadku, okazało wielką dzielność ducha. Stać w niepowodzeniu, największe to dzieło. Garstka ta walecznych cofała się w wielkim ładzie, piędź ziemi jedną po drugiej opuszczając, krwią swą zroszoną daremnie. Wśród cofania korzystali z każdego pomyslnego miejsca, by szarpać nieprzyjaciela wydaniem utarczki. I tak pod Lutraki, Machala, Wrachori, Wonitza i Kefalowrysis, dali dowody bohaterstwa, ku czemu niemało przyczyniała się dusza ich oddziału Botzaris i Filheleni. Wreszcie 21. października, w sto ludzi już tylko, ścigani przez 1000 Turczynów, dosięgli Missolonghi, którego oblężenie dało Grecji nowożytną jedną z kart wiekopomych, godnych walk starożytności i pieśni Homera!

„Jakże chciałbym być ptaszkiem, mówi pieśń gminna, by ulecieć ku Missolonghi, widzieć, jak tam w słońcu grają pałasze, jak błyszczą bagnety, jak te niezwycone sępy Rumelji „robią wojnę“. Czarne stopy kości urastają pod Missolonghi, z nich zrodzą się żołnierze, i lwy Suli będą miały swą radość!“ **)

(C. d. n.)

PRZERWANIE BLOKADY

POWIEŚĆ

PRZEZ

JULJUSZA VERNE.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Ucieczka.

Miss Jenny z niecierpliwością wyglądała powrotu kapitana; ujrawszy go zaś, nie zdołała

*) Jedni udali się do Korfu, drudzy do Missolonghi, a z temi i rodzina M. Botzarisa. Jego żona Chryzeis po upadku Ali Paszy przeszła w niewolę Kurszida. Ten pod grozą imienia Botzaris był dla niej pełen uszanowania. wojsku przed nią defilować kazał i pytał jej, czy który z żołnierzy nie przypomina jej męża? Smutna Chryzeis wskazała jednego, którego niska postać zdala się jej go przypominać. Jak to? zawołał Kurszid, sam atletycznej budowy, jakim sposobem ma tak mały mógł tak wielki cios armji mojej zadać?!

***) Patrz zbiór ludowych pieśni p. M. Zampelios.

wymówić ani jednego wyrazu, oczy tylko utkwiała weń z wyrazem zapytania.

James Playfair i Crockston powiedzieli jej tylko o uwiezieniu pana Halliburt, tudzież, że generał Beauregard źle był względem niego usposobiony. W końcu kapitan dodał:

— Pan Halliburt jest uwieziony, więc uwolnienie jego staje się trudniejszym; ale przysięgam pani, iż zrobię, co do mnie należy, i że „Delfin“ nie opuści portu Charlestown, dopóki ojciec pani nie będzie na jego pokładzie.

— Dziękuję panu — rzekła miss Jenny — dziękuję z całej duszy!

Na te słowa serce Jamesa mocniej zabiło. Przybliżył on się do miss Jenny ze zwilżonem okiem, i być może, iż wyznałby jej, co czuje, gdyby nie wdał się w to Crockston.

— Nie czas teraz rozczulać się. Radźmy, co tu począć?

— Czy masz jaki plan? — zapytała miss Jenny.

— Ja zawsze mam plan — odrzekł Crockston — to moja specjalność.

— Ale czy dobry?

— Doskonale! Wszyscy waszyngtońscy ministrowie nie utworzyliby lepszego. Pan Halliburt jest już tak dobrze jak na naszym pokładzie.

Crockston mówił to z taką pewnością, iż mógłby przekonać największego niedowiarka.

— Słuchamy więc — rzekł James Playfair.

— Dobrze. Pan, panie kapitanie, udasz się do generała Beauregard i zażadasz od niego przysługi, którą ci pewno nie odmówi.

— Jakiej?

— Powiesz mu, że na statku twoim masz jednego nieponia, łotra niepoprawnego, który podczas żeglugi podmawiał osadę do buntu, i będziesz prosił o pozwolenie przytrzymania go w twierdzy, dopóki parowiec nie odpłynie, a następnie wydania ci go; chcesz bowiem zabrać tego hultaja z sobą, by został ukarany według całej surowości praw angielskich.

— Zgoda — rzekł James Playfair — zrobię co chcesz, i sądzę, że generał Beauregard nie odmówi mojej prośbie.

— O tem nie ma co wątpić.

— Ale — rzekł kapitan — nie rozumiem w tem jednej jeszcze rzeczy.

— Czego? naprzykład.

— Kto ma być tym hultajem?

— Widzisz go pan przed sobą.

— O, szlachetny Crockstonie! — zawołała Jenny, ujmując drobnymi swemi rączkami żylaste rece przywiązanego sługi.

— Idź, Crockstonie — dodał James Playfair — teraz pojmuje już ciebie i ubolewam tylko, iż sam nie mogę zastąpić twego miejsca.

— Niech każdy z nas robi co może — odrzekł Crockston. — Na mojem miejscu kapitan nie potrafiłby sobie dać rady. Będziesz pan miał jeszcze nie mało kłopotu, jak będziemy odpływać z Charlestownu pod działowymi strzałami południowców i unjonistów; tego to znowu ja bym nie potrafił.

— No, mów dalej.

— Otóż ja zostanę osadzony w twierdzy, rozpoznam ją i będę wiedział, jak się wziąć do rzeczy. Tymczasem pan będziesz ładował bawelnę na statek i zakończysz twe handlowe interesa.

— E, mniejsza o nie!

— Jak to mniejsza? A co powie stryj Wincenty? Odrabiamy jednocześnie obie sprawy. To

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMENIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Trzy mogiły w Missolonghi.

Tu koniec rozdziału części drugiej dzieła pana Yemenisa. Tłumacz na chwilę wdziera się w prawa autora, by dać na dziś pobieżny obraz Missolonghi, jednego z największych imion w mowie ludzkiej, równego Maratonowi, Termopylom i Somosjerze, a zarazem opis tych trzech mogił (głównie nagrobku Byrona), które nie są niegodne mogił pod Troją Achilla, Patrokla i Ajaxa, i niemniej mogiły Kościuszki. Oto pobieżny następ z dziennika, pisanego co wieczór po całodzienniej, konnej po Grecji podróży:

Odpląnąłem z Patras w nocy, noc przebyłem prawie całą na pokładzie; do dnia zbudzony w San Sostis, wsiałem z pospiechem w małą łódkę, bo Missolonghi nie posiada portu zdolnego przyjąć parowce. Łodzią pływie się przeszło dwie godziny, tak płytko, że wiosła wciąż dotykają ziemi, łódź tylko popychając po wodzie. Mnóstwo roślin podwodnych, milionami ramion rozgałęzionych pod wodą, jak łąza przejrzysta, bogate studjum dla malarza, uprawiającego ten rodzaj; mnóstwo liści różnowzorych i kwiatów białych o kielichach tubalnych, pływających girlandami po wodzie; łódka wśród nich szuka swej drogi i robi gościniec, który zaraz fale i rośliny za nią zamkają. Wreszcie z daleka błysnęła jak gniazdo łabędzia, rzucone na szafirach wód, wysuwająca się z za skał aureolami słońca okurzonych w złotym pyłe, grupa białych domów; toż jest Missolonghi, o którym tyle się słyszało i marzyło? Tak, nowe Termopyle są kupą lepianek pobielanych. Z jednym z dwóch moich wiosłarzy, który ofiarował mi się na przewodnika, imieniem Leonidas, poszedłem w miasto. Uliczkami małemi i bazarem bardzo skromnym, mijając Greków, w jaskrawych strojach grupami stojących w żywej rozmowie, szliśmy w pośpiechu na nich wzrok rzuciwszy. Niektórzy siedząc, z turecka palili nargile przed kawiarniami, inni coś kupowali; mimo nas przeszło dwóch młodzieńców o ślicznej budowie, klasycznych rysach i ruchach, w fustanellach śnieżnych i malinowych fezach, prowadzili się za ręce na znak przyjaźni według tamtego obyczaju. Pozdrowili Leonidasa i przez jego protekcję mnie, podając rękę z serdeczną prostotą, gdy usłyszeli, że tu umyślnie z daleka przybył. Minawszy miasto i kościółek z Panagiją, przez bramę wschodnią poszedłem na cmentarz. Jest ich dwa. Jeden zwykły, drugi zwany „Inwalidów“, którzy leżą osobno, jak drogie miasta relikwie. Mały murek kamienny otacza to uświęcone ustronie, cisza, bujne krzewy, brzęk pszczoły i szelest motyla, lecącego z kwiatka na kwiatek, przerywają to wymowne milczenie, wśród którego tylko w błękitach chóry skowronków gwarzą bezustannie... U wchodu żołnierze (stratyci) strzegący cmentarza, grali w karty. Pozdrowili nas uprzejmie, tytoniu ofiarując.

W środku cmentarza wielka mogiła wszystkich poległych wspomnieniu wzniesiona, po bokach zaś z jednej strony mogiła Marka Botzarisa, ze skromnym kamieniem. Był na niej wspaniały pomnik dłuta Dawida d'Angers, wyobrażający młodą dziewczynę, piszącą imię Botzaris na ziemi. Niestety naiwny ludźk oberwał jej nos i uszy, a wzięta dla naprawy do Francji, nie oddała jej napowrót, czemu się nie dziwie. Wdowio więc wyglądała mogiła wielkiego męża. Tem żałośniej po drugiej stronie wyglądałaby mogiła Byrona, gdyby nie miała najwspanialszego z pomników możliwych, który tam ktoś przypadkiem może postawił. W mogile tej spoczywał lord Byron, i serce jego w niej zostało, bo ostatniem rozporządzeniem dał je Grecji, zwłoki zaś, wiemy pod jakimi auspicjami do ojczyzny wróciły, pochowane w kościółku Hucknell, przy Newstead abbey. Nic uboższego i więcej zaniedbanego, a zarazem wspanialszego od tej niskiej mogiłki: kupa gliny piaszczystej, spalonej i niezarośniętej, bez znaku, ni napisu, obok mały laur złamany i wierzba babilońska, śliczna, ale usychająca. Jest jednak na tej mogile znak, jakiego świat może pozazdrościć. Oto Byron niedługo przed śmiercią sprowadził z Anglii małą drukarską prasę, dla wydawania dziennika w Missolonghi, sprawie greckiej poświęconego. Gdy umarł, i Missolonghi po wiadomej obronie, rylcem dziejów wyrteję, padło pastwą wroga, Turcy dom Byrona zrównali z ziemią, drukarnię zaś w morze rzucili.

Później Missolonghi znowu w walce wyszło zwycięzko, Turcy uszli na zawsze, a po pewnym czasie morze ustąpiło, drukarnia wyszła z fal. I dziś, wielkie świadectwo, ta rdzawa prasa pogięta i połamana stoi jako jedyny znak i ozdoba na mogile Charolda, przejmując do głębi niespodzianem wrażeniem każdego pielgrzyma. Z domu zaś ledwo kilka głązów zostało, ktoś wybudował dom nowy w tem miejscu i mieszka „sobie“.

Przewodnik mój rzekł o Byronie: „Nie leży on już w tej mogile, kości jego wraz z innymi Świętymi tam przeniesiono“, i wskazał wielką, wspólną mogiłę „Świętymi ich zowiemy, bo oni polegli za to, byśmy dziś byli wolni.“ Sam jeden wśród tego cmentarzyska, słysząc te słowa, rzuciłem się na pierś Greka, który nie znając alfabetu, znał alfabet ducha, i te wyrazy gorąco poczone pogodziły mnie z ogadaną młodą Grecją. Missolonghi oprawne w przystań morską, rozścielającą się modremi laguny, których smuga nieustannie brzeg muska, prawie domów dotykając, sprawia posepne, ale urocze wrażenie. Klimat zabójczy, głównie dzieci dziesiątkujący, zabił Byrona. W dniu śmierci, pokój, w którym kończył, przedstawiał widok opuszczenia do nędzy podobnego, drzwi otwarte, pusto, kto chciał, wchodził i wychodził, tylko stary służący czuwał przy łożu, a felczer choremu tego dnia trzydzieści razy krew puszczał*). Skończył, mówiąc: „Cóż mógłem więcej uczynić, o Chryste! człowiek zwany ateuszem i gorszyicielem.“

Przy mogile Byrona wygrzebałem z pomocą Leonidasa wielki kawał bomby, z ziemi wyglą-

*) Byrons Briefe und Tagebücher Böttiger podług Moora i L. B. jugé p. les temoins de sa vie pani Guiccioli. Tylko kobieta mogła napisać dzieło tak wielką głębią uczucia i zaparciem siebie, nikt, a najmniej Moor (który według dowodów p. Guiccioli nie był przyjacielem Byrona prawdziwym), nie dał takiej książki o Byronie. Słusznie a propos emancypacji, wyrzekła pani Duchńska: „Pragniesz tylko być mężczyzną, ty co możesz być aniołem!“

dający, nie wiem czy go na koniu w worku moim dowiozę z kwiatami i liśćmi aż do domu. Odpląnąłem inną, mniejszą łódką sam z Leonidasem, bo żeglarze nie chcieli mozolną drogą przeciw wiatrowi wracać, a trzeba było dogonić okręt płynący do Galaxidis. Popłyneliśmy więc inną drogą, bliższą, z małym żagielkiem, ale droga szła przez pełne morze. Siedziałem ledwie pomieszczon w łódce z Leonidasem, wiosłującym jak wielki wirtuoz, szamoczącym się z żywiołem niespokojnym z przekorą lwia, pełną pustej wesołości i wietrznością dzikiej mowy; składał i rozpinął żagielek w tę i ową stronę z zręcznością błyskawiczną. W środku drogi, dwie godziny zamiast jednej trwającej, morze zaczęło się dąsać, fale turkusowe o srebrnych grzywach w słońcu olśniewe, poczęły od przeciwnej strony spinać się, wstecz nas popychając, lataliśmy jak szaleni po bezdennych przestrzeniach; nie zapomnę przeprawy w tej czarodziejskiej lupinie na wielkiej pełni morza! Wesoły nieco podchmielony Leonidas, co dopiero teraz dostrzegłem, zapewniał mnie o swej zręczności, żagiel jednak przechylał łódkę tak, że kraniec tuż nad falą jednym bryzgnięciem mógł być zalany. Wesoły wiosłarz prawil mi w drodze tyśiące facecji i jedną. Na muskularnem ręku kudłatem miał wymalowane i wypieczone dwie dziwne figury, jak mówił Venus i Amora, których sina ta malatura przedstawiała stojących przy sobie z serdecznym umizgiem, w powiewnych draperjach, pod spodem napis Eros. (W ten sposób i pielgrzymom w Palestynie kładą też na ręce napis Jeruzalem, który jest nie do zmycia i zostaje na zawsze.) Młody Leonidas mówił mi inter cetera, że raz tylko się kochał, ale szalenie, że z tego powodu stracił i rodzinę i całe mienie, bo się miał dobrze. Jednak to było niczem wobec namiętności, co go trawiła dzień i noc, ile że przedmiot niegodny z niego się naigrawał i ciągnął marne zyski. „Dopiero, gdy mi ten znak na ręce wymalowano, w tejże chwili zostałem uzdrowiony, mówił, z tej przekłetej choroby, i dziś choć wiosłem zarabiam na życie, szczęśliwy jestem, że mnie minęła „ta frebra“. Wiara w ten znak była u niego ślepa i tak zabobonnie charakterystyczna, że go mój mimowolny uśmiech uraził. Tak się mocując z falami, które ciągle rosły, z pomocą żagla tylko, dopłynęliśmy wrzescie do San Sostis. Morze wzrastało coraz bardziej i grzmot odległy zaryczał. Cztery godziny jeszcze czekałem na statek. Przed kilku domkami na dużych matach i sieciach nad morzem leżała swobodna grupa majtków, spiewając i gwarząc wesoło. Kilka minut wystarczyło do podróży zażyłości, opowiadań i żartów. Rozciągnęłem się na matach i rad byłbym usnął, gdyby nie obawa o statek. Nad grupą majtków ujrzałem wtedy (i już senność przeszła) młodzieńskie dziewczę stojące w ciemnej sukience i robiące sieci z wielką szybkością i wdziękiem. O twarzy Korregiowskiej i czarnem oku jak węgiel płonącym, przypominała mi żywcem obraz św. Małgorzaty, piszącej rylcem, w kątku galerji Dreźnieńskiej umieszczony, z napisem: *Schule des Corregio*. Była Corfijotką, wesoła i szczebiotliwa, o nieokreślonym wdzięku, mówiła ślicznym włoskim akcentem, jak wszyscy na Korfu. Wymówiła się w rozmowie, że jej żal, iż nie ma sukien mekkich, bo najszcześniejsze byłyby, gdyby mogła podróżować po świecie. Gdy jednak zrobiłem minę posłania Leonidasa pokrawca, sposepniała, mówiąc, że matki swej opuścić nie może.

Tu o pół ćwierci mili zasumiał parowiec. Wziąwszy kwiatek od cudnej Korfijotki i adres jej, posłałem potem pierścionek z napisem: „Zapomnij!” Leonidas większą łodzią odwiózł mnie do okretu, bo morze tak urosło tymczasem, żeśmy ledwie dobili. Pożegnałem go serdecznym uściskiem, tak jak moich dobrych niegdyś tatrzańskich górali. Noc szybko zapadła, gdy statek ruszył, wśród nocy gdzieś na górach las się zapalił, przerażająca luna krwawo rozszła się po niebie i odbiła na morzu, poblądły gwiazdy od demonicznego widoku. W dali zaś błyszczały już morskie latarnie Patrasu, który dosięgliśmy w cztery godzin. Wśród nocy łódką przepłynąłem na drugi okret, co przez Galaxidis o świcie płynął zatoką do Koryntu i Aten. A! cóż to za droga! Kanał koryncki jak trzy razy Ren, morze płynnym turkusem, to szersze, to węższe, oba brzegi gór skalistych w błękitny goniące, odziane lasy szpilkowymi, tak świeże i dziewicze, znikające w mgłach błękitnych i wciąż nowymi obrazami się wysuwające, że oko wrażeniem pijane na chwile spocząć nie zdola.

Zamki Rumelji i Morei sterczą na dwóch brzegach (jak Czorsztyń z Niedzicą), dalej wieczne Lepanto (zwane Epachtos) stromo rzucone na połoninach skał zielonych, mury tureckich warowni leżą ku górze, to weżem pełną w dół nad urwiska. Droga coraz cudniejsza, góry piętrzą się i rosna, morze rozsuwa się uśmiechnięte, zielona Vostiza w oliwnych gajach, z za skał się wysuwa. Lasy dziczej, skały ciemnieją i stają się ostrzejszemi, wreszcie strumień Kalawryta wpada z szumem do morza z dzikiego, otchłannego wąwozu skał, których perspektywa gubi się w odległościach owianych błękitami Claude Lorraina, z zachwycającym majestatem. Stanieliśmy w Galaxidis z kądem ujrzaliśmy w dali gruzi Skala Salona, tej nieśmiertelnej kolebki greckiego malarstwa.

(C. d. n.)

PRZERWANIE BLOKADY

POWIEŚĆ

PRZEZ

JULJUSZA VERNE.

(Dokończenie.)

IX.

Między dwoma ogniami.

Szybko posuwano się po zatoce. Mgła stawała się coraz gęstsza i James Playfair ciągle się musiał mieć na baczności, by nie zmylić drogi.

Po kilku minutach milczenia, gdy już daleko odbito od lądu, Crockston opowiedział panu Halliburt, jak się rzecz miała.

— Tak, tak, kochany panie, stróż więzienny leży na moim miejscu w ciupie. Zamiast napoju usypiającego, palnąłem go raz pięścią w tył głowy, a drugi raz pod piersi, właśnie gdy mi przynosił wieczerzę. Wziąłem potem jego suknie i klucze, otworzyłem pańską celkę i wyprowadziłem pana z twierdzy pod samym nosem sztyd-wachów — ot i cała rzecz.

— A moja córka? — zapytał pan Halliburt.

— Jest na pokładzie statku, którym odpłyniemy do Anglii.

— Moja córka jest tam?! — zawołał Amerykanin, powstając nagle z ławki.

Nr. 39.

— Na miłość boską, ciszej! — rzekł Crockston — wkrótce pan ją ujrzysz.

Łódź pędziła pośród ciemności, ale po części na chybi-trafi. James Playfair nie mógł dostrzedz ogni sygnałowych „Delfina”. Była tak czarna noc, iż majtkowie nie widzieli końca swych wiosel.

— Powinniśmy upłynąć już z półtorej mili — rzekł kapitan. — Czy nie widzisz? Crockstonie. — Nie zupełnie; mam jednak dobre oczy.

Zaledwie zostały wymówione te wyrazy, gdy świetna rakietka zabłysła pośród ciemności i wysoko wzniosła się w górę.

— To sygnał! — zawołał James Playfair.

— Do licha! — rzekł Crockston — rakietka z twierdzy.

Druga i trzecia rakietka mignęła wkrótce w tym samym co pierwsza kierunku i prawie w tejże chwili odpowiedziano na ten sygnał ze strony przeciwnej, przed łodzią.

— A to z twierdzy Sumter — powiedział znowu Crockston — rakietka oznacza, że uciekł jeden z więźniów. Płynmy szybciej! Wszystko odkryto!

— Raźniej, przyjaciele! — zawołał James Playfair na majtków. — Te rakietki oświeciły mi drogę. „Delfin” jest niewielej jak w odległości ćwierci mili. Słyszę już dzwon na pokładzie. Dwadzieścia funtów nagrody, jeżeli staniemy przy nim za pięć minut.

Wioslarze dobyli ostatnich sił, łódka pędziła jak strzała. Serca wszystkich były gwałtownie. Od strony miasta rozległ się strzał działowy; o dwadzieścia sążni od łodzi kula plusnęła w wodę.

Odgłos dzwonu słyhać było coraz wyraźniej na „Delfinie”, wreszcie łódź stanęła przy nim.

Jenny padła w objęcia ojca.

Łódź podniesiono. James Playfair zapytał pana Mathew:

— Mamy parę?

— Tak jest, kapitanie.

— Odciać kotwicę i odpływajmy całą siłą!

Po kilku chwilach parowiec pędził już w kierunku głównego kanału, oddalając się od twierdzy Sumter.

— Nie możemy przeprować się koło wyspy Sullivan, panie Mathew — rzekł James Playfair — narazilibyśmy się na strzały separatystów; trzymajmy się lepiej prawej strony, baterje federalne bowiem nie wiedzą jeszcze, o co rzecz chodzi. Każ pan pogasić światła.

Dokonywając zwrotu, parowiec zmuszony był przybliżyć się do twierdzy Sumter o pół mili, i właśnie gdy się znajdował w takim niebezpiecznym miejscu, nagle buchnęły światłem wszystkie działowe otwory w twierdzy, i huragan żelaza ze straszliwym hukiem wpadł w morze przed „Delfinem”.

— Za wcześnie, niezdary! — zawołał zadowolony kapitan. — Szybciej! szybciej! panie mechaniku.

Palacze dodali ognia pod kotłami. „Delfin” drżał cały od wstrząśnień maszyny, jakby miał rozpaść się w kawały.

W tej chwili dała się słyszeć druga salwa i nowy grad kul zaświstał po za parowcem.

— Za późno, niedolegi! — zawołał znowu kapitan, a Crockston stojący na pokładzie, dodał:

— No, jedno przebyliśmy. Za kilka minut pożegnamy się z separatystami.

— Więc sądzisz — zapytał kapitan — iż nie mamy czego obawiać się twierdzy Sumter?

— Niezawodnie. Ale mamy przed sobą twierdzę Moultrie, która zresztą ma tylko pół minuty

czasu, by nam dokuczyć. Niech więc uważa, bo przybliżamy się.

W tej chwili twierdza Moultrie zabłysła potrójnym rzędem błyskawic, i straszliwy trzask rozległ się na pokładzie.

— Na ten raz trafili — rzekł Crockston.

— Co się stało? panie Mathew — zapytał kapitan swego pomocnika, stojącego na przodzie statku.

— Przedni masz już w morzu.

— Czy są ranni?

— Nie ma.

— Mniejsza o maszt. Kierować prosto w kanał.

— I wyżej wzmiankowani podwili głową — odezwał się Crockston. — No, teraz mogą nam ugrzezać w żołądku kule unjonistów, niech i tak będzie; kule północne łatwiej się trawia.

Rzeczywiście nie całe niebezpieczeństwo przeminęło, gdyż chociaż wyspa Morris nie była uzbrojona w owym czasie straszliwymi, daleko-nośnymi działami, zawsze jednak kule jej łatwo mogły zatopić taki statek jak „Delfin”.

Oblegający nie mogli zrozumieć powodu tej nocnej kanonady, nie przeciw nim skierowanej, zawsze jednak podwoili swą baczność.

Nie uszło kwadransa od chwili, jak parowiec płynął w kierunku wyspy Morris, gdy znowu zamigotały światła pośród ciemności, i mnóstwo małych bomb padło do koła, a niektóre nawet dostały się na pokład, na szczęście jednak uderzyły się o niego spodem i nie pękły, jakby powinny były, okrywając pokład swymi odłamami i ogniem gregorjańskim. Był to podówczas wynalazek nowy jeszcze i nieudoszkalony, co właśnie uratowało „Delfina”, który nie wiele uszkodzony, płynął dalej:

W tej chwili, pomimo zakazu kapitana, wyszedł na pokład pan Halliburt wraz ze swą córką. James chciał, by powrócili do kajuty, ale Jenny stanowczo oświadczyła, że pozostanie przy nim.

Pan Halliburt dowiedziawszy się o szlachetnym postępowaniu swego wybawcy, uściskał mu rękę nie mogąc wymówić ani słowa.

„Delfin” tymczasem szybko się posuwał po morzu; trzy tylko mile kanału miał jeszcze do przebycia, i jeżeli nie spotka żadnego strażniczego statku u wejścia, mógł uważać się za ocalonego. James Playfair znał doskonale wszystkie tajemnice zatoki Charlestown, i z wielką pewnością kierował „Delfinem”, ufaj, że mu się i ten raz powiedzie — gdy w tem majtek krzyknął z masztu:

— Okret z lewej strony!

Po kilku chwilach, gdy mgła rozprószyła się nieco, ujrzano wielką fregatę, usiłującą zagrozić „Delfinowi” drogę. Należało wyprzedzić ją koniecznie, w przeciwnym bowiem razie wszystko było stracone.

— Zwrócić na lewo! — zawołał kapitan, potem rzucił się ku maszynie.

Statek skręcił się na jednym prawie miejscu, i w tym samym kierunku co fregata puścił się ku kanałowi. Teraz szło o to, kto kogo wyprzedzi.

James Playfair zrozumiał, że od szybkości zależy ocalenie jego samego, miss Jenny, jej ojca i całej osady.

Fregata znajdowała się znacznie bliżej kanału, aniżeli „Delfin”. Po kłębach czarnego dymu, buchającego z jej kominów, można było poznać, że powiększa swój ogień. James postanowił wszystkich sił wydobyć.

— Jak stoją kotły? — zapytał mechanika.

rzywszy się sterownictwu rozumu samego; z wiarą jednak cudownie dokonywała dzieła. Oto garstka krzyżowców, głodem i morem jeszcze uszczuplona, broni się w Antjochji przeciw dwukroćstosiecznemu wrogowi. Rozum tu nie widzi żadnego podobieństwa ocalenia. Sen zakonnika odkrywa włócznię, którą Chrystus był przebity, i wzbudza wiarę zwycięstwa z tą włócznią na czele. Ledwie kilka tysięcy niedobitków głodnych, chorych i kalek o kosturach prawie, z pewnością zwycięstwa wpada na niezliczone tłumy silnych i zbrojnych, i zupełną im zadaje klęskę. — W czasach zupełnej niewiary i najcięższych klęsk Francji, kto ją ratuje? Słaba, wiejska dziewczyna, pełną wiarą w posłannictwo swoje, wiarą, którą natchnęła wojsko całe. Sam wódz nie umiejący nawet pacierza, modlił się wszakże w kościele: „Panie Boże, daj Lahirowi wszystko coby Lahire dał Tobie, gdybyś był Lahirem, a Lahir Tobą.“ Wyższa jest pewność, niż przekonanie, wyższa wiara, niż wiedza; a dość przypatrzeć się tylko dziejom naszym, tym cudownym zwycięstwom, aby się przekonać, że największa materialna siła niczem jest w porównaniu z siłą, którą daje wiara.

Ale wiara musi być czynną, zatem z nadzieją; bo nadzieja, to wyższy stopień woli; wola bowiem jest pragnieniem z nadzieją wykonania. Wiara jednak łącznie z nadzieją, jak wiedza z wolą, są egoistycznej natury: z wiedzą tylko i wolą, wiarą i nadzieją, ludzkość rozpadłaby się na drobne, atomistyczne osobistości, zamknięte każda w sobie, każda dla siebie, a groźne wzajem sobie grubym egoizmem lub fanatyzmem. Od takiego zniszczenia ratuje miłość, świętość uczucia, stapiająca wiarę i nadzieję w jedność natchnień dobrych i ducha prawdy. Toteż św. Paweł mówi: „Gdybyś wiarą przenosił góry, a miłości nie miał, nic ci to nie pomoże.“ Sama bowiem wiara staje się bigotyzmem, a sama nadzieja fatalizmem; wiara z nadzieją, fanatyzmem; sama miłość kwietyzmem, jak to uprzednio okazaliśmy, że sama wiedza, obłąkanie; sama wola, szaleństwo; wiedza i wola, szataństwo; samo uczucie niedoleństwo.

Każda z tych władz jest jedna w drugiej koniecznie, jeśli jest z prawdą. Człowiek prawy wierzy, iż Opatrzność wszędzie czuwa, ale wie razem, iż tej Opatrzności winien być narzędziem, niejako ministrem Boga tu na ziemi; a im więcej uposażony, tem dzielniejsze ma środki do zastąpienia służby w rządach Opatrzności. Co za wysoka dostojność i godność jego! Gdyby to ludzie rozumieli dobrze, jakie niebo byłoby na ziemi! Jakież dzięki składałby każdy Bogu, że go wybrał za anioła Opatrzności swojej, jakiej używałby roskoszy z zadowolenia, z dobrych swych uczynków, zamiast do sytu i kłiwosci z samego zamilowania siebie i dla siebie. W tem to i różnica wiary i wiary. Śliczny nam obraz w tym względzie daje nasz kochany poeta w wierszu: „Wiara i wiara“.

„Szedł półmędrak z prostaczkiem; napotkali dziecię. Mdlalo z trudu. Półmędrak pomyślał tajemnie:

Bóg jest wszechmocny, wszystkim sam rządzi na świecie,

Toć więc i temu dziecku pomoże bezemnie.

I poszedł. — A prostaczek myśli: Mily Boże!

Jaki Ty dobry! Sily ustają dziecięce,

A Ty mi już i zesłasz, kto je podnieść może.

Dzięki Ci, żeś mię wybrał. I wziął je na ręce.“

Wiara, nadzieja i miłość, te cnoty chrześcijańskie, uświęcające naszą wiedzę, wolę i uczucia, są z granic religji, religja więc musi być najgłówniejszą podstawą wykształcenia władz naszych, rękojmnią dobrego ich ruchu w społeczeństwie, orędowniczką szczęścia naszego, słowem wskazówką i przewodniczką dobrego wychowania. Nie masz ludzkiego prawa, któreby zabezpieczało przed zbrodnią i ochraniało spokojność i bezpieczeństwo prywatne i publiczne, bez religji, która jedna rządzi trybunałem sumienia i w najskrytsze jego tajniki wchodzi.

Smutne są owe szumne rozumowania, owe wielkie słowa na ustach o przewadze rozumu samego; słowa czcze i marne, dowodzące tylko braku znajomości i człowieka i dziejów jego i tylu wiekowych doświadczeń. Brak religji, to brak wszelkiego postępu, to groźna burza nieszczęść, od których belu ludzkość już nie jęczała, nie płakała, a śmiała się i tańczyła po cmentarzach i kościołach. Czy może co zrównać tej boleści, kiedy już płakać nie można, a tylko śmiech serdeczny, konwulsyjny, rozpaczliwy, wykrzywia oblicze człowieka, cóż dopiero całych społeczeństw.

To są ogólne uwagi, na jakich opierać będziemy dalszy rozwój myśli naszych o wychowaniu; tymczasem powtórzmy w krótkości, co zawarliśmy w nich głównie. A mianowicie: że celem wychowania jest cel życia człowieka — szczęście; że tego szczęścia drogą jest cywilizacja prawdziwa; że cywilizacja ta tylko w prawdzie się zdobywa; że prawda zostawiona naszym pracom, otwarta w światach: zmysłowym, duchowym i dziejowym, tylko pod błogosławieństwem nauki Chrystusa wyraźnie daje się wyczytać; że taka jest własność sił naszych, iż częstokroć, jednostronnie poznawać możemy, a zatem różne strony tych światów, ale koniecznie potem zlewać w jedną całość musimy nasze o nich wiadomości, aby były prawdziwe; że zdobyte prawdy o tyle nas uszczęśliwiają, o ile im jesteśmy posłuszni, że zatem główny warunek wychowania jest podnosić wolę wychowawców do woli Bożej, a to drogą jednoczesnego rozwijania w nich woli, wiedzy i uczucia, wiary, nadziei i miłości. Czyli w nauce rozwijać wolę i serce, to jest naukę nie celem wychowania, a zrobić ją środkiem wychowania. Przy kształceniu woli rozszerzać razem widnokrąg wiedzy i pole dla uczuć, a przy kształceniu serca uczynki i naukę stosownie kierować; jednym słowem, jedno w drugim rozwijać. Jak tego dokonać, to się okaże w praktycznej części, a dokonać tego tem łatwiej, ile, że natura sama naszego ducha jest tu skazówką i pomocą. Żadna pedagogja nie omija przepisów o kształceniu wiedzy, woli i uczucia, ale jakby dla każdej z tych władz daje osobne przepisy; gdy tymczasem uważamy tu kształcenie każdej z nich, w każdej jednocześnie, odpowiednio naturalnemu rozwojowi całego żywego ducha. Dla jaśniejszego więc porozumienia się z czytelnikiem, musimy rozjaśnić bliżej każdą z tych władz i dobitniej wskazać konieczną ich zależność od siebie, stanowiącą jedność w każdym ich ruchu, kiedy ma on wyrażać doskonalszy stan usposobień i rozwoju człowieka, słowem, kiedy ma być cechą dobrego i pomyslnego wychowania.

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMENIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

III.

Mieścina Missolonghi, której port może zaledwo przyjąć łódki rybackie, leży naprzeciwko Patras, na kończynach płacyzny wklęsłej i bagueistej, po której przepływa Achelous na zachód, a Evenus na wschód, cztery mile zaś na północ poczynają falować lesiste wzgórza Aracyntu. Od strony morza Missolonghi, równie jak Wenecja otoczone lagunami, wśród których Rumeljoci żeglują z nadwyzajną zrecznością temi wiotkimi łódkami, które zwą monoxylos*); ponieważ są wydrążone z jednego kawałka drzewa, na wzór pirogów indyjskich (*à la façon des pirogues Indiennes*, mówi autor; czyżby więc pierogi nie były polskiem słowem? *That the question!?*). U tych północnych wybrzeży morze jest tak niskie, że ustępuje przed wiatrami północy, a przeciwnie wichry południowe wzbudzają je tak, że często w czasie morskiej burzy szeregi domów bywają zalane. Przed wojną niepodległości, niektórzy z bogaceni żeglarze, chcący użyć rozkosznego widoku rozwartego na morskie skały i horyzonty błękitami nieba świetlane, mieli tam malownicze domki, mniej wspaniałe oczewiście od weneckich pałaców, ale także na pomostach wzniesione. Missolonghi więc dwójako jest obronne: przez laguny, nie dające wstępu okrętom wojennym, i przez bagna, dla wojska prawie nieprzebyte.

Byliśmy osobiście w Missolonghi, by widzieć uświęcone to miejsce i zasięgnąć w tej mierze podań ludowych, równie opowiadań sędziwych weteranów, co tam byli czynni. List, który zawdzięczałem Ihumenowi Megaspiljonu**), wprowadził mnie do protopapy missolonghskiego. Książd ten był dawnym żołnierzem, i dopiero po wyzwoleniu ojczyzny kapłaństwo rycerskie zmienił na duchowne, ujrzawszy obu synów swoich po bokach swoich, poległych. Erudycja teologiczna tego wiarusa, który służył pod Botzarisem, często szkodowała na jego pierwotnem wychowaniu i szorstkich awanturach młodości; natomiast posiadał skarbiec wspomnień, w które skąpym nie bywał, które umiał, zapaliwszy się, odtwarzać z dziwną wymową, napawaną w nienawiści ku Turkom i własnej dumie z powodu dokonanych powinności, co tak straszny kosztem tryumf odniosły. Starożytny mur z czasów weneckich***), przekop na siedm stóp szeroki, zasypany gdzieś niedaleko okuchami wałów, czternaście rdzawych armatek, oto, co mieli Grecy, za którymi szedł Omer Briones, co znaleźli w Missolonghi.

*) Całe wybrzeże przylądka Koryneckiego położone naprzeciw Peloponezu, zwie się Rumelja.

**) Jedyny może w świecie klasztor olbrzymich rozmiarów, kuty cały w jaskini skalistej w górach Peloponezu, ztąd Mega-spoleon. Tłumacz tej książki zwiadał go z listem ministra Zaimis i uniósł miłe wspomnienia gościnności.

***) Kiedy Doła Morozini więcej zniszczył Partenon bombardowaniem, jak wszyscy barbarzyńcy — o tem gdzieindziej pomówimy. (Przyp. tłum.)

Maurocordato wchodząc do miasta, miał dnia 21. października 1822 z sobą 25 ludzi, Botzaris 35, a z mieszkańcami co się z nimi złączyli było razem trzystu. Główna część ludności, pewna zguby, umknęła. Kilka kapitanów radziło, by zamiast iść na niechybną hekatombę, przeprawić się szybko łódkami do Peloponezu. Jeżeli, odpłyniemy, rzekł Maurocordato, wróg przejdzie bez oporu, zajmie Moreę, a Morca zajęta, to sprawa przegrana. Co do mnie, chcę tu życie skończyć. „I ja!” wykrzyknął Marco Botzaris. Te słowa przecięły wszelkie wahania, były one, powiada historyk Trikupi, głazem węgelnym obrony Missolonghi. W parę dni wydalono kobiety, dzieci i starców, którzy w nocy niepostrzeżeni przepłynęli między trzy okręty tureckie w największej ciszy. Z jakimż uczuciem opuszczając musieli to rodzinne gniazdo na łup wydane?! Dzieci mające przyszłość przed sobą, starcy przeszłość, za sobą... Po większej części udali się oni na siedm wysp. Po siedmiu latach rozłączenia Botzaris obaczył swą Chryzeis, syna i dwie córki. Szczęście krótko trwało. Opanowany smutnemi przeczcuciami, postanowił wyprawić ich do Ankony pod strażą sędziwego stryja Nothi, ostatniego polemarchy Suli.

Napróżno nieszczęsna Chryzeis błagała, by jej pozwolił niebezpieczeństwa podzielić z sobą. Odkądże to, mówiła, niewiasty Suljotów opuszczają swych mężów w chwili walki? Czy już nie umieją nabici broni i ran zagoić? Marko był nieubłagany. P. Jan Zambelios, autor tragedji „Marko Botzaris”, w Grecji wysoko cenionej, w usta Marka kładzie te dwa wiersze:

W czasie pokoju całym ja twój,
Całym dla Grecji, póki wre bój!

I tak się stało. Po wielu łzach wylanych na wybrzeżu rozstania, Chryzeis złamana moralnie z dziećmi i sędziwym stryjem odpłynęła do Italji. Rozdzierające to rozstanie w wilgę walki, z samowiedzą przyszłej śmierci, nie jest że większe i piękniejsze od pożegnania Hektora z Andromachą u Skeijskiej bramy? *)

W mieście pozostało kilku mnichów i kilkuset żołnierzy gotowych na wszystko. Gdyby Turcy w tej chwili byli uderzyli, byłiby wzięli Missolonghi siłą samego krótkiego mordu bohaterów, ale nie znali stanu rzeczy i ograniczyli się na odległym ostrzeliwaniu. Obleżeni wszelkimi pozorami mylili ich co do swej mocy. Uciekali się do takich środków, jak bębnienie na kilku znalezionych bębnach tureckich, które swych właścicieli dawnych oszukiwały co do liczby wojska obleżonego. Ten drobny wybieg tak oszukał Turków, ich siły nieświadomych, że Omer pasza wysłał parlamentarzysty. Obaj wodzowie chwycili tę sposobność dla jak najdłuższego przewleczenia układów, sami czekając na spodziewane posiłki, zapewne tylko tureckimi okrętami wstrzymane. Marko Botzaris i Hagos Bessiaris spotkali się więc z sobą w oddaleniu strzału pistoletowego od Missolonghi. Nastąpiły trzy rokowania z kilkodniowemi przerwami, w czasie których wzajemnie się ostrzeliwano; Marko udał wreszcie, że zawiera rodzaj układu, by nie zniecierpliwic przeciwnika. Ułożono się, że prezydent, z swoimi ludźmi, Botzaris i trzysta rodzin

*) Bramę skeijską wygrzebaną w starej Troi przez p. Schlimana widziałem, o czem później.

(Przyp. tłum.)

swobodnie opuścić miasto, a klucze potem oddane zostaną paszy.

Ta cyfra 300 rodzin oczywiście zmyślona dla wprowadzenia w błąd Turczyzna. Tydzień czasu wyznaczono Grekom dla wydalenia. Nastąpiła chwila pokoju. Marko Botzaris, kochający prawdę, podobno sobie ten fałsz wyrzucił; starzy ludzie mówili mi, że wracając do Missolonghi, zakrył swe czoło, wołając: „O, ojczyzno moja! Ileż ofiar już mnie nie kosztowałaś? Trzebaż było i honor mój na twoją szalę rzucić?”

Pierwsze dni tego zawieszenia broni były dla Greków pełne okropności. Mijały długie godziny, posiłków nie było widać. Zdało się, że Grecja wyparła się Missolonghi. „Byliśmy w strasznej obawie, mówił mi stary ksiądz, co chwila zdało nam się, że te psy (inaczej nigdy nie zwał Muzułmanów) spostrzegą się na naszej słabości i wpadną, że nie przebaczą, żeśmy z nich zadrwili. Cóżbyśmy byli zrobili 300 przeciw 10.000?! Czas leciał z chyżością nieubłaganą, wypatrywałam oczy na dalekich, falujących horyzontach, nic i nic, trzy okręty tureckie dobrze pilnowały. W kościołach nieustannie gromnice płonęły przed Panagijami; błagaliśmy niebios o noc ciemną i straszną burzę morską, wśród której majtkowie nasi, umiejący walczyć z rozpasanym żywiołem, mogli z okolic Hydry przepłynąć się ku nam przez linję ich okrętów. Ale noce były ciche i gwiazdolite... morze jak kołyska śpiącego dziecięcia.”

Wreszcie czwartego dnia dopiero gwałtowny wiatr południowy zerwał się i okręty Turków z miejsc ich powyrzucał. Długim był krzyk radości, który dobył się z piersi broniących Missolonghi, gdy spostrzegli jednocześnie siedem białych masztów Hidrojockich, płynących ku sobie od Patrasu, kiedy okręty tureckie zagrożone wyżelcami skał gęstych, z całym komicznym wysiłkiem, pełne wściekłości jeły chronić się przed burzą i płynąć z gwałtownym pospiechem do Itaki.

Skoro te ustąpiły, flotylla grecka wylądowała na pomoc obleżonym, rzucając na brzeg siedmiu set ludzi pod wodzą Pietra Bey Mauromichalis*). W parę dni 15.000 nadpłynęło z Peloponezu. Odtąd była możliwość odporu (11. listopada). Omer Briones był rozpaczliwym świadkiem tej („Czestochowskiej!”) obrony. Wyperswadowano z łatwością temu niedołędze, że flotylla patraska zabrała właśnie owe trzysta rodzin z Missolonghi. To też (co za komiczny efekt!) posłał wróciwszy po klucze miasta. Marko Botzaris odrzekł słowami Leonidasa: „Jeżeli ich pragniesz, przyjdź je wziąć!” — Nie zatrzymamy się długo nad bezskutecznymi szturmami Turków, ani nad ewolucjami, które odznaczyli się Helleni. Omer widząc, że siłą rady nie da, uciekł się do chytryści.

Bożego Narodzenia święta się zbliżały. Grecy odbywają je z gorącym nabożeństwem, które czasem przechodzi aż w zabobonność; zachowują do najmniejszych drobnostek wszelkie uświęcone zwyczaje i niesłychaną pompą rytuału otaczają te święta **). Sądził pasza, że przez tę noc wszy-

*) Prawnuka jego, młodego konsula na Cyprze, pełnego zapatu dla sztuki, archeologa i polonofila poznałem i zaprzyjaźniłem się z nim w podróży z Aleksandrii do Rodos. O znacznej tej rodzinie mówią Grecy, że jest starożytną jak skały jej ziemi. (Przyp. tłum.)

***) Widziałem na wyspie Syra, gdzie mnie okręt odpłynął, na procesji rezurekcyjnej wielkanocnej biskupa

sey się zamodlił i opuszcza wały obronne. Postanowił więc przypuścić szturm nocny. Na pierwsze odezwanie się dzwonów w kościołach Missolonghi, mieli Turcy pospieszyć ku miastu. Sądził pasza, że tym fortelem, który mu się nie wydał niebezpiecznym, potrafi rzucić się na miasto i wytepić jego obrońców. Zaledwo zbliżyli się pod okopy, gdy ukryci za wałem żołnierze Botzarisa przywitani ich ogniem, który to miejsce zasiał trupami. Omer Briones następnej nocy przerażony, umknął z taką chyżością, że obleżeni weszli do jego warowni, wzięli tabor, dwaście dział, mundury i insygnia, nawet świąteczny ubiór Baszy pełen klejnotów. Kilka osób wiarogodnych upewniło nas o tem zdarzeniu nieprawdopodobnym; opiewa go też piosenka, co ludzi przeżyła, niejakiego żołnierza wielkiej dzielności, Mikrulis, brata jednej z dwóch ofiar. Śpiew ten nadto długi do cytowania. Podyktowano nam go w Missolonghi, oto jego ustęp:

„Kartacze padają deszczem, bomby gradem, kule piaskiem morza! *)

„Poszanujmy kraj, będący kwiatem Grecji, chwałą świata, kluczem Rumelji, kolumną Morei.

„Turcy poprzysięgli sprawić potop w Missolonghi w dzień Wigilji — odparliśmy ich!

„Ilu ich padło? wie Pan! Dwóch padło naszych Palikarów, Kalkuris i Mikrulis.

„Zmarli dla Grecji, cieszcie się! Ci co giną dla narodu swego, nie giną, zostawiają piękne imię i odchodzą z chwałą!”

Przytomność to umysłu M. Botzarisa i jego szybka decyzja w działaniu zbawiły Grecję.

Jeden z bastjonów miasta, dziś nosi jego imię, skromne świadectwo oddane jego wielkości! Maurocordato, który zdobył wdzięczność całego kraju przez okazany w tej potrzebie hart ducha, wrócił wtedy do Peloponezu, gdzie go troskliwość rządu narodowego powołała. Zostawił Botzarisowi nominację na generała dowódcę Grecji zachodniej (général en chef). Sława tego rozmiaru byłaby upoiła człowieka o mniejszej wrodzonej skromności, ale ambicja jego, jeśli ją miał, „była poetyczniejszą”; nie generałem być, w duchu i czynnie równać się Leonidasom starożytnym, w nowej epoce jak oni walczyć i ginąć bez innych zaszczytów, oto o czem marzył. W lecie r. 1823, Mustai pasza Skodry (właściwie Skutari europejskie w Albanji), wyruszył z Illirji w celu rzucenia się na Missolonghi z Peloponezu, na czele armji złożonej przeważnie z Guegów i Toksidów, najdzielniejszych plemion Albańskich. Historycy ich liczbę oznaczają na 30 do 40.000. Jego gwardja poprzedzająca, złożona z 14.000, przebyła w sierpniu Tessalję i kanton Agrafa, wszystko niszcząc w swym pochodzie i pustę po sobie zostawiając, i gruzy o wlokących się nad okolicą dymach pożarów. W tymto czasie hydra niezgody o mała nie przyprawiła o zgubę Missolonghi, bronionego tak strasznym wysiłkiem ludności. Nominacja Botzarisa wzniciła zawiść otaczających go dowódców o karłowatych ambicjach osobistych; nie mogli mu darować, że młodszy od nich dosłużył się wyższego stopnia, pragnęli

celebrującego, który przez dwie godzin trzymał cztery palce wzniesionej prawej ręki wyprężone, a czwarty skulony jak przylepiony do dłoni, dla tego, że tak ręce błogosławią na starych ikonach. (Przyp. tłum.)

*) Wielki odtam bomby wygrzebałem sam na cmentarzu Missolonghi i na koniu w worku podróżnym wioząc z trudnością po całym Peloponezie, przywozłem aż do Rzymu i wreszcie do domu. (Przyp. tłum.)

Maurocordato wchodząc do miasta, miał dnia 21. października 1822 z sobą 25 ludzi, Botzaris 35, a z mieszkańcami co się z nimi złączyli było razem trzystu. Główna część ludności, po wna zguby, umknęła. Kilka kapitanów radziło, by zamiast iść na niechybną hekatombę, przepłynąć się szybko łódkami do Peloponezu. Jeżeli odpłyniemy, rzekł Maurocordato, wróg przejdzie bez oporu, zajmie Moree, a Morea zajęta, to sprawa przegrana. Co do mnie, chcę tu życie skończyć. „I ja!“ wykrzyknął Marco Botzaris. Te słowa przecięły wszelkie wahania, były one, powiada historyk Trikupi, głazem węgelnym obrony Missolonghi. W parę dni wydano kobiety, dzieci i starców, którzy w nocy niepostrzeżeni przepłynęli między trzy okręty tureckie w największej ciszy. Z jakimż uczuciem opuszczać musieli to rodzinne gniazdo na łup wydane?! Dzieci mające przyszłość przed sobą, starcy przeszłość, za sobą... Po większej części udali się oni na siedm wysp. Po siedmiu latach rozłączenia Botzaris obaczył swą Chryzeis, syna i dwie córki. Szczęście krótko trwało. Opanowany smutnemi przeczuciami, postanowił wyprawić ich do Ankony pod strażą sędziwego stryja Nothi, ostatniego polemarchy Suli.

Napróżno nieszczęsna Chryzeis błagała, by jej pozwolił niebezpieczeństwa podzielić z sobą. Odkądże to, mówiła, niewiasty Suljotów opuszczają swych mężów w chwili walki? Czy już nie umieją nabici broni i ran zagoić? Marko był nieubłagany. P. Jan Zambelios, autor tragedji „Marko Botzaris“, w Grecji wysoko cenionej, w usta Marka kładzie te dwa wiersze:

W czasie pokoju całym ja twój,
Całym dla Grecji, póki wre bój!

I tak się stało. Po wielu łzach wylanych na wybrzeżu rozstania, Chryzeis złamana moralnie z dziećmi i sędziwym stryjem odpłynęła do Italji. Rozdzierające to rozstanie w wilgę walki, z samowiedzą przyszłej śmierci, nie jest że większe i piękniejsze od pożegnania Hektora z Andromachą u Skeijskiej bramy?*)

W mieście pozostało kilku mnichów i kilkuset żołnierzy gotowych na wszystko. Gdyby Turcy w tej chwili byli uderzyli, byłiby wzięli Missolonghi siłą samego krótkiego mordu bohaterów, ale nie znali stanu rzeczy i ograniczyli się na odległym ostrzeliwaniu. Obleżeni wszelkimi pozorami mylili ich co do swej mocy. Uciekali się do takich środków, jak bębienie na kilku znalezionych bębnach tureckich, które swych właścicieli dawnych oszukiwały co do liczby wojska obleżonego. Ten drobny wybieg tak oszukał Turków, ich siły nieświadomych, że Omer pasza wysłał parlamentarzysty. Obaj wodzowie chwycili tę sposobność dla jak najdłuższego przewleczenia układów, sami czekając na spodziewane posiłki, zapewne tylko tureckimi okrętami wstrzymane. Marko Botzaris i Hagos Bessiaris spokali się więc z sobą w oddaleniu strzału pistoletowego od Missolonghi. Nastąpiły trzy rokowania z kilkodniowymi przerwami, w czasie których wzajemnie się ostrzeliwano; Marko udał wreszcie, że zawiera rodzaj układu, by nie zniecierpliwic przeciwnika. Ułożono się, że prezydent, z swoimi ludźmi, Botzaris i trzysta rodzin

*) Bramę skeijską wygrzebaną w starej Troi przez p. Schlimana widziałem, o czem później.

(Przyp. tłum.)

swobodnie opuszczą miasto, a klucze potem oddane zostaną paszy.

Ta cyfra 200 rodzin oczywiście zmyślona dla wprowadzenia w błąd Turczyń. Tydzień czasu wyznaczono Grekom dla wydalenia. Nastąpiła chwila pokoju. Marko Botzaris, kochający prawdę, podobno sobie ten fałsz wyrzucał; starzy ludzie mówili mi, że wracając do Missolonghi, zakrył swe czoło, wołając: „O, ojczyzno moja! Ileż ofiar już mnie nie kosztowałaś? Trzebaż było i honor mój na twoją szale rzucić?“

Pierwsze dni tego zawieszenia broni były dla Greków pełne okropności. Mijały długie godziny, posiłków nie było widać. Zdało się, że Grecja wyparła się Missolonghi. „Byliśmy w strasznej obawie, mówił mi stary ksiądz, co chwila zdało nam się, że te psy (inaczej nigdy nie zwal Mużulmanów) spostrzegą się na naszej słabości i wpadną, że nie przebaczą, żeśmy z nich zadrwili. Cóżbyśmy byli zrobili 300 przeciw 10.000?! Czas leciał z chyżością nieubłaganą, wypatrywaaliśmy oczy na dalekich, falujących horyzontach, nic i nic, trzy okręty tureckie dobrze pilnowały. W kościołach nieustannie gromnice płonęły przed Panagijami; błagaliśmy niebios o noc ciemną i straszną burzę morską, wśród której majtkowie nasi, umiejący walczyć z rozpasanym żywiołem, mogli z okolic Hydry przepłynąć się ku nam przez linję ich okrętów. Ale noce były ciche i gwiazdolate... morze jak kołyska śpiącego dziecięcia.“

Wreszcie czwartego dnia dopiero gwałtowny wiatr południowy zerwał się i okręty Turków z miejsc ich powyrzucał. Długim był krzyk radości, który dobył się z piersi broniących Missolonghi, gdy spostrzegli jednocześnie siedem białych masztów Hidrjockich, płynących ku sobie od Patrasu, kiedy okręty tureckie zagrożone wyżelcami skał gęstych, z całym komicznym wysiłkiem, pełne wściekłości jęły chronić się przed burzą i płynąć z gwałtownym pospiechem do Itaki.

Skoro te ustąpiły, flotylla grecka wylądowała na pomoc obleżonym, rzucając na brzeg siedmiu set ludzi pod wodzą Pietra Bey Mauromichalis*). W parę dni 15.000 nadpłynęło z Peloponezu. Odtąd była możliwość odporu (11. listopada). Omer Briones był rozpaczliwym świadkiem tej („Częstochowskiej!“) obrony. Wyperśwadowano z łatwością temu niedołędze, że flotylla patraska zabrała właśnie owe trzysta rodzin z Missolonghi. To też (co za komiczny efekt!) posłał wróciwszy po klucze miasta. Marko Botzaris odrzekł słowami Leonidasa: „Jeżeli ich pragniesz, przyjdź je wziąć!“ — Nie zatrzymamy się długo nad bezskutecznymi szturmami Turków, ani nad ewolucjami, które odznaczyli się Helleni. Omer widząc, że siłą rady nie da, uciekł się do chytrłości.

Bożego Narodzenia święta się zbliżyły. Grecy odbywają je z gorącym nabożeństwem, które czasem przechodzi aż w zabobonność; zachowują do najmniejszych drobnostek wszelkie uświęcone zwyczaje i niesłychaną pompą rytuału otaczają te święta**). Sądził pasza, że przez tę noc wszy-

*) Prawnika jego, młodego konsula na Cyprze, pełnego zapалу dla sztuki, archeologa i polonofila poznałem i zaprzyjaźniłem się z nim w podróży z Aleksandrii do Rodos. O znacznej tej rodzinie mówił Grecy, że jest starożytną jak skały jej ziemi. (Przyp. tłum.)

***) Widziałem na wyspie Syra, gdzie mnie okręt odpłynął, na procesji resurekcyjnej wielkanocnej biskupa

scy się zamodlą i opuszczą wały obronne. Postanowił więc przypuścić szturm nocny. Na pierwsze odezwanie się dzwonów w kościołach Missolonghi, mieli Turcy pospieszyć ku miastu. Sądził pasza, że tym fortelem, który mu się nie wydał niebezpiecznym, potrafi rzucić się na miasto i wytepić jego obrońców. Zaledwo zbliżyli się pod okopy, gdy ukryci za wałem żołnierze Botzarisa przywitani ich ogniem, który to miejsce zasiał trupami. Omer Briones następnej nocy przerażony, umknął z taką chyżością, że obleżęcy weszli do jego warowni, wzięli tabor, dwanaście dział, mundury i insygnia, nawet świąteczny ubiór Baszy pełen klejnotów. Kilka osób wiarygodnych upewniło nas o tem zdarzeniu nieprawdopodobnym; opiewa go też piosenka, co ludzi przeżyła, niejakiego żołnierza wielkiej dzielności, Mikrulis, brata jednej z dwóch ofiar. Śpiew ten nadto długi do cytowania. Podyktowano nam go w Missolonghi, oto jego ustęp:

„Kartacze padają deszczem, bomby gradem, kule piaskiem morza!“)

„Poszanujmy kraj, będący kwiatem Grecji, chwałą świata, kluczem Rumelji, kolumną Morei.“

„Turcy poprzysięgli sprawić potop w Missolonghi w dzień Wigilji — odparliśmy ich!“

„Ilu ich padło? wie Pan! Dwóch padło naszych Palikarów, Kalkuris i Mikrulis.“

„Zmarli dla Grecji, cieszcie się! Ci co giną dla narodu swego, nie giną, zostawiają piękne imię i odchodzą z chwałą!“

Przytomność to umysłu M. Botzarisa i jego szybka decyzja w działaniu zbawiły Grecję.

Jeden z bastjonów miasta, dziś nosi jego imię, skromne świadectwo oddane jego wielkości! Maurocordato, który zdobył wdzięczność całego kraju przez okazany w tej potrzebie hart ducha, wrócił wtedy do Peloponezu, gdzie go troskliwość rządu narodowego powołała. Zostawił Botzarisowi nominację na generała dowódcę Grecji zachodniej (général en chef). Sława tego rozmiaru byłaby upoiła człowieka o mniejszej wrodzonej skromności, ale ambicja jego, jeżeli ją miał, „była poetyczniejszą“; nie jenerałem być, w duchu i czynnie równać się Leonidasom starożytnym, w nowej epoce jak oni walczyć i ginąć bez innych zaszczytów, oto o czem marzył. W lecie r. 1823, Mustai pasza Skodry (właściwie Skutari europejskie w Albanji), wyruszył z Illirji w celu rzucenia się na Missolonghi z Peloponezu, na czele armji złożonej przeważnie z Guegów i Toksidów, najdzielniejszych plemion Albańskich. Historycy ich liczbę oznaczają na 30 do 40.000. Jego gwardja poprzedzająca, złożona z 14.000, przebyła w sierpniu Tessalję i kanton Agrafa, wszystko niszcząc w swym pochodzie i pustę po sobie zostawiając, i gruzy o wlokących się nad okolicą dymach pożarów. W tymto czasie hydra niezgody o mała nie przyprawiła o zgubę Missolonghi, bronionego tak strasznym wysiłkiem ludności. Nominacja Botzarisa wzięcia zawiść otaczających go dowódców o karłowatych ambicjach osobistych; nie mogli mu darować, że młodszy od nich dosłużył się wyższego stopnia, pragneli

celebrującego, który przez dwie godzin trzymał cztery palce wzniesionej prawej ręki wyprężone, a czwarty skulony jak przylepiony do dłoni, dla tego, że tak ręce błogostawia na starych ikonach. (Przyp. tłum.)

*) Wielki odłam bomby wygrzebałem sam na cmentarzu Missolonghi i na koniu w worku podróżnym wioząc z trudnością po całym Peloponezie, przywiozłem aż do Rzymu i wreszcie do domu. (Przyp. tłum.)

go mieć równym, nigdy wyższym. Oto straszny wzór, jak w narodzie podbitym, słowo „niesłuchać“, naturalny wykwit niechęci ku najezdniczemu rządowi, z łatwością potem obraca się przeciw wszelkiej władzy, i jak to pojęcie znarowione staje się jajkiem anarchji, a w skutku zguby podobnej samobójstwu człowieka, co tonąc z wody się ratuje, a w głąb ciągnie ratującego. Rząd grecki uczuł się zniewolonym do przesłania nowych kilku nominacji, wolał milczeć jak drażnić. W tem przyszła wieść a zbliżeniu Seraskiera Mustai. Botzaris korzystając z tego jak wielki mąż, wyższy o cały maszt okretowy od zaściankowych zawiści, zebrał wszystkich dowódców i w oczach ich podarłszy w drobne kawałki swą nominację, zawołał: „U wroga szukać nam tych dyplomów! Pojutrze obaczym, który z was ich najgodniejszy.“ I z 400 Palikarami opuścił miasto. Nazajutrz wszystkie oddziały pod grozą niebezpieczeństwa z nim się złączyły. Zamiarem Botzaris było wstrzymać Turków, zanim dojdą do Missolonghi. Jednym z tych błyskawicznych pochodów, których szybkością wstawili się Grecy i ztąd niejedne odnieśli zwycięstwa, Marko przybył na granicę kantonu Karpenitzi przez wąwozy gór Plocapari, kiedy Turcy wysuwali się z drugiej strony Kalidromu. Grecy ukryci w lasach dali im rozbić namioty. Botzaris uznał niepodobieństwo zmierzania się z 14.000 ludźmi, będących tylko poprzednikami Seraskiera. Ten stan trwał dóbę. Grecy rozeksaltowani hydrą niebezpieczeństwa, to znów przyrażeniu ulegający, błędzili w tych lasach miotani najsporniejszymi uczuciami, jednak na wszystko gotowi. Ich wódz jeden tylko zachował tę niestanną równowagę i spokój, jaki mieszka w wielkiej duszy, gdy ta raz co postanowiła. List jego pisany do lorda Byrona d. 18. sierpnia 1823, tego usposobienia dowodzi. „List wasz, i list Ignazja (metropolita z Arty, opiekun rodziny M. Botzaris) przejęły mnie najżywszą radością. Wasza Ekscelencja jesteście właśnie mężem, jakiego nam potrzeba. Niechaj cię nic nie wstrzymuje od zbliżenia się w tę okolicę. Wróg liczny grozi nam, ale za pomocą Boga wszechmogącego i ludzi jego łaski, takich jak Wasza Ekscelencja, potrafimy mu się oprzeć. Tego wieczora już będę miał spotkanie z korpusem albańskim. Pojutrze zaś z tymi, co w mym obozie najprzedniejsi, wyjadę na spotkanie Waszej Ekscelencji. (Avec les hommes d'élite, adevant de Votre Excellence.) Nie spańcie! Dzięki ci za dobre wyobrażenie jakie masz o nas, i tuszę, że go nie zatracisz!“ *)

Napisawszy te słowa, uczynił wycieczkę, o której wspomina jako o bagateli (j'aurai quelque chose à faire contre les Albanais), a która była ni mniej ni więcej jak ofiarą jego życia i wyzwaniem ojczyzny. Wśród zajęć dnia miał on kilkakrotnie smętne przeczucie śmierci.

Aleksander Sutz, autor historii powstania greckiego, opowiada, że z zapadnięciem zmierzchu nocnego, Botzaris oddalił się od swoich i zagłębił się w marzącą zadumę. Tussas, krewny jego, dojrzał go płaczącego i nie śmiał badać przyczyny. Marko zaś spostrzegłszy go, wyciągnął doń rękę i rzekł: „Jakże ciężką jest powinność moja! Zlecam tobie moją Chryzeis i moje dzieci!“

Nazajutrz do świtu idąc na Karpenitzi, Grecy przeszli przed wschodem słońca wioskę Silitza,

*) Relation de l'exp. de L. Byron en Grece 1825, przez hr. Gamba, który był porucznikiem w oddziale fundowanym p. Byrona, a razem bratem słynnej hr. Guiccioli.

której mieszkańcy jeszcze spali. W małej kapliczce przy drodze dzwoniło na mszę za pomocą dwóch klekoczących desek, bo dzwonić nie pozwalali Turcy *). Wszedł do kościoła z kilku towarzyszami i uniósł się w modlitwie ku Stwórcy, jak krzyżowcy starożytni przed bojem.

Po skończonej ofierze, gdy mnisi śpiewali godzinki, zbliżył się ku nim i dając parę sztuk złota, rzekł: „Oto dla ubogich! Módlcie się za duszę Botzaris!“

— Wielki Boże! Czyż zginął? zawołał mnich znający go tylko po imieniu.

— Nie — odrzekł — właśnie zginie!

Bitwa pod Korpenitzi została w Grecji romantyczne wspomnienia. Słyszeliśmy jej opis z ust generała Kitzos Tsawellas, który w niej był czynny. Zmarły niedawno, był on ostatnim reprezentantem Suliotów, i łatwo w nim typ ten można było odnaleźć. Nizki, krępy, nerwowy, błękitnooki, o głowie dumnie zadartej i wyrazistych rysach, miał coś wspólnego z portretami Botzaris **). Świadectwa historii też godzą się na jeden zdźwięk, dając opis tej bitwy pamiętnej w szeregu walk o niepodległość grecką.

(C. d. n.)

Z teki podróży.

(Tatry i Alpy. — Odwrotna strona medalu. — Patriotyzm szwajcarski. — Rapperswil. — Muzeum Narodowe. — Praca organiczna. — Marzenia...)

Nie umiem wytłumaczyć, doprawdy, dla czego urodzony w okolicach zgoła płaskich Polski, wychowaniec stepów, miałem i mam zawsze żywą sympatię do gór, skał, ich wyżyn i lasów, ich ciasnych wąwozów i krajobrazów dzikich. Równiny rozległe, bujne, step choćby najbardziej bezgraniczny i pusty, nie tracą, to prawda, nigdy dla mnie uroku, zwłaszcza jeżeli nasze to wszystko, jeżeli zapatrzone w bezmiary te oko dojrzy, od miejsca do miejsca swojską mogiłę, w pół rozkopany kurhan, a ucho dosłyszysz lubego dźwięku ukraińskiej dumki!... Lecz, jakby ku sprawdzeniu znanego obcego przysłowia, iż „ostateczności stykają się z sobą“, obok tych rodzimych ziem obrazków, nie rozkoszniejszego dla mnie nad widok gór piętujących się w niebiosy, surowej, dzikiej wokół nich natury, śnieżnych szczytów i skał olbrzymich w ustawicznej z obłokami walce, a jakby wigrasze Opatrzności, ręką jej wszechsilną poszarpanych w kawały, i żyźnych, wąskich dolin, usłanych niewolniczo pod ich stopami, i wodospadów szumiących i szparkich, a przejrzystych potoków... Poetą nie jestem; zamknięty dla mnie Parnas z szczytnymi natchnieniami swymi; nie brałem nigdy w rękę lutni Apollina, by nie potargać, nie zbezcześcić przynajmniej strun jej grubymi palcami profana, a powolnych często uszów słuchacza nie skaleczyć dźwiękami kociej muzyki. Nie sililem się przeto nigdy na wyrażenie lub wyśpiewanie tego, co czułem u podnóża wzniosłych gór takich, czy na ich wierzchołkach, po których śmiało stapałem. Ale

*) Obecnie wolno tylko raz uderzać w dzwon młotem. Słyszałem te uderzenia cały tydzień na górze Karmel nad morzem. (Przyp. tłum.)

***) Portret Botzaris świetnie pojęty i głęboko poczuły, prawdziwy ideał akwareli, był na ostatniej wystawie obrazów lwowskiej, malowany przez Franciszka Tepe. (Przyp. tłum.)

czułem i czuję zawsze żywo ich wspaniałe rozkosze; czerpałem w nich dla siebie przynajmniej, gdy dla innych nie mogłem, tyle wytchnienia, poezji, że raźniej potem wracać mogłem do żmudnej pracy i prozy życia.

Toż z niewypowiedzianem uczuciem zachwytu, szczęścia w duszy, z żywym wyrazem wdzięczności dla Stwórcy za taki cud Jego Wszechmocy, uwielbienia dla Matki-Polski za taką nową jej kraskę, powitałem przed kilku laty po raz pierwszy nasze ojczyste Tatry. Mówię: ojczyste, bo choć część ich spora geograficznie dziś do Węgier się zalicza, to niemniej przeto naszą jest ona. Wszak to ziemia Spizka; to pierwszy klejnot „pobożną“ ręką obcej monarchii z naszej królewskiej korony wydarty!

Nie były to pierwsze gór łańcuchy, jakie oglądałem w życiu. Zagnany twardej kolejami jego w odległą obczyznę, znałem już Alpy Styryjskie, Tyrolu, widziałem Apeniny, góry Francji, Sabaudji, nawet Szwajcarskie Alpy, te ostatnie wszakże zbyt przelotnie, po wierzchu. Zwiedzałem następnie rozkoszne górskie okolice naszej Rusi Czerwonej, czarowne Beskidy. Wyznać wszakże mogę, iż po nad te wszystkie piękności i cuda przenieśliśmy Tatry: Zakopane, rozsiane w najpiękniejszej niechybnie części doliny Białego Dunajca, z panoramą Gewontu, Czerwonego Wierchu, Swinnicy, skał olbrzymich, otoczonych zielonym, zawsze świeżym bujnych Regli wiankiem, z uśmiechniętą, rozkoszną Gubałówką swoją; doliny Strążyska, Małej Łąki, Kościeliska, Chochołowska, Roztoki, Białej Wody; wzniosłe szczyty Łomnicy, Lodowca, Gerlacha, króla całej mnogiej skał Tatrzańskich drużyny; wodospady Kolbacha, Siklawy itp. Wszystko to nad wyraz wspaniałe, piękne, to rozkoszne i bujne, to groźne i wielkie, iż dziwnie wabi i zachwyca wszelkie, a cóż dopiero polskie serce, przywiązuje do siebie tak, iż się z trudnością od tego oderwać a z szczerem żalem żegnać przychodzi.

Zwiedzając w kole lat kilku te cuda natury, z ciekawością a rozkoszą przebiegając po kilkakroć te niewymowne piękności polskiej ziemi, wydziwić się nie mogłem, dla czego tak mało stosunkowo rodaków zna je i podziwia, dla czego goniąc niejednokrotnie za dziwami i wdziękami obcych krajów, o nich szeroko rozmawiając i pisząc, własne się, tak zgoła niemal, zapoznaje skarby? Co gorsza nawet, nietylko zapoznaje się je lub z obojętnością pomija, ale niekiedy bezkarnie beczęści i poniewiera. Tak przed rokiem czy dwoma, pamiętam, że „Czas“ krakowski ogłosił haniebny artykuł o Tatrach, odmawiający im niemal wszelkiej wartości i krasy, wdzięku, zdrowego powietrza nawet — wyrażający zdziwienie, że może się jeszcze ktoś znaleźć ciekawy, aby się zapędzał w te dzikie ustronia, a dziwaczny, aby mógł tam na letni wypoczynek zdążyć, kędy według owego artykułu nie ma czem opędzić pierwszych potrzeb życia! Nie pamiętam już dobrze wyrażen jego, ni numeru szanownego pisma, co go umieścić w kolumnach swoich chciało. Ale to pewna, że był głos taki, który nie mnie tylko samego do żywego oburzył, a który, o ile grzechem był przeciw miłości kraju własnego, o tyle istnem względem Tatr oszczerstwem. To prawda, że braknie im jeszcze wygodnych dróg, komunikacji, zajazdów, na co się wielu użala, i za przeszkodę to stanowiącą ku ich zwiedzaniu przedstawia. To prawda, że obok koniecznych do życia warunków, na które Zakopanemu nie zbywa

ke, na rzeź, bez wahania się, prawie bez bólu... modlące się pod szubienicą ofiar, ginące samo za ojczyznę!

Mełczyzna nie zna tych niepojętych ostateczności. Gorący w swych namiętnościach, zachowuje jednak promyk rozumu, może samolubstwa, który na wodzy trzyma wyobraźnię, uczucia. — W jego czynnościach więcej jest rachuby, niżli w czynnościach kobiety. Rzadko kiedy zdolnym jest do poświęcenia się bezwzględnie, zupełnego, do zaparcia się z zapomnieniem o sobie. Nie zna on również nienawiści zimnej, nieubłaganej, okrucieństwa bez celu. Sprawiedliwszym jest od kobiety, bo też rzadko kiedy przestaje być sobą.

A gdy Bóg patrzy na nas, co myśli o swem najmłodszym stworzeniu?

Te i tym podobne utwory dziewicy, zaledwie wstępującej w wiosnę życia, zasługują na szczególną uwagę. Jeżeli z jednej strony są smutnym świadectwem upadku społeczeństwa, które młodocianym umysłem już przedstawia niedzotę życia i do gorzkich pobudza spostrzeżeń, do ponurego usposobienia poglądu, z drugiej strony dowodzą, że dusze szlachetne, zacne, mogą wznieść się nad poziom codziennych, pospolitych zabiegów egoistycznego, zepsutego świata, mogą obrać świetlaną drogę, usłaną powinnościami, prowadzącą do wyższego celu. Ich przeznaczeniem — przypominać ludzkości ważne posłannictwo, jakie ma do spełnienia, przypominać kobietom, zwłaszcza niewiastom polskim, znakomite stanowisko, które zajmują w społeczeństwie, mogąc je podnieść, uwydatnić cnotami, godnością osobistą, ukształceniem, a przez to samo wywieraniem dobroczynnego wpływu na drugą rodni ludzkiego połowę.

Stefan Buszczyński.

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMENIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Dnia 18. rano M. Botzaris wydał rozporządzenia ataku, mającego nazajutrz w nocy być wykonanym. W ciągu dnia, Kitzos Tsawellas, dzielny i wierny syn Akarnanji Karaiskos, Zongos, Makris, przeszli z góry Plokapari w lasy Kalidromu, jedni po drugich, dzikimi bezdrożami, by nie byli dostrzeżeni od Turków. Mieli zleczone zatrzymać się naprzeciw ich obozu, ale nie dać znaku życia choćby strzały słyszeli, dokąd nie usłyszą sygnału trabki Botzaris. Ten zaś tylko 300 ludzi zatrzymał przy sobie. Zamiarem jego zuchwałym było, uderzyć wprost na obóz Seraskiera i zgładzić go, podczas gdy całe wojsko z różnych stron będzie zajęte zaczepkami wypadłych z Kalidromu oddziałów. Potem zostawiwszy rezerwę, która by ostateczny popłoch, w płochliwej w takich razach armji tureckiej rozsiała, spodziewał się znieść tym fortem nieprzygotowanego wroga, zmieć wzniesioną utratą wodza. Z nocą wyruszył. Moment wahania dał się czuć w wojsku. „Wolno wam wszystkim pozostać — zawołał — co do mnie — pójdę.“ I dodał te pamiętne słowa, które odtąd

Nr. 41.

powtarzano jak rodzaj przysłowia. „Jeżeli mnie straciecie z oczu w zamieszku, idźcie do namiotu Seraskiera — tam mnie znajdziecie“. Temi słowy porwani trzystu Palikarów dobyło miecze, a pochwy w dal odrzuciło, dając tem poznać, że postanowili tylko zwyciężyć lub zginąć; potem według obyczaju Greków, w chwilach uroczystych zawsze zachowywanego, dali sobie pocałunek pokoju. (Le baiser de la paix.) Noc — dzikość otaczającej natury, heroizm tych ludzi na śmierć gotowych, wszystko to nadaje bitwie pod Karpenitzi szczególną i wybitną cechę dramatyczną. Poeci i historycy spotkali w porównaniu tej bitwy z Termopylami, trzystu mężów Botzaris z trzystą meżami Leonidasa. Marko z swymi zbliżył się ku strażom muzułmańskim o północy. Zagadawszy z albańska, udali, że są posiłkami ciągnącymi w pomoc Omerowi Briones, i zostali przepuszczeni. Weszli w środek obozu, gdzie największy spokój panował. Turcy głęboko uspieni, ockneli się na wrzask pierwszych ofiar Greków. Zerwali się do broni, nie wiedząc zkąd w tej ciemności grozi niebezpieczeństwo. Wodzowie byli pewni sprzeczki w armji, tak dalecy byli od przypuszczenia rzeczywistości. Jeden tylko Dzelendi-Bey, adjutant Mustai paszy, poznał Marka Botzaris; w chwili, gdy otwarł usta, by ostrzedz swoich, Suljota zamknął mu je na wieki. Korzystając z zamieszki, Grecy godzili podwójnymi razy. Wkrótce Guogowie i Toxydzi wzajemnie na siebie strzelać poczęli. Przez ten czas Botzaris przedzierał się przez grupy osłupiałych żołnierzy, pytając po albańsku, gdzie namiot Seraskiera? Tak przez pomyłkę wpadł do Hagos Bessarisa, który ongi zdradził Suljotów, i tak zdradę życiem przypłacił. Pan Zampeljos opowiada w swej historii, że sam Botzaris tej nocy zgładził siedmiu wodzów tureckich. Fatalność jakaś przed jego ramieniem chroniła Seraskiera. W tem świate zaczęło, czas upływał i Marko Botzaris ujrzał, że go wielka przestrzeń dzieli od reszty żołnierzy. Sądził, że oto czas dania hasła żołnierzom ukrytych w lasach, by uwagę wroga znów w inną stronę zwrócić i zwolnić okropne w tej chwili położenie swych Palikarów. Przyłożył do ust róg swój bojowy i weń uderzył całą mocą. Na ten dźwięk silny i dziki pojęli całą mocą. Na ten dźwięk silny i dziki pojęli dopiero Albańczycy, z kim mieli do czynienia i co im groziło. Na chwilę ulegli przerażeniu z bliskości tego człowieka, którego poznali, potem hurmą nań się rzucili i razem strzelili w jego kierunku, nieświadomi sami, co czynią.

W tej chwili Kitzos Tsawellas ze swymi na głos rogu wypadłszy z lasów, pędzili z całej siły na obóz ze stromych gór Kalidromu.

W mgnieniu oka już są — już walczą. Botzaris widząc jak wróg falami następuje nań i zewsząd go otacza, rzucił się napowrót, wprzód szukając z tęsknotą Seraskiera jak najmilszego ideału. Kula ugodziła go w żywot, kiedy zmierzzał ku wielkiemu namiotowi, który sądził być wodza namiotem. Nieczuły na ból, jeszcze parę kroków postąpił, ale wpływem krwi buchającej w parę minut wstrzymany, ugiął jedno kolano, by się podeprzeć. „Do mnie bracia!“ zawołał, czując się śmiertelnie ugodzonym — siły jego uchodziły — słońce poczyniło wschodzić. Już omglonym wzrokiem, z ostatnim krzykiem szczęścia, dojrzał wielki mąż żołnierzy swoich gromiących zewsząd wroga, który uchodzić zaczął. Tu dopadł go brat jego Kosto (Konstanty), próżno go dotąd szukający. Nie mógł wymóżyć na nim,

by się oddalił z pola walki. Nie słysząc prawie, pożerał wzrokiem ten tryumf swej myśli — porwał się jeszcze do walczenia, gdyż opatrzone szybko ranę i osłabienie raptowne zdało się mijać. Już nabijał karabin — gdy druga kula strzaskała mu czoło! Padł, by nie powstać, mając lat zaledwo trzydzieści pięć. Żołnierze jego pijani zemstą, odzyskali lwie siły na widok tego ciała bohatera, rozbili w perzynę armię Seraskiera o tyle liczniejszą, i zmusili do ucieczki w góry Tessalji.

Zwycięzcy wrócili do Missolonghi, zapominając o tryumfie, a boleśni strasznie osieroceniem. Mieli przed sobą ciało męczennika, którego prawie rozpoznać nie mogli. Upowiadający w pieluchy sztandarów, odnieśli dziecko chwały do grobu.

Dziwnym trafem pochod ten żałobny zatrzymał się w Silitza, i Grecy złożyli Marka Botzaris w tej samej kapliczce, gdzie się modlił odchodząc kilka dni temu. W pobliżu Missolonghi spotkali tłumy ludzi, co się zbiegły z całego Peloponezu. Wszędzie kędy przechodzili, lud rzucał się na kolana, śpiewając patetyczne Myryologi*). Wieść o tem rozeszła się w ojczyźnie jak grom. Dawid D'Angers jedną z najpiękniejszych rzeźb swoich, dziewięć piszącą imię Grecji na piasku, poświęcił na grób bohatera; bo któż nad niego do odrodzenia ojczyzny się przyczynił? W historii Grecji zajmuje on to miejsce, które Fotos Tsawellas zajmuje w jej legendzie. Nie dla tego, by i Botzaris nie miał swych poetów, życie przygody, czyny jego są najpopularniejszemi, ale te powieści o walkach, elegje o biednej Chryzeis całe życie kochanej i kochającej a oderwanej na zawsze od męża, którego wreszcie, co dzień go tracąc, przeżyć jej przyszło, pieśni, hymny żałobne i wzory budowane z jego życia dla młodszymi pokoleń, nie mają już tego kolorytu legendowego, są czemś historycznie ujętem, tak jakby narysowała tę postać historia, a pomalowała ten rysunek — poezja. Chwila wreszcie, w której poległ Botzaris, była przesileniem walki o niepodległość, ztąd tak zapelniona, tak zajęta prozą codziennych trosk o byt lub niebyt, że później dopiero obejrzano się za tą postacią, której życie było taką ciągłą z siebie ofiarą, że śmierć niejako staje się wyzwoleniem, choć boleśnym z powodu, że nie ujrzał wolności tej, za którą zginął. Jeden z poetów, którego śpiewy w lud wsiąkły, jak woda w ziemię, tak śpiewa bitwę pod Karpenitzi i te słowa daje konającemu: „Kosto, mój

*) Myryologi są improwizacją na cześć zmarłego, wyrażaną słowem i śpiewem. Ich zwyczaj sięga najodleglejszych czasów. Skoro skona umarły, bliźcy mu dom opuszczają, poczem wracają ubrani biało, z włosy rozpuszczonymi, i w improwizacjach, które nieraz zwiastują wielkich poetów uczucia, których nikt znać nie będzie, żal swój wyrażają. Niektórzy najboleśniejsi szepcą mu swe skargi do ucha. Gdy msza nastaje, uciszają się. Potem trwa ten wybuch żalu z klasycznym spokojem wypowiedany, aż dokąd trumna, którą otwartą noszą, w ziemię nie zapadnie.

(Przyp. aut.)

W pewnym domu gościnnym jednego z byłych ministrów greckich, nocowałem w podróży po Grecji w Sparcie. Widziałem tam w całej pełni to, co Francuzi zwą le culte des morts. Już drugi rok upływał, jak pan domu owdowiał — on, córka i zięć w grubej żałobie, ściany i wszystkie meble, firanki z czarnego kiru, nadawały temu cechę przeżalającą.

(Przyp. tłum.)

armat, które aby się w ręce nieprzyjacielskie nie dostały, potopić kazalem. O bataljonie Królikowskiego nie mam dotąd dokładnej wiadomości. Jest nadzieja, iż ten armaty pod komendą swoją ocalił.

“Dan w Konstantynowie d. 19. września 1794 roku. Sierakowski jeneral-major“.

Suworow wróciwszy do Brześcia, napisał swoim zwyczajem jeszcze lakoniczniejszy raport do feldmarszałka Rumiańcowa, pod którego rozkazami zostawał:

„Zwycięzkie wojsko najjaśniejszej imperatorowej odplaciło nieprzyjacielowi jego zuchwałość i nie dawało pardonu, w skutek czego strata nasza jest znaczną, choć nie tak wielką. Pobojowisko na półtory mili zasłane trupami. Jesteśmy bardzo zmęczeni“.

Kościuszko nim przyszło do rozprawy pod Brześciem, ciągle niepokojony raportami Sierakowskiego o następującym nań od strony Wołynia silnym nieprzyjacielu, postanowił osobiście wpaść do Brześcia i do Grodna, aby przekonać się o stanie rzeczy i dodać ducha. Był on w tych trudnych chwilach walących się nań niebezpieczeństw, jak powiada Niemcewicz, podobny do węża, który przyciśnięty nogą wędrowca, jeszcze się na wszystkie strony wiję i tłoczając go nogę ranić usiłuje. Zdawszy tedy komendę Zajączkowi, ruszył naczelnik z adiutantem swoim Niemcewiczem z obozu pod Mokotowem, pędząc pocztowymi końmi. W Siedlcach zatrzymali się krótko u hetmanowej Ogińskiej, gdzie Kościuszkę doszedł raport Sierakowskiego o Krupczycach i Brześciu. (C. d. n.)

BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMENIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Część trzecia.

Admirał Miaulis.

(Panu Aisoppios i Jerzemu Filimon ten życiorys po polsku życzliwie poświęcił tłumacz.)

I.

Ku końcowi kwietnia 1854 opuszczałem o zmroku port Skala Salona*) małym statkiem Hydrjockim, imienia Miaulis, z kapitanem Leftéris. Zamierzam było opłynąć Peloponez i zwiedzić główne wyspy Archipelagu. Kapitan z moim przewodnikiem, którego w takich razach godzi się na całą podróż, z powodu moich częstych

*) Naprzeciw Koryntu, w przylądku Krissa, o parę godzin od Delfów wobec Wosticy starożytnego Egium. (Przyp. autora.)

lądowną w punktach interesujących, wszczęli między sobą kłótnię, która nie mniej jak pięć godzin potrwała, rozszedłszy się i znów spotkawszy ze dwadzieścia razy, krzyżąc i warcząc z największą furją o rzeczach najnaturalniejszych w takiej okoliczności. Z daleka przyglądałem się tym szermom kogucim, pewny, że w końcu pójdą w czuby. Nie wiedziałem jednak, że ci ludzie, podobni do natury morza, najbliżsi są zgody, gdy kłótnia dochodzi do rozmiaru, któremu tylko braknie zabijania się. Wreszcie z podziwem moim kapitan zrobiwszy gest gwałtowny, okazujący memu Dymirakiemu, że go rzuci w morze, raptorem zwrócił się ku mnie siedzącemu obojętnie, i obyczajem swojskim przykładając rękę do czoła i do serca, zwiastował, że był kontent, że on i okręt cały na przeciąg mej podróży są na moje usługi. Nieznacznie oddalaliśmy się od lądu o zachodzie słońca, popychani wiewem prawie nieznanym. Leftéris, zapewne by mnie ufetować, wdział najwspanialszy ze swych strojów. Błyszczał medalem rządu, danym marynarzom zasłużonym w walce o niepodległość, i uzbrojony był od stóp do głów, jak na oblawę Bisurmana. Twarz jego wyrazista acz regularna, ogorzała od wichrów, brązowa od słońca, powiewała miotlastym wąsem siwym, który mógł współzawodniczyć z wąsami słynnego Kyriakuli*). Na widok tego człeka o chmurnej twarzy, wybitnym stroju, który z jedną ręką na maszcie, a drugą na pałaszu opartą, poglądając na morze, czasem wzrok rozstargniony rzucił w moją stronę, mogłem się sądzić w szponach którego z korsarzy Jońskich, po których tyle romansowych podań zapchało całe tomy względnej wartości utworów. Ale znalazłem za dobrze zacność i dobroduszość tych ludzi, pod szorstką łupiną ukrytą, bym się go dłużej miał obawiać. Na noc zszedłem do ciasnej kabiny, wskazanej przez kapitana. Zaledwie usnąłem, gwałtowne wstrząśnienie mnie zbudziło. W parę minut poczułem, że jesteśmy w zapasach z jedną z tych strasznych burz, co tak raptownie powstają u wybrzeży Lepantu. Równocześnie małe pachole, jedyny nasz posługacz, zapaliło lampkę przed Madonną, której dotąd nie dostrzegłem w ciemności. Później wybiegł chłopczyzna, gwizdząc w sposób najobjętniejszy. Przy blasku lampy dostrzegłem bohomaż Panagij, wzorem starych ikonów malowany, umieszczony między obrazem św. Mikołaja, patrona żeglarzy, a obrazem dziwnej osoby, ni z pierza ni z mięsa, wyobrażającej człowieka po pas w wodzie, ubranego z albańska, ze sztandarem Grecji w jednym a olbrzymim okrętem, dzierzonym w powietrzu, w drugim rękę, podobnie jak Karol Wielki, dzierzący berło i globus. Nad tą malaturą był napis: „Restauratorowi naszej floty“. Poznałem, że tą syreną nie kto inny miał być, jak Miaulis, o którego poważnej popularności co krok świadczyły podobne znaki. W tej chwili wpadł mój przewodnik zdyszany, blady, cały zmoczony, w przerażeniu, i rzucając się na kolana przed ikonem, odmówił tę szczególną modlitwę: „Zbaw nas! wybaw nas, Matko Boża, bo jeżeli zginie, i ty zginiesz z nami (!!!)“. „Poczem zaklinał mnie bym zlecił kapitanowi zawinąć do portu Galaxidis, od którego byliśmy blisko. Szybko wbiegłem na pomost, znalazłem Leftérisa, który o nodze

*) Wąs marynarza, który poszedł w przysłowie, miał być taki, że go można było owinąć do kola głowy. (Przyp. autora.)

wprzód wystawionej, muskulach wyprężonych, z włosy rozwianymi, stał obejmując czągiel silnemi ramionami, zresztą spokojny jak posąg. Drugi przy nim patrzył w busole. Wobec tej zimnej krwi, daleki byłem od ponowienia prośby mego Cicerona.)*

Wróciłem do kabiny, wzruszony ich meztwem, postanowiwszy tu studjować na miejscu dzieje tych dzielnych sterników, których Leftéris godnie przedstawiał w tej godzinie, a których przewodnikiem był admirał Miaulis, godny współzawodniczenia z współzawodnikami w chwale Tsawella i Botzarisa, z którymi stanowi harmonijną trylogię.

Trzy małe wyspy: Hydra, Spezia, Psara, same od roku 1821—1827 wytrzymały ataki flot otomańskich. Każda z nich ma swego bohatera: Psara Canarisa, Spezia Boboline, dzielną niewiastę, Hydra zaś admirała Miaulisa Vokos. (Rodzina ta nosiła imię Wokos, dopiero po odznaczeniu się admirała na statku zwanym Miaul, otrzymał ten przydomek.)

Rozwój marynarki greckiej i pomyślny wzrost wysep poczyną się w końcu XVIII wieku. Podczas rewolucyjnej i wojen następnych, podczas chorób r. 1816, okręty tych wysep Archipelagu, małe, masztowe tylko, były jedynymi, jakie przez lat prawie czterdzieści dowoziły Francji zboże splawiane od Czarnego morza, od wybrzeży azjatyckich i helleńskich.

Zachęceni temi drobnymi powodzeniami właściciele tych statków, po większej części Hydrjoci, zwiększyli ich liczbę i kaliber, równie lekki jak kształtny. Często napastowani przez okręta mocarstw wojujących, a zwłaszcza przez piratów Algieru i Tunisu, śmiali ci żeglarze musieli się wzajemnie uzbroić, tak, że ich wycieczki równie niebezpieczne jak korzystne, dały im sposobność zdobycia za jedną razą fortuny, doświadczeń wojennych i trudnej umiejętności żeglugi. Gdy Hydra rozwinęła sztandar rewolucyjny, który pierwsza podniosła sąsiadka jej Spezia, cała ta marynarka, uczennica doświadczenia, z handlowej poczwarki mogła się przemienić w gotową wojenną flotę. Hydrjoci raz oddani tej sprawie, złożyli mnogie poświęcenia dowody, a nadewszystko dali dowód zaparcia osobistego, oni bowiem wyłącznie nie mieli do znoszenia żadnej z tych uciążliwości od Turków, które tak się dały we znaki prowincjom na stałym lądzie. Używali zupełnej swobody i bezpieczeństwa, jedynie mały haracz mieli do

*) Taką burzę przebyłem między Wosticą a Lepantem. Była jednak burzą tryumfu, po dokonanej szczęśliwie, z niemałymi trudnościami pielgrzymce po Peloponezie. Z Megaspiljonu, ostatnią stacją był mały młynek pod Wosticą, pełen wody, tak, że w niej stał tapczan, na którym spałem; w młynie prócz tego spał baran, który mnie zmokłego po deszczu ogrzewał, dwa woły po kolana w wodzie, i młody młynarz ze swą małą córeczką. Agojata mój (karakaczani) z końmi dla dostania obroku musiał pojechać na noc do bliższego monasteru. Tam więc zostałem. Nazajutrz dojechałszy do Wosticy i według wyrachowania mego wypłynąłem z burzą ku Lepantowi. Calej burzy w południe prześlicznie przyświecało słońce, a łamiące się promienie o gęste obłoki i skały a warownie Lepantu, całość obrazu o rozhułkanym majestacie powlokły jakimś szmaragdowym kolorytem, którego więcej na morzu nie widziałem. Nazajutrz byłam w Patras, skąd odpłynąłem do Korfu i Neapola. (Przyp. tłumacza.)

placenia i garstkę majtków musieli dostarczać Stambulowi. Pod tym wpływem swobody rozwinęła się Hydra. Rząd jej, mający formę arystokratyczną, składał się z prymatów obieralnych z najprzedniejszych obywateli, z imion takich, jak Konduriotis, Tombazis i Miaulis, którzy od niepamiętnych czasów godności te sprawowali. Rada ta stanowiła o wszystkim, a w razach wojennych sama radziła się co do sposobu żeglugi prostych majtków, posiwiących na tej twardej usłudze. Prymatów nazywano także wykokyres, to jest posiadaczami (patrz Trikupi, hist. grecka). Posiadali oni w istocie te wszystkie statki i powierzeni im kapitanom, którzy mieli znaczny procent od swej pracy. Był to związek najściślejszy między rządem a ludem, który przyczynił się mocno do obopólnego ich wzrostu. Raz rozpoczynając wojnę z Turcją, naraziwszy się zupełnie, postanowili dać nietylko okręta, ale wszystko co mają i czem są dla poparcia sprawy i zarzucenia nienasyconej paszczy kosztów wojennych. Po zamknięciu rady, na której stanowczo uchwalono wyprawę, Lazaro Konduriotis tak mówił do ludu: „Szczęśliwym, że sprawie niepodległości mego kraju mogę dziś złożyć bogactwa, które zebrałem w przeciągu lat trzydziestu. Hydrjoci, koledzy moi, dziś wszyscy dzielą postanowienie moje, gdyby się jednak cofnęli, bądźcie spokojni, ja sam mam dość, by wystarczyć na koszt wyprawienia floty“. Konduriotis słynął z wielkiego bogactwa. Lazaro dotrzymał słowa i główną część swoich skarbów użył na wyekwipowanie floty narodowej. Wszyscy Hydrjoci postąpili tak samo, i Hydra stała się hydrą dla wroga — sama zaś wyszła z tej ekspedycji wolna, okryta chwałą, a finansowo zrujnowana.

Dnia 16. kwietnia 1821 wyspy ogłosiły wspólny manifest, mocą którego orzekły, że postanowiły razem z innymi ziomkami zrzucić jarzmo tureckie. Flota helleńska składała się z siedmudziesięciu sześciu okrętów, z których dwadzieścia osiem było Hydrjockich; główny z nich był okręt o 18 działach, któremu przewodniczył Miaulis *). Każda z wysp miała swego admirała, ale Hydra miała dowództwo naczelne, flota jej była najwspanialsza i najliczniejsza.

Miejsca Hydra, jak garścią olbrzymią rzucona, leży na spiczastym czubie skał granitowych, przedzielona na dwie części otchłanią z rozpadliny skał powstałą, tak nad błękitami mórza zawieszona. Domy jej amfiteatralnie leżące, chwytają za oczy swą śnieżną białością, odbitą od błękitów nieba. Dziś, po odzyskaniu niepodległości, Hydra straciła wiele z swej ruchliwości, bo handel przeważnie z głównym ruchem skupił się na wyspie Syra. Kilka wspaniałych mieszkań dawnych rodzin przypominały mi jej świetne czasy. Przeszedłem mimo domu Miaulisa, świetnego przybytku, który dziś jeszcze do jego syna należy. Uliczki wąskie i strome wiodły murem przez place malownicze, ozdobne w marmurowe fontanny aż do szczytu skały, z kądem ujrzałem całość wyspy, dziką, spaloną, bez cienia i zieleności i tak skalistą bez ziemi, że zaledwo jest kącik do chowania zmarłych**).

*) Wtedy to Grecy wynaleźli te małe łódki, zwane Brulofs palne, które stały się takim postrachem Turków i którymi unieśmiertelnili się Canaris bohaterki.

(Przyp. autora.)

** Widziałem wracając z Palmyry, pod Damaszkiem w Antilibanie kąć jeszcze skalistszy,

Dziwna ta wyspa skalista, spalona słońcem, schłostana wichrami, wydaje rasę prześlizgniętych ludzi. Hydrjoci słynni są z gibkości i rzeźbiarskiej piękności rysów (*sculpturale beauté*), a twarze mają surowość, odpowiednią surowości ich obyczajów, która poszła w przysłowie. Szorstkość ich charakteru nieraz stała się srogością — podobni z tej strony skalistym ptakom, tych wiszarów wychowankom, którzy jeźli wśród wojny doznali okrucieństwa tureckiego, oddali je pewnie z procentem. Miaulis miał wady i przymioty swych ziomków. Jednak umiał nad sobą panować i z czasem pewną słodycz charakteru w sobie wyrobił. Często oburzał się na okrucieństwa majtków. Mówią, że jeden z nich, ściągając dwóch jeńców, z ich głowami w rękę tryumfująco stanął wobec wodza. Wódz za tę radość wygnął go na zawsze ze swego statku. Twarz Miaulisa, pisał pewien marynarz angielski, będący w służbie, ma wyraz życzliwy i rozumny. Obcowania łatwego i przyjacielskiego, wyższy nad wszelkie zwykłe forfanterje ludzi, co się czują komendantami; cały oddany sprawie, głuchy na głosy nieprzyjaciół i pochlebców. (*Tableau de la Grece 1825 ou recit des voyages de J. Emerson et du Comte Specchio*, str. 140.)

Andrzej Miaulis urodził się na Hydrze 1760 i już w szóstym roku swego życia pływał statkami swego rodzica. Odznaczał się z razu gwałtownością, siłą woli i niezawisłością charakteru. W 16 roku życia, gdy brat starszy zasłabł, oddano mu komendę małego statku. Wywiązał się jak najlepiej z zadania, dopłynął do celu i wróciwszy, naiwnie oznajmił żal z powodu wyzdrowienia brata, pod którego komendę wrócić musiał. Mijając Smyrnę wylądował, odesłał okręt, sam kupił nowy nie wielki, by móżdż nim komenderować. W strachu przed ojcem, udał się na przestrzenie morza, szukając szczęścia w przygodach. Wkrótce ujrzał, że doświadczenie mu nie dopisało, nabył okręt stary, ciężki i źle spojony. Do tego raz został napadniętym przez korsarzy maltańskich około Nawarinu.

Opuszczony od załogi, która przemocą wylądowała, sam został na statku, postanowiwszy raczej dać się zabić, jak go opuścić. Maltańczycy myśląc, że to jakiś podstęp, okręt z załogą jednego człowieka, przypuścili doń rżęsiasty ogień. Andrzej Miaulis, kilkakrotnie raniony, schwytyany i na śmierć osądzony został. Przedstawił im jednak zimno a racjonalnie, że śmierć jego na nic im się nie zda, a mogą wziąć znaczny okup w blizkiej wiosce Peloponezu, gdzie posiada kilku przyjaciół. Przekonał korsarzy, wypuścili go na ląd i sześciu strzegło go na odległość oka.

Oslabiony postrzałami, musiał spocząć w blizkiej wiosce nad morzem. W parę dni towarzysze spieszenie go opuścili dla obrony własnego okrętu, któremu zagrozili Grecy. Tak Miaulis odzyskał swój okręt, przebudował go i podjął parę małych wycieczek kupieckich, prawie zawsze szczęśliwym uwieńczonego skutkiem.

W miesiącu marcu 1822 Andrzej Miaulis mianowany został nawarkiem (*navarque*) czyli admirałem. Miał wtedy lat szesćdziesiąt niezupełnie,

wioskę sławną z dzikiego położenia, zwaną Malula. Tam, nie wierzyłem oczom moim, wszystkie groby cementarza, na skale rzuconego, były kute w kamieniu, a tylko ziemią przysypane. Malula, i obok wioska Mnin, to najpiękniejsza droga, jaką w życiu odbyłem.

(Przyp. tłum.)

ale potęga jego natury przedziwnie tryumfowała nad latami i trudem żeglugi morskiej, który znać trzeba, by go ocenić. Natychmiast zajął stanowisko otwarcie nieprzyjacielskie wobec Turków. Dotąd mieszkańcy wysp walczyli podobnie jak Klefci i górale. Każdy, kto mógł się na jakiś statek zdobyć i zebrać małą załogę, był dowódcą, dobierał sobie kilku mniejszych kapitanów i płynął na oblężenie statków tureckich. Raz na falach morskich, puszczali się na wszystko, podjeżdżali największe okręty, dla ciężaru często na nieruchomość skazane, często nocne robili zasadzki, raptem znikali, mając lekkie statki, wysmienite do wycieczek tego rodzaju. Czatowali w zasadzkach, wypadali, godzili na statek samotny i znów znikali; czasem zapędzali się aż pod Dardanele i pustoszyli wybrzeża Azji. Te wycieczki prowadzone bez wytkniętego planu, nie mogły też przynieść stanowczego skutku, a demoralizując ludność równaną przeto z korsarzami, drażniąc przemoc turecką, raczej szkodliwe były jak pomocna. Miaulis pierwszy wprowadził ład, odpór i pewną skuteczną strategję w działaniu. To też kiedy wojska lądowe pod Botzarisem zorganizowane, poczęły stawać się armią porządną, okręta wyspiarskie stawały się eskadrami linjowymi, podciągniętymi pod pewną dyscyplinę wojenną przez nowego admirała. Miaulis na wstępie odznaczył się czynem wojennym, który mu (1822) zjednał powszechne uznanie. Zamierzając jego było obsadzić flotę ottomańską w porcie Patras stojącą, i zniszczyć ją. Wiatr jednak przeciwny nie dał wszystkim się zbliżyć, tylko jego brik wojenny Mars, i dwa inne Manoli Tombazisa i Kriesisa zbliżyły się naprzeciw wroga. Miaulis rzucił się między dwie fregaty z śmiałością nadzwyczajną, własna załoga chciała go zmusić do cofnięcia, admirał zabronił; powstał bunt i kilku majtków odważyło się rzucić na jego osobę. Ten, siedząc zwykle u steru spokojnie, z nogami z turecka pod siebie podłożonymi, wstał najspokojniej, wziął karabin, grożąc śmiercią pierwszemu, co nań rękę podniesie. Majtkowie cofnęli się. Mars dał ognia całą baterją, wytrzymał ogień nieprzyjacielski i odpowiedział drugą salwą tak silną, że jedna z fregat tureckich zatonała. Po takiej walce pięciogodzinnej, trzy statki greckie, nie mogąc wtargnąć do portu Patras, oddaliły się, poszukując reszty swych towarzyszy. Turcy wystraszeni, w nocy odplynęli na wyspę Zante.

W parę tygodni rozeszła się wieść o rzezi w Chios, najpiękniejszej, najbardziej kwitnącej z wysp greckich. Porwana przykładem Psary, namiętna przez niesumienne emisariuszy, wyspa Chios (Szio) nie obrachowawszy się z siłami, uległa zapalowi ku rzeczom świętym i zerwała się do boju przedwcześnie. Siły nie zrównały zapalowi. Niebawem Szio stała się pustynią krwią zbroczoną i gruzów pełną, na 115.000 mieszkańców wyrznięli Turcy 23.000, a 47.000 zabrali w niewolę do Stambulu lub sprzedali jako niewolników; reszta uszła na brzegi Azji, na wyspę Psarę i inne. Flota Hydry nie pospieszyła na czas z pomocą wyspie Szio. Klótnie wynikłe w przeszłej kampanji, rozjątrzenie, spowodowały, że główna załoga na ląd uciekła i wróciła do domów. Mimo nadludzkiego usiłowań, Miaulis przed majem nie zdołał na morze wypłynąć; 2 maja był pod Psarą. W dzień potem był u wyspy Szio. (C. d. u.)

nich sześć palnych (burloty). Po kilku utarczkach bezowocnych, Kapudan pasza Kara Ali, zamknął się w porcie. Miaulis wrócił do Psara na wieść, że nowa eskadra płynie od Dardanelów. Admirał zobrawszy radę, wniósł, by niespodzianym atakiem zniszczyć flotę, nim jej przybędą posiłki. W tej chwili wystąpił jeden z załogi i rzekł: „Dajcie mi dwa burloty*), a wszystko biorę na siebie“. Ta propozycja zdziwiła zebranych. Ten, co ją uczynił, był młodzieńcem od 28—30 lat, ubogo ubrany, nieznanego imienia, a słynny tylko z surowego prowadzenia się, wesołego usposobienia i wielkiej łagodności w obcowaniu.

Było to imię, mające zostać tak sławnem: Konstanty Canaris. Widząc zdumienie, które wywołał, rzekł: „Blagam was o dwa burloty, a przysięgam na duszę moją ($\mu'α τής ψυχής μου!$) że zemsta będzie zupełną za te tysiące naszych braci, zgładzonych na Scio“. Miaulis, jakby przeżuł tego człowieka, sam nie mając świadomości tego co czyni, podał mu rękę i rzekł: „Skóńczone! Idź porób twe przygotowania, i niech cię Bóg wspomaga.“ Nazajutrz Canaris i Pepinos (ostatni z Hydry) żeglowali ku Scio. Cała ludność Psary wyległa patrzeć za nimi z błogosławieństwem, i znikli w złotych falach podobni dwóm potworom morskim, powiada Aleksander Sutzos. ($\Piρουρομαχος Ελλας.$) Tłum wtedy udał się do kościoła św. Mikołaja i pełen obawy przed nowym nieszczęściem modlił się gorąco.

Wkrótce po północy, głuchy grzmot dał się słyszeć, jakby trzęsienie ziemi w swych posiadach, i luna purpurowa rozpostarła się na całym horyzoncie nad Szio. Zemsta obiecana przez Canarisa spełniła się.

Dwa burloty, których załoga z 34 ludzi złożona, całe pół dnia myszkowały między Szio a brzegiem Azji, gdy łódź turecka odpłynęła, by zbadać kto są, wystawili flagę turecką, udawszy, że chcą się dostać do Smyrny, mimo wicherów szalonych i przeciwnych. Ku wieczorowi, żeglując z wszystkich sił, niepostrzeżeni dopłynęli do portu Szio przed północą.

Cała flota zarzuciła kotwice i oddała się świętu Ramazanu. Po surowych postach, oddali się orgiom szalonym, co zwykle po tem wielkiem nabożeństwie następują. Okrety były całe wspaniale iluminowane. Okręt Kapudana paszy cały w festonach lamp kolorowych. Ruch był szalony; wołanie fanatyczne Derwiszów mieszało się ze śpiewami majtków. Zapomniano o sąsiedztwie floty greckiej, uważano ją za niebyłą. Bohaterskie burloty Canarisa, który szedł na śmierć prawie niechybną, wśliznęły się cichaczem w sam środek dwóch linii nieprzyjacielskich okrętów; Canaris wstrzymał się aż przy okręcie admirała. Upowity w własne cienie okrętów tureckich, spuścił w łódkę swych ludzi z szybkością niezmierną. Sam zaś zostawszy, przymocował burlot (statek własny) do przodu okrętu admirała — zapalił go — i z okrętu skoczył w morze, dosięgnawszy płynąc łodzi swych towarzyszy. W parę minut olbrzymi okręt stanął w płomieniach, zażegnanych silnym wiatrem. Prochownie i kartaczownice wkrótce zapalone, buchnęły, wysadzając wszystko z grzmotem podobnym do kończącego się świata, którego echo wstrząsało aż brzegami wyspy Psary. Kilka tysięcy ludzi wyleciało w powietrze. Rzeź braci

pomszczona. Łódkę, w którą rzucił się pierwszy Kapudan pasza, pochłonęły spiętrzone fale — złowiono go u brzegu prawie bez duszy, którą też w parę chwil wyzionął Kara-Ali. Tymczasem Pepinos przymocował swój burlot do fregaty, w której był adjutant i namiestnik paszy, Rialabej. Ten spłoszony rozkazał wyjąć kotwice, niebaczny na skutki. Fregata jego poczęła hulać po zburzonej fali i tak ogień, który w niej szalenie powstawał, rozniecać po całej flocie — pięć, czy sześć okrętów się razem zapaliło. Noc Neronowska! Nigdy podobnej klęski nie doznali Turcy*). Łodzie i burloty wyszły całe z tej przeprawy i ludzie cudem ocaleni, całą siłą płynęli ku Psara.

Canaris siedział na beczce prochu z zapaloną pochodnią, postanowiwszy w razie pogoni w powietrze się wysadzić. O świcie ujrzał Psarę, i miotał flagą czerwoną na wichry, by dać znak zwycięstwa. Przyjęty na piersi admirała Miaulis, Canaris został tym bohaterem narodowym, przedmiotem czci ogólnej, i urządzono na cześć jego jedną z tych uroczystości wielkich, podobnych igrzyskom starożytnym, w której wzięło udział wszystko co żyło. Ofiarowano mu wieniec obywatelski, który przyjął, rumieniąc się, bo już powrócił do zwykłej swojej prostoty i skromności**).

Poczem metropolita wyspy z księżami przyszedł z krzyżem i chorągwiemi. Na ten widok Canaris się pochylał, zdjął obuwie i boso z procesją wrócił do kościoła. Tam z całą prostotą zapalił dwie świeczki na cześć św. Mikołaja, patrona żeglarzy, wysunął się z tłumu, co śpiewał hymny na jego intencje, i pospieszył pod dach domowy ucieszyć się z rodziną. Pożar floty tureckiej stał się przedmiotem mnóstwa gminnych podań i improwizacji. Jedna z nich opiewa: „Co robią nasi wodzowie? — obradują, by w dzień iść na Turczynę; co robi nowy Temistokles dni naszych? — spalił okręty ich — Canaris zdobył zwycięstwo. Bóg tak chciał, by narody wiedziały, że jest z nimi, sługi swymi prawowiernymi.“

Grecy w istocie są narodem głęboko religijnym, i mam przeświadczenie, że w walce o niepodległość idea walki z Islamem o prawdę chrześcijańską

*) Chyba pod Wiedniem? (Przyp. tłum.)

**) Takim miał szczęście tłumacz tej książki poznać go osobiście, już sędziwego, w przeszłym roku, mile i łaskawiej przez niego przyjęty; uniósł z tamtąd niezatarte wspomnienie bohatera, przyjaciela Polaków i wielbiciela Polski. (Przyp. tłum.)

Canaris ubogim był i pozostał prawie do końca. Synowie jego dopiero stali się majątnymi i przez nich pewien dobrobyt spłynął na ojca. Po upadku Psary, Grecja ofiarowała mu znaczną sumę i dom — odrzucił oboje, a prosił o nowe burlotto, dnia zaś tego, powiada podróżnik Emerson, nie miał Canaris czem zapłacić filiżanki kawy. Tenże Emerson zdumiony był prostotą, jaką zastał, odwiedzając bohatera. Dwie szable na nagich ścianach. On sam stał u okna, patrząc zamyślony na morze. Piękna żona, siedząc na ziemi, bawiła się z dwojgiem dzieci, karmiąc sama trzecie. Gdy wszedł, jedno z dzieci podało mu różę, drugie czibuk, żona zaś kawę i konfitury. Gdy Emerson podziwiał, jakiego ma męża, odrzekła mu piękna Greczynka: „Czyż pau myśli, żebym inaczej za niego była poszła?“ Tę samą już sędziwą widzieliśmy także przy łożu męża. Jedno z tych dzieci jest ministrem, drugie podobno admirałem. Z licznych poetów Wiktor Hugo śpiewał czyny Canarisa.

(Przyp. autora.)

wiele zaważyła. Mają do tego mnóstwo tradycji i prognostyków, które sięgają jeszcze starożytnych czasów. Zwłaszcza morscy żeglarze bywają w ciągłych stycznościach z siłami nadnaturalnymi; dadzą się zabić za to, że fale morza zaludnione są kolumnami duchów złych i dobrych ($\epsilon\rho\chi\epsilon\iota\alpha$), często w nocy przywidują im się Nereidy, rozpuszczające warkocze zielonowłose po smugach fal, by zwabić żeglarza. Mają ku temu osobne zaklęcia i egzorcyzmy.

W parę miesięcy po katastrofie w Szio, nowa flota turecka, zemstą palająca, zbliżyła się od Dardanelów, chcąc zniszczyć Spezję, której upadek byłby za sobą pociągnął ruinę Hydry. Pragnęli też Turcy wzmocnić Nauplię, zagrożoną bliskością Peloponezu. Dnia 19. września spostrzeżono ze Spezji trzy okręta linjowe, siedemnaście fregat, ośmdziesiąt brików czyli korwet. Nowy kapitan Abduallah dowodził tym wysiłkiem potęgi tureckiej i sądził, że w pierwszym spotkaniu wszystko zgniecie. Na szczęście Miaulis miał pięćdziesiąt statków żaglowych na jego przyjecie. Podzielił je na dwie eskadry. Jedną mającą komendę czynną, obwarowała wejście od portu w Argos, druga poszła naprzeciw wroga, chcąc manewrem swym zwabić go w cieśninę, dzielącą Hydre od lądu. W istocie, pasza widząc, że te drobne statki mignęły i znikły przed nim, pełen ufności pognał ku Nauplii. Miaulis pięćdziesiąt swych okrętów szybko wysłał ku południowemu krańcowi Spezji, by oczekiwały Muzułmanów. Sam zaś na swym „Marsie“ pozostał z dwoma burlottami, by pilnować ich śladu. Gdy wpłynęli w cieśninę Spezji, admirał pomiędzy nich z całą szybkością wśliznął dwa burloty, z których jeden prowadził dzielny Kriesis, a drugi Anargyros Lébézis, zwany Achillesem. Dwaj ci ludzie potrafiliby w mgnieniu oka greckim ogniem zapalić dwa okręty, zskoczyli do swych łódek i znikli wśród wstającego dymu i płomieni. Miaulis wedle słów gminnej pieśni „spadł na nich orłem, który pędzi w pomoc swym dzieciom“. Dał ognia z obu baterji na raz, kiedy odległy huk dział dał mu znać, że eskadra jego napadła przód floty tureckiej. Abdallah oszołomiony podwójnym napadem, przerażony powstającym pożarem, stracił przytomność, cofnął się i umknął. Pomnąc jednak na „sznurek jedwabny“, co nań czekał w Stambule, wrócił i pojawił się nazajutrz w tem samym miejscu. Tak doba minęła. Miaulis korzystając z ich nieczynności, dał kilka razy ognia, by ich zmusić do walki lub cofnięcia.

W tymże czasie gwałtowna burza poczęła się zbliżać, piorun uderzył w okręt paszy. Ten przerażony temi oznakami, cofnął się drugi raz i odpłynął ku Mitylenae, wołąc podejść lub zmieknąć sultana, niż spłonąć ogniem greckim. Dzielność więc admirała zbawiła Pelopenez i zmusiła w skutku tego Nauplię, liczną jej zbrojną załogę do złożenia broni.

Minęły lata, i w podróży mej słyszałem, jak pasterz ubogi w cieniu cyklopejskich murów Tyruntu śpiewał głosem monotonnym ten czyn Miaulisa.

Admirał jednego dnia nie spoczął, ścigał Turczynę, który kilkakrotnie usiłował rozpuścić swe wojsko w okolice Morei. Miał z sobą admirał w tej wyprawie p. Tsammados, przyjaciela od serca, towarzyszyli mu także Sachturis, Kriesis, Pepinos, Orlando i Kosto Canaris, którego imię już urosło i rosło jeszcze z dniem każdym. Miaulis głównie przejął się sposobem Canarisa, rzu-

*) W Grecji wyraz Burlotto jest utarty, również we Włoszech — więc go adoptujemy w tym przekładzie.

(Przyp. tłum.)

cać burlotty i niemi siał panikę w flocie nieprzyjacielskiej. Młodzi żeglarze stali się w tem wirtuozami, czemu oczywiście towarzyszyć musiała osobista śmiałość na wszystko gotowa. Korzystając z demoralizacji wroga, porozdzielali z pomocą wodnej partyzantki jego eskadry, i tak godził na nie pojedynczo, rzadko kiedy bez powodzenia.

Szybkie i odważne manewry mniej licznych Greków, prawie zawsze krzyżowały plany strategiczne poważnej floty. W końcu opanowało zabobnych Turków mniemanie, że burlotty są czarem wyższej potęgi. Wtedy to wypłynął okręt z Dardanellów, o podwójnym pokładzie, zwany Burlot-Kormas, tj. niebojący się burlottów. Boki jego obite stalową blachą, zdaly się uragać ognio- wi. Okręt ten w pierwszej kampanji spalony został w Samos przez Canarisa. (C. d. n.)

PARA SABOTEK.

Powieść przez Ouidę.

(Ciąg dalszy.)

W szesnastym roku Lili, jakeśmy powiedzieli, była jedną z najpiękniejszych dziewcząt w okolicy. Jasne włosy okrywały obficie białe jej ramiona, a oczy pełne niewinności i odwagi ukrywały pod wesołym uśmiechem marzenia, sięgające po za zielone lasy Lacken, a nawet po za białe obłoki.

Rozmyślając o dniu swych urodzin, usiadła Lili na progu swej chatki. Po deszczu, który padał w nocy, kwiaty wydawały woń przyjemniejszą niż wyszukane zapachy w pałacach. Ogólne jeszcze milczenie przerwał krzyk szpaka:

— Lili! Lili! dzień dobry!

Były to jedyne wyrazy, jakie umiał powiedzieć; powtarzał je też ciągle, ale dziś wydawało się Lili, że umyślnie je wymówił, aby jej zrobić przyjemność. Dzieląc z nim swoje śniadanie, rozmyślała uśmiechając się:

— Jak to przyjemnie żyć, kiedy się jest młodą!

To samo powtarzają i starcy, ale z westchnieniem za ubiegłą przeszłością.

Sąsiadki zaczęły ukazywać się na progach swych chatek, wieszając Lili z daleka. Dzieci Wannharta, bardzo biednego węglarza, przybiegły do Lili, przynosząc jej placek, który ich matka na uczczenie jej imienia dla niej upiekła. Najstarsza kobieta z Lacken, matka Bichot, z trudnością o kulach zbliżyła się do Lili, mówiąc:

— Nie mogę ci nie ofiarować, tylko błogosławieństwo moje, jeżeli zechcesz.

Lili odbiegła dzieci, aby uklęknąć przed błogosławiającą ją staruszką.

Katarzyna Krebs, bogata młynarka, włożyła do fartuszka Lili najpierwsze wisnie, nie skosztowawszy ich jeszcze w tym roku. Nakoniec stary Jan ją zawołał; był to najlepszy przyjaciel Antoniego, opiekuna Lili

— Pójdź malenka do mnie, mam i ja coś dla ciebie.

Potem nie zwracając uwagi na obecność Lili, mówił dalej do siebie:

— Należały one do mojej ukochanej córki, która umarła, jak mówią temu lat czterdzieści, być może, ale dla mnie jakby to było wczoraj. Zimnego serca Katarzyna Krebs utrzymuje szyszcząc ze mnie, że moja córeczka miałaby już teraz

lat sześćdziesiąt, być może, ale dla mnie ona zawsze jest młodą. Pójdź Lili.

Wzruszona Lili postępowała za nim w głąb chatki. Trzęsąc się ręką otworzył starzec szafę, w jakiej zazwyczaj wieśniacy prowincji nadreńskich układają lepszą bieliznę i koronki, które służą do chrztu i ślubu dla kilku pokoleń.

Zapach zaszuszonych róż i lawendy rozszedł się po izdebce, na policach leżało ubranie i welon do pierwszej komunji.

— Wszystkie te rzeczy do niej należały — mówił nieszczęśliwy ojciec — wiesz, czasami wieczorem zdaje mi się, że ona po nie przychodzi. Nic się na świecie nie zmieniło, ani kwiaty, ani drzewa, ani domy, ani staw, dla czegoż ona ztąd odeszła?

— Ojciec Antoni także nas porzucił.

— On był stary, ale ona jest młodą.

Jan pozostał chwilę przed otwartą szafą, uśmiechając się do myśli, której uporcezywie nie chciał się pozbyć.

— Patrz, oto jej ubranie, a to gałązka dzikiej róży, którą miała u boku w wilje dnia, w którym wóz ją przejechał, umarła. Ty jesteś trochę do niej podobna, Lili. Chcę ci dać klamry srebrne, jakie miała po swojej prababce. Bóg wie, jak one są dawne, a wypada ażeby młoda panienska miała klejnoty.

Lili otoczyła kibić swoją szerokimi klamrami i wyszła od Jana, płacząc nad cudzą boleścią. Srebrne zapinki były tak zimne jak ręka zmarłej, ale wkrótce dzieci węglarza nadbiegły i zarzuciły Lili pytaniami:

— Co to tak błyszczy? czy to Matka Boska ci to przysłała? pozwól mi to obejrzeć, pozwól mi się dotknąć, powiedziano, że to gwiazdy.

Lili zaczęła biegać z dziećmi, zapomniawszy o chwilowym smutku, pokazywała ciekawym sąsiadom klejnoty błyszczące na słońcu.

— Te klamry nie mają równych sobie w całej Brabancji, mogłabyś mieć za nie dużo złota od kupców starożytności — powiedziała Katarzyna Krebs — ale spuścizna po zmarłych przynosi czasem nieszczęście.

Lili bawiąc się z dziećmi, nie słyszała ostatnich słów Katarzyny.

Święto nie mogło się przedłużyć, jak do piątej rano. Bruksela oczekiwała codziennych zapasów. Wkrótce widziano Lili pod zwykłym namiotem, który dawniej osłaniał jeszcze ojca Antoniego od sloty i wiatru.

— Idź na plac Magdaleny — mówiono często do Lili — z twemi niebieskimi oczyma zrobiłabyś tam wkrótce majątek.

Ale ojciec Antoni nie chciał zmieniać ulubionego miejsca, a Lili wierna mu we wszystkim także się ztąd nie przeniosła.

— Bruksela jest ładnym miastem, otoczona lasami błyszczy powabnie swemi malowanymi domami, balkonami złotymi, rzezbami, herbami prawie na każdym domu, więcej ożywiona jak Gandawa i inne miasta północne, naśladuje Paryż i usiłuje przekonać obcych i swoich, że nim jest rzeczywiście, ale to tylko Bruksela wielkiego świata. Bardziej interesującymi w tym mieście są dzieła sztuki, zachowane w starożytnych pałacach. Przejdźmy się nad brzegiem wody i przyjrzymy się ożywieniu, jakie tu panuje, ale przedewszystkiem zatrzymajmy się na placu publicznym u stóp pałacu królewskiego, który wznosi się nad inne, w pobliżu ratusza, zbudowanego z całym zbytkiem i starannością śre-

dniowieczną, na jednym z placów najpiękniejszych w północnej Europie.

Na tym właśnie placu Lili miała swoje miejsce. Podziwiając surową piękność Broodhuis, arabski przesłicznie rzeźbione domów hiszpańskich, albo szyby okien katedry, mała kwaciarka zastanawiała się wiele nad nieznanym światem otaczającym ją, była przyciśnięta przy tem uczuciem swej nieświadomości.

— Gdybym wiedziała — mówiła sobie — gdybym się mogła uczyć!

Antoni Mais nie umiał jej nic więcej powiedzieć o pałacu Broodhuis nad to, że był wybudowany wcześniej niż żył jego ojciec, a o kościele świętej Genowefy, że jego matka wiele tam świec spaliła, modląc się za swego brata, który utonął, a jednak żaden archeolog ani artysta nie kochał tak Broodhuis ani kościoła, jak nieuczona Lila.

Opowiadano jej, że niegdyś przyszli wielcy ludzie ze świata i wybudowali te wspaniałe gmachy.

— Może kiedyś ktoś się znajdzie, co mi więcej o nich opowie.

Czekając na tego kogoś, sprzedawała Lili kwiaty poczciwym ludziom, którzy gwarzyli od rana do wieczora, a widząc ją przypatrującą się niebu albo wieżom, pytali: Co ona tam widzi? aniołów czy umarłych?

Dzień jej imienia był zarówno obchodzony w mieście jak na wsi. Sprzedająca drób przyniosła dla Lili jajek, cukiernik dał jej paczkę cukierków, handlujący zabawkami klatkę, szewe parę czerwonych trzewiczków, a kiedy zadzwoniono w kościele, zdawało się Lili, że to na jej intencje.

Ożywiony poranek prędko przeminął, było wiele obcych osób w mieście, a ci nie mijają zazwyczaj placu hiszpańskiego; sprzedawała więc dobrze i prędko swoje bukiety, zaledwo pozostało jej kilka różyczek, gdy dzwonek na anioł pański dał hasło powrotu. Lili udała się do katedry, aby podziękować Bogu, że jej dał tylu przyjaciół.

W pobożności Flamandczyków dziwna jest mieszanina poszanowania i poufałości; mówią do swego anioła stróża, do Jezusa Chrystusa, jakby do swych towarzyszy; ta religijność w sabotach jest w połowie śmieszna, w połowie wzruszająca, a wielka zupełną ufałością. Lili usypiała codziennie przekonana, że szesnastu aniołów flamandzkich otaczają i strzegą jej łóżka.

Przebiegając kręte ulice Brukseli, Lili zwracała na siebie uwagę przechodniów, nie domyślając się tego. Wiatr poruszał jej czepeczkiem jakby skrzydełkami motyla, a szerokie klamry kibić jej otaczające, jasno błyszczały na słońcu.

Na ulicy Marie de Bourgogne, ktoś oparty nie dbała na balkonie, widział ją przechodzącą, zszedł na dół i postępował za nią. Najpierw polysk paska zwrócił jego uwagę, potem spojrzął na ładne jej nóżki.

Dla Lili była to chwila decydująca o jej przyszłości. Był to jeden z tych przypadków, które kobiety nazywają przeznaczeniem.

Lili weszła do kościoła pustego o tej porze, skłoniwszy się przed wielkim ołtarzem, uklękła w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu. Z głową wzniesioną wpatrywała się w przesłicznie szyby, których bogate kolory błyszczały wspaniale, ożywione promieniami słońca, czuła ona piękność zgromadzoną w tym przybytku modlitwy, oddalonym od świata, gdzie była sama, sama, choć miała przyjaciół, bo blawatek polny nie ma s-

BOHATEROWIE GRECJI.

Z francuskiego przetłumaczył
WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

II.

Rok 1824 począł się groźnie dla Grecji. Sultán zawarł traktat z Mehemetem Ali, paszą Egiptu. Ten Piotr Wielki stref tropikowych*), zobowiązał się wytepić Giaurów i z góry otrzymał inwestyturę paszalików Kandji i Morei. Kiedy Mehemet Ali urządził swą flotę, którą powierzył swemu synowi i następcy Ibrahimowi paszy, Topal pasza, następca trwożliwego Abdallacha, opuszczał z nową flotą brzegi Bosforu. Miał polecenie, by zrównał z morzem (*sic*) wyspę Psarę, nim nadpłyną Egipcjanie. Psara była to strażnica Archipelagu; jej mieszkańcy napastowali czasem Turków aż w Dardanellach i nieraz brzegom Smyrny dawali się we znaki. Imię ich samo złościło Muzułmanów. Sultán, naiwny pan życia i śmierci, kazał sobie przynieść globus i pokazać ową wyspę Psarę, przedmiot nieustanny jego obaw. Gdy ujrzał ten mały czarny punkcik, rzekł dobrodusznie: „Trzeba go zmasać z przestrzeni morskich”.

Dn. 20 czerwca Topal pasza stanął naprzeciw Psary z taką masą okrętów, że morze schowało się pod nimi, według wersji starego majtka, który mi tę tradycję wspominał.

Psarjoci idąc tylko za głosem rozpacz, zebraли wszystkie swe okręta, gotowi do obrony najstraszniejszej. W czasie, gdy się walka pierwsza zaczęła, trzy okręta tureckie opłynęły wyspę, od innych stron nie bronioną, i na ląd wyrzuciły 10.000 Albańczyków. Nieszczęśni ci ludzie, którzy dotąd bez niczyjej pomocy ratowali się sami, ujrzeni się wzięci we dwa ognie okropne, i tylko rzeń w Scio może być z ich niedolą porównana, lub straszne epizody walki Suljetów. Widziano żołnierzy rannych lub ginących ze znużenia, zabijających się własną bronią, by nie wpaść w szpony wroga, starców zabijających się nad trupami swych synów, niewiasty rzucające się w morze ze swemi niemowlętami**).

Wreszcie 12.000 ludzi zamknęło się w warowni Paleocastron, w której był arsenał i prochownia; wpuścili doń 3000 Albańczyków, zapalili prochownię i sami z nimi wylecieli w powietrze. Kilkuset zbiegom udało się w łódkach przemknąć przez linje okrętów, udali się na Syre, Hydre i Egine.

W tym czasie rodzaj apatji zapanował na Hydrze. Majtkowie spoczywali na łonie rodzin. Gdy jednak pojawili się Psarjoci, opowiadając powyższe koleje losu — dzwony wszystkich kościołów zagrzmiwały, ludność oburzona, jak jeden człowiek rzuciła się, niesiona jak wzburzona fala chęcią odwetu. We dwie godziny Miaulis podniósł kotwicę i znalazł dość okrętów, aby on mógł działać. 30. czerwca wpadł na tylną straż turecką, będącą w Mitylenie. Zatopił dziewięć statków i śmiało stanął naprzeciw Psary. Wtedy admirał powstał

z miejsca, gdzie zwykle siadywał, i ujawniwszy wielką trąbę rozgłosną, zawołał głosem tubalnym: „Na ląd! na ląd! moi przyjaciele! śmierć albo wolność!” Na ten głos majtkowie rzucili się w swe szalupy i wylądowali z impetem niesłychanym, pod gradem kul tureckich. Zawiadła nimi dziwna potęga — wymordowali i zepchnęli ze skał w morze Albańczyków, którym Topal nie wysłał pomocy, i odplynęli, zostawiając pustkowie, zasiane trupami. Tymczasem dziki Ibrahim pasza zbliżał się ku Peloponezowi, i Topal pasza postanowił wyspę Samos nawiedzić w ten sam sposób co Psarę. Obawa zaczęła legnąć się w umysłach Hydrjetów. Skarbiec się wypróżnił, główne okręta były zniweczone. Zawahali się, czy wziąć udział w tej ostatniej walce, która miała ich zniszczyć zupełnie.

A jednak, jednak! entuzjazm bez granic owdłagnał ten lud wobec wielkości niebezpieczeństwa, i zwyciężył trwogę! Tłum ludu błagając Prymatów, by zebraли radę ostatnią, wpadł do domów tych, co się wahali i zmusił ich udać się z wszystkimi do monasteru Panegji*), gdzie rada stanęła i gromadnie zbroić się zaczęła. Poeta, Aleksander Sutz, radzie tej obecny, powiada, że mimo młodości swej prawie pacholecej, do głębi został przejęty widokiem tych posiwiatych senatorów, poważnych nie tylko wiekiem ale czynami zasługi, wotujących o losach ojczyzny z stoicznym mędrcom spokojem, wśród wrzawy i wrzaskliwych demonstracji tłumów. Lazarro Condurjotis przekonał, że opuścić Samos, to w skutku zadać cios śmiertelny Hydrze. Uzbrojono natychmiast 35 okrętów, gdy w Spezji wystawiono ich równocześnie 25. Psarjoci jeszcze na 10 się zdobyli mimo swej klęski. Rada ogólna, porwana zapalem publicznym, w chwili to uchwaliła. Teraz więc, zawołał spiżowym głosem Miaulis: „wejdźmy w nasze mury drewniane; one obroniły Grecję za dni Temistoklesa, one obronią ją i teraz!”

W początku sierpnia wypłynęli Grecy. Admirał skierował się ku Kandji, wysławszy podkomendnego Sachturis z trzydziestą mniejszymi statkami, by ściagał Topal paszę w kierunku Samos. Garstka Miaulisa przybyła z północy Kap Matapan (dawny przylądek Tenardos, dla burz, które tam prawie nie ustają, uważany przez starożytnych jako rodzaj bramy piekielnej. Skała ta, wyzierająca z potworną grozą nad odmetami fal spiętrzonych, od wieków bywała wybrana jako ustronie biednych pustelników, którym ta samotnia, odstraszała wszystkich groźnemi podaniami, dawała właśnie to, czego szukali — samotność**). Skały Matapanu są postrachem wszystkich żeglarzy, obok legend ludowych o demonach tego miejsca, nie brak niestety podań o niezliczonych ofiarach, jakie burze nieustanne od wieków tu pochłonęły***). Majtkowie utrzymują na serjo, że dusze tych utopionych pojawiają się nad wodami, wiejąc długimi girlandy i smutnie śpiewając o pewnych godzinach. Miał też Miaulis w tej sprawie północnej trudności z swą zabobonną za-

*) Panegja: obraz cudowny. (Przyp. tłum.)

**) Patrz o tem Lamartine: *Voy. en Orient.*

***) Jedną z nich przebyłem na statku „Trinagrja” z kapitanem Ferroni, jednym z najprzejmniejszych ludzi, który fortepian swego salonu ofiarował mi na usługi. Grając z godziną pod urokiem tego obrazu, dwa razy z siedzenia zwałony, wreszcie przeszła burza. (W drodze do Syrii: 1875.) (Przyp. tłum.)

logą, której męstwo wobec Turka nie miało nic wspólnego z trwogą, w skutek grozy zabobonu wszeźpioną. Poznała jednak załoga, że ta postać, która była ich postrachem, był to nie duch, ale pustelnik, który wiedzion pobożnym natchnieniem, błogosławił z góry na skałach stojąc ze szczytów Metapanu, celom pomyślnym ich trudnej a szczytnej choć na czas tragicznej żeglugi, uspokoił się, zwłaszcza dojrzawszy, że na górach rozniecił ognisko. I piękna chwila nastąpiła — trwoga żeglarzy zmieniła się w rozradowanie; wzięli to błogosławieństwo za dobrą wróżbę walki, rzucili się chórem na kolana wobec pustelnika, co z góry wznosił ku nim ramiona — a admirał odpowiedział dziekczynną salwą armatnią. (Winniśmy ten ustęp opowiadaniu wyżej wymienionego Leflerisa, weterana tej wyprawy.)

Miaulis spotkał Ibrahima paszę u wybrzeży Halikarnasu i został wzmocniony oddziałem Sachturisa, który właśnie osiągnął małe korzyści w utarczeniu z Topal paszą. Ten ostatni złączył się z Egipcjanami. Dwie floty muzułmańskie tworzyły razem 25 fregat, tyleż korwetów, 50 brików i schoonerów*) (schooners), mnóstwo łodzi taborowych, ładunkami brzemiennych, razem ze 200 masztów, niosących 80.000 ludzi, 2500 dział, prócz tego 5000 osób załogi i 70 armat dużego kalibru (*the history of the Greek revolution by Thomas Gordon general of division of the Greek army, and a zealous promotor of the cause. London 1844*). Ta cyfra zdaje się bajeczną wobec garstek ludzi, co z nimi walczyły. Historycy jednak tak Grecy jak obcy dawno uznali ten stosunek sił walczących do siebie. Trzeba przypomnieć sobie hordy medycko-perskie, co słońce przyćmiewały strzałami, a zostały odparte piersią grecką.

Pierwsza walka korzystna dla nas była 5. września 1824 pod Kap Gerontos, sąsiedni Miletowi. Topal pasza, który na szczęście Greków pokłócił się z Ibrahimem, dla uniemożliwienia mu tryumfu cofnął się i odplynął ku Dardanellom. Ibrahim usiłował sam się utrzymać, kierując się ku brzegom Messenji, ale admirał trapiąc go ustawicznie małemi napaściami, z dziwną zręcznością utrzymywał go w szachu, i wobec Kandji, za pomocą ognia greckiego, pozbawił najpiękniejszej fregaty i dwudziestu łodzi. Na tę wieść, trudną do uwierzenia, Egipcjanie zawrócili do Aleksandrii, robiwszy demonstrację pomocy, a Miaulis odprowadzając swą flotę prawie nieuszkodzoną, wrócił 12. grudnia do Hydry, gdzie go tryumfalnie przyjęto. Jenerał Gordon tę wyprawę uważa za najzaszczytniejszą dla Greków, a najfatalniejszą w skutkach dla Turcji, która w tej wyprawie znowu mnóstwo sił straciła marnie w skutek niedołęstwa wodzów.

Miaulis zaś utracił w różnych utarczkach 27 szalup palnych czyli burlottów i jeden większy okręt.

Ibrahim jednak nie spoczął w Aleksandrii: przewyższał on (czego dał później dowody na wschodzie) i zdolnością osobistą i zręcznością, wszystko co do swej dyspozycji posiadała Grecja. Postanowił on nękać ją trudami wyprawy zimowej. Plan ten zuchwały mimo trudności, jakie nastęrczał, posłużył mu znakomicie. Wypłynął z Aleksandrii ostatnich dni lutego 1825, a w sześć

*) Nie mając wyrazów szczegółowych marynarki, używamy gotowych. Język marynarski polski musiał istnieć częściowo i ciekawym byłby do zbadania.

(Przyp. tłum.)

*) Śmiemy go tak nazywać, później powiemy dla czego. (Przyp. tłum.)

**) Cytowano nam pewną damę, jak mówią, ciotkę Canarisa, przeszło 50-letnią, która trzy mile morzem przepłynęła i schroniła się, dopłynawszy, na Antiparos. (Przyp. autora.)

tygodni potem wylądował w 11.000 ludzi i 800 koni na brzegach Messenji w miejscach, gdzie stoją warownie Modon i Navarino, czyli Neocastron. Obległszy obydwie miasta, wysłał 50 brygad dla opanowania Sphakterji, wyspy długiej a wąskiej, która zamyka długą cieśniną półkółła amfiteatralne Nawarinu, tak, że tylko u dwóch kończyn wyspy, od południa i północy, można w środek wpłynąć. Sphakterja miała 8 dział i 350 żołnierzy pod wodzą Tsammadosa, przyjaciela Miaulisa. Słaba ta załoga przez 12 godzin walczyła z przemocą. Ku wieczorowi, ci co wyszli cali z tego dnia straszliwych oparów, rzucili się w łódki i zmyliwszy czujność wroga, popłynęli nocą na brzegi Morei. Naprzód przed odpłynięciem błagali wodza, by z nimi odpłynął. Rzekł im te pamiętne słowa, które wspominają fale Archipelagu: „Uchodźcie, dzieci moje, i powiedzcie na Hydrze, że Anastazos Tsammados dobrze zginął“.

Sam pozostał, z nim wierny mu Sabinis i kilku najprzywiązańszych żołnierzy, poczem zamknął się w warowni, zapalił prochownie i wysadził się powietrze. Na wieść o zbliżaniu się Ibrahima, Miaulis, którego napastowała silna podagra, na noszach przeniesić się kazał na okręt i z 20 statkami odpłynął ku Nawarino. Straszna burza, z którą chory się szamotał, nie dawała mu się zbliżyć ku Sphahterji z odsieczą.

Gdy tenże (Miaulis) dowiedział się, że Tsammados zginął, uczuł boleść okropną: ukrywając twarz w obie dłonie i nacisnąwszy fez pasowy aż na oczy, co się tylko w chwilach wielkiego wzburzenia lub żalości u niego zdarzało, poprzyściął druha pomścić gromem własnego ramienia. Zrazu chciał w nocy rozplomienić wszystkie okręta tureckie. Próżno Kriesis i inni młodzi kapitanowie pomoc i zemstę ofiarowali jego serdecznemu oburzeniu, których stać było na to, by je pojęli i uczcili; próżno przedstawiali sędziwemu mężowi, że sił nie ma po temu i że obowiązki admirała, tam, gdzie niezbędna jego komenda, poświęci funkcji, którą kapitan spełnić może. „Cóż to, myślicie, zawołał głosem stentora, że ramię moje nie potrafi cisnąć gałki płomiennej? Prawo pomszczenia tego, który zginął, „do mnie“ należy!“

Jednak, dowiedziawszy się, że Ibrahim opuścił Nawarino, by się udać do Modon, zmienił zamiar i z pomocą silnego wiatru północnego wpadł niespodzianie na Turków w chwili, gdy wpływali do portu. Ci szybko podnieśli kotwicę w celu wrócenia na pełne morze; ten sam wiatr jednak, który pomocny był Grekom, przeszkadzał im w dokonaniu zamiaru. Miaulis z lwią zaciekłością działając, spalił im wśród wichru wielką fregatę, sześć brygad i dwadzieścia większych łodzi; wspanialszej ofiary nie mógł poświęcić pamięci swego przyjaciela.

W ciągu tego roku (1825) trzykrotnie admirał zasilił Missolonghi, walczące rozpaczliwie. Po raz czwarty naprzód usiłował to uskutecznić, i krążąc jak lew ryczący do koła Missolonghi, po długich usiłowaniach odpłynął zrozpaczony. Mieszkańcy tej metropolji bohaterstwa, będący pod wodzą Marka Botzaris i generała Karaiskakis *). W ścisłym naszym szkicu, nie możemy szczegółowo opisać tej uciążliwej kampanji admirała,

*) Ostatni poległ w pobliżu Aten. Ztamtąd byłem pieszo u jego pomnika, gdzie poległ.

(Przyp. tłum.)

z tegoż powodu nie będziemy mu towarzyszyli w licznych utarczkach, jakie wciąż z rozmaitem szczęściem i skutkiem miewał z Turczynami przez dwa lata, aż do 1827 roku, w którym nieszczęsne wyspy napadane, dziesiątkowane, wycinane i łupione bez ustanku i miłosierdzia ludzkiego, byłyby musiały mimo czynów obrony, któreśmy widzieli, upaść pod brzemieniem okrucieństwa; gdyby Francja, Anglja i Moskwa (chcąc Turcję osłabić i w skutku obalić) nie były się „wreszcie“ porozumiały w celu wydarcia Morei szponom ambitnym Ibrahima paszy. Wiadomo, jak bitwa pod Nawarino w kilka godzin zniweczyła flotę turecką.

II.

Helleni, wybawieni prawie od barbarzyńców, o mało przez nieszczęśliwe sprzeczki, do których mają pełną krzykactwa skłonność, przez nieszczęścia niewoli jeszcze spotęgowaną, o mało nie postradali i sławy i owoców tyloletnich bohaterskich zapasów. Dowiedli, że nie uronili nic z patriotyzmu praocjów, dowiedli niestety, że odziedziczyli także ich błędy. Małe prowincje Grecji przedstawiały ów obraz waśni wzajemnej, jaki tak często widziano w małych, współzawodniczących rzeszypolitych. (Wielki i straszny przykład dla innych narodów, co przebywają te koleje). Rumeljoci i Peloponezjanie, nie mając już sposobności ku przelewaniu krwi własnej i gromieniu wzajemnego wroga, poczęli wzajemnie uważać się za obcych sobie i cudzych ludzi, i bandy koczownicze z wojny pozostałe, jednych i drugich, nieraz krwawo się ścierały dla błahych powodów. Wodzowie najstłanniejsi nietylko mężstwem ale i zaparciem osobistym, poczęli kłócić się o władzę — i o wstydzcie! doczekano, że taki Griwas, broniący dzielnie warowni Palameda, zużył resztki prochu i kul na wroga niewystrzelanych, przeciw osobistemu wrogowi Stratos, który w pobliżu portu zajmował mały fort Itsch-Kale.

Co do wysp, obaczmy później, jak utraciły przez niezgodę te święte ogniwa miłości współplemiennej, które zawsze łączyły ich z sobą w nieszczęściu. (Dok. n.)

Czem jest wiedza i jakie jej znaczenie w wychowaniu.

Przez

Ksawerego Pietraszkiewicza.

Trzy główne środki dążenia do prawdy dane są nam opatrnie: wiedza, wola i uczucie, a wyższy ich stopień — wiara, nadzieja i miłość, dla tego w celu pedagogicznym bliżej je poznać powinniśmy. Ograniczymy się jednak na tem tylko, co koniecznym jest dla naszego przedmiotu, przedstawimy tylko ostateczne wywody z psychologii. A na psychologii opierać się musi cała budowa wychowania, bo jeżeli ta tylko praca się udaje, która na wiadomościach przedmiotów się opiera, tem więcej trudno wychowywać człowieka bez poznania własności jego ducha. Te własności muszą się równoważnie, jednocześnie rozwijać, wszakże musimy o każdej z nich mówić oddzielnie, bo takie są warunki naszego poznawania, że częściami wyjaśnia się przedmiot, nim się złoży prawdziwe o nim pojęcie.

Zacniemy od wiedzy. Jest to władza naszego ducha, przez którą wiemy, iż jesteśmy sami

sobą, a nie czem innym; przez to wyłączamy siebie ze wszystkiego, co nas otacza. Wiemy o sobie, a więc i o tem co za nami, stajemy się zatem osobą, nazywamy siebie ja. To ja o całą nieskończoność zrywa nieprzerwany łańcuch stworzeń, dając człowiekowi godność istoty rozumnej, świadomej siebie. Te godność wprowadzie dzisiejsze teorie chcą poniżyć dla dogodzenia dogmatyzmowi naukowemu i wiązą człowieka ścisłym ogniwem z resztą stworzeń, wyprowadzając jego genealogją od małpy. Nie mówię ile na takiej nauce straciłaby ludzkość, bo cóż zobowiązywałoby ją, mając takiego protoplastę; ale chce zwrócić uwagę, że takie teorie, pomimo wytrwałej i żelaznej pracy ich wynalazców, oparte tylko na samej wiedzy, pochodzą z niewiedzy, przez wiedzę bowiem nie tylko człowiek wie o sobie, ale coraz więcej postępuje dziejowo, bo ma wiedzę przeszłości. Małpy jak były przed lat tysiącami, zostały zawsze te same, bo nie mają wiedzy o sobie, a więc i wiedzy przeszłości, a na przeszłości buduje się tylko przyszły postęp. Dla nich zawsze czas teraźniejszy, jak to się zdarza i między ludźmi podobnego kroju, owszem narody całe giną, zagubivszy swą przeszłość. Historia stoi na straży bytu narodów. Przypisują wprawdzie zwierzętom wiedzę, dostrzegając w nich jakieś ślady rozumu, pamięci, ale to tylko instynkt, jak to często uważać możemy na samych sobie: zajęci mocno, przypuścimy, jaką myślą lub rozmową, w tym danym czasie bezwiednie, przez nawyknięcie, a raczej instynktowo wykonywamy czynności, szukamy czego nam potrzeba, znajdujemy i używamy celowo, rozumnie, i wcale o tem nie wiemy nawet i później. Taki stan ciągle jest zwierząt, tylko nie z powodu zajętego czem innym umysłu; taki stan ciągle bezwiedny nie pozwala na ich postęp.

Przez wiedzę człowiek nietylko wie ale wie o tem, iż wie; wiedza więc jest cechą jego nieśmiertelności, bo jest bezwarunkową sama w sobie, ale jako forma. Ugląda więc ideę sprawiedliwości czystą, bezwzględną i jak formy świata zmysłowego, przestrzeń i czas, dają matematykę, tak wiedza, jako forma daje matematykę świata duchowego, loikę. Jednakże w treści swej, w woli jest zawarowaną. Może ująć nieskończoność w kilku wyrazach, w kilku znakach, jak nieskończoność liczb naprzykład, ale wiedzieć musi o swem zawarowaniu, bo to jest warunkiem wiedzy o nieskończoności. Kto nie wie o swej ograniczoności, ten, że powiemy potocznie, prawdziwie jest ograniczony. Kto zaś może powiedzieć z Sokratesem: „wiem, iż nie wiem“, ten musi bardzo wiele wiedzieć, bo stanął na takiej wyżynie, skąd nieskończona widownia odkryła się przed jego duchem i mógł porównać jakie to małe co wie, z tem co widzi, a nie zna jeszcze.

Przez wiedzę człowiek nietylko wie o tem, iż wie, ale wie, iż chce, iż czuje; owszem kiedy nie wie, to i chcenie i uczucie, a nawet zmysłowe czucie ginie. W największym zgiełku częstokroć nic ani widzimy ani słyszymy, zajęci mocno czem innym; wśród największego zimna nie uczujemy chłodu, dopóki nie zwrócimy uwagi, zatem wiedzy naszej na zimno. Wiedza zatem daje niejako byt i woli i uczuciu i zmysłowemu czuciu; tak właśnie formy zmysłowe, chociaż formy, dają niejako byt tak nieskończenie rozmaitym przedmiotom, a bez nich chaos by tylko panował.

BOHATEROWIE GRECJI.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Dokończenie.)

kolwiek obywatele, ale się nagrodzi. Myśmy dotąd... *) Austriacy zachodzą i boją się, żeby oni nie przeszkadzili zupełnie dowożeniu żywności, jak już zaczynają, przeto komenda Sierakowskiego powinna dać baczość i tego nie dopuścić; tudzież obawiam się także, aby nie szli ku Warszawie. Ściskam serdecznie.

T. Kościuszko.

19.

Do tegoż.

Dnia 30. sierpnia.

Nie życzyłem ja ani rozkazuję, aby się rozdzielały na części wojska nasze, w jednym tylko przypadku wtargnienia do Prus; owszem chcę, aby dywizja Sierakowskiego wzmocnioną była przez część albo całkiem od kolumny koło Grodna stojącej, w celu oparcia się Moskalom i Austriakom, gdyby atakowali, których **) biorę także za nieprzyjaciół, albowiem posuwają się do Brześcia i już mieli z nami utarczkę, z której korzyści mamy 60 jeńców zabranych przez komendę generała Baranowskiego; ale jego jest mała komenda i obawiam się, że uledek będzie musiała przemocy, a zatem spieszyć się potrzeba dla przybliżenia się do Brześcia i wzmocnić ją. Co do ekspedycji do Prus, spieszyć się potrzeba koniecznie, aby dywizja Wawrzeckiego ciągnęła Prusami i przybliżyła się do swoich, a gdyby się jej poszczęściło, aby powiększała siłę swoją. Obrót prędko komend naszych może zmienić odmianę okoliczności i porażenie nieprzyjaciela. Mówiłem dawniej, iż pozycja dla dywizji Sierakowskiego najlepsza jest z tej strony Brześcia, tak dla wstrzymania Moskwy jak i Austriaków, a wzmocniony innemi komendami w stanie będzie przełamać przemoc nieprzyjacieli. Bić się nam potrzeba, gdy okoliczność dozwoli, i rozkaz używać na to wszelkich przemysłów, dawać serca i odwagi. My się tu już bili dwa razy ***); stracił Prusak ze wszystkim do dwóch tysięcy. Niewiem jak dalej będzie, jak szczęście nam posłuży; w ekspedycji wczorajszej 9 armat zagwoździliśmy. Ściskam serdecznie.

Dla deputacji centralnej obierz miejsce i oznajm im, gdy się nie mogą sami zgodzić.

T. Kościuszko.

(C. d. n.)

*) Sens niedokończony na pierwszej stronie listu. Druga zaczyna się od słów: „Austriacy zachodzą” itd.

**) To jest Austriaków.

***) Mowa o bitwach 26. i 28. sierpnia; w jednej odznaczył się ks. Józef Poniatowski, w drugiej Dombrowski.

Miaulis długo trzymał się na uboczu, a gdy 1828 zgromadzenie w Hermionie dla przecięcia wrzodów tych niezgód wodzów, który kraj toczył poczynił gorącą wojnę domową, oddało komendę nad armją lądową generałowi Church, a morską lordowi Cohrane, natychmiast podał się do dymisji i postanowił służyć jako prosty porucznik.

List jego do członków rządu narodowego nosi cechę wzniosłości duszy i charakteru. „Oto siedem lat, pisze, jak nieustannie walczę z nieprzyjaciółmi kraju. Ani uczucie niedoleźstwa, ani brzemień ciężaru, który dźwignąłem, nie są powodem mego usunięcia się, bo powinnością dobrego obywatela, wszystkie siły użyć dla kraju. Od dawna kraj potrzebuje człowieka, któryby niesnaskom wewnętrznym koniec uczynił. Mąż ten się pojawił*), wieszuję krajowi, że go dla siebie pozyskał. Marynarka nasza wiele się może od niego nauczyć, ja sam rad spieszę pod jego rozkazy, gotów do walk, jeżeli będą potrzebne z siłami, które może nie dopiszą, ale z sercem, co je zawsze staczać gotowe”. (Trikoupis, dokumenta oficjalne, tom IV.) Odtąd Miaulis sędziwy oddał się z całą energją wytepieniu korsarstwa, które nie ustalo z wojną, dającą im wybory pozór działania i nawet rację bytu. Miłość awantur i życia koczowniczego, co dla utrzymania się w środkach nie przebiera, wyrobiła się w rodzaj legitymizmu zbójckiego, prawie niepodobnego do wykorzenienia.

Po oczyszczeniu z nich Messenji, wrócił do rodzinnej Hydry, kędy wznosił dom wspaiały, wystawiony i urządzony na wielką skalę europejską, wówczas, gdy jeszcze był bogatym. Pragnął tam „dosnuć życia wątku” — gdy nieprzewidziane okoliczności jeszcze nim na fale Archipelagu rzuciły, na widok straszliwego pożaru. Kilka słów wystarczy dla opisu tego zdarzenia. Rządy hrabiego Kapodistrias od pierwszej chwili wznieciły niepokój, głównie w Hydrze, gdzie ton nadawali Conduriotis i Mauracordato, a gdzie publicysta ruchliwy i popularny Polyzoides wydawał dziennik Apollon, wszędzie się rozchodzący. Organ ten, będący echem opinii powszechnej, głośno z wszystkimi oskarżał Kapodistrijasa, że jest ślepe i niegodziwe narzędziem polityki moskiewskiej. Miaulis nienawidził Moskali, nawet wówczas, gdy zbawców jego narodowości poczeli udawać.

Pamiętał fatalny koniec wyprawy 1770, choć bardzo był młody wówczas i z wzgardą zgrzytającą wspominał jak Orłów jeden i drugi odpłynęli z Peloponezu, na łup go haniebnie wściekłości tureckiej zostawiając. Podzielał więc niedowierzanie i nieukontentowanie Hydrjotów, które wkrótce w otwarty bunt wybuchnęły. Komisja zwana konstytucyjną, została na Hydrze ustanowioną przez gerontów Archipelagu. Capodistrias dotąd cierpliwy, postanowił gwałtem to stłumić, rozkazał szybko uzbroić flotyllę państwa w Poros zebraną, złożoną z fregaty o 64 działach, zwanej Hellas, z kilku korwet, dwóch nowych parowców i kilku burlottów. Te statki skupione

*) Lord Cohran, który wrócił z Brazylii i gorliwie oddał się sprawie greckiej.

tu i owdzie, stanowiły nową flotę młodej Grecji, a raczej jej przyszły zawiązek. Na wyraźne zlecenie demogerontów Hydry, Miaulis szybko wypłynął z 200 majtków do Poros i w towarzystwie Hydrjotów opanował arsenal i okręta państwowe. Miał zamiar zabrania ich do Hydry i wyczekiwania końca sporu między narodem a satrapą (1831). Sławny Canaris dowodził korwetą Spezzia. Hydrjoci pochwyciwszy go, przed Miaulisa stawili. Dziwny to obraz pełen znaczenia. Admirał Miaulis napróżno usiłował Canarisa przeciągnąć na swą stronę — gdy nie mógł, wrócił mu wolność i podał rękę do zgody. Ponury Canaris ręki nie podał admirałowi i oddalił się.

Stary Miaulis do żywego tem oddaleniem przejęty, jak mówią, zalał się łzami. Kapitan moskiewski Ricord zażądał od Miaulisa zmiany działania i groził; ten zaś odrzekł, że groźb się nie lęka i że rozkaz demogerontów jest mu świętym, że skoro wyspa jego przestanie być zagrożoną, odda wszystkie okręta, a pierwej, jeżeli go zaczepią, gwałt odeprze gwałtem. Otrzymał drugie groźniejsze napomnienie; oficer moskiewski, co je przyniósł, byłby został rozszarpanym przez majtków, gdyby nie powaga admirała. Moskal stanął pod Poros. Trwoga skłoniła mieszkańców do poddania*). — Miaulis, człowiek zasad niezłomnych, nie mając czasu się uzbroić, powziął postanowienie okropne, spalania raczej floty, niż wydania jej Moskalom, i odbieżyony od swoich, tym kilkunastu co z nim zostali, oświadczył, że gotów raczej się wysadzić prochem, niż poddać i popaść w ręce Moskali. Ricord odpowiedział strzałami, a bezbronny admirał zapalił korwetę Hellas i Spezzia, które zginęły w falach z grzmotem przeraźliwym. Skoczywszy w łódkę z towarzyszami, cudem dopłynął do Hydry pod gradem kul moskiewskich. Czyn ten wywołał równocześnie cały chór pochwał i nagan. Nie był ani heroicznym, bo pozbawił Grecję części zawiązku floty, ani zdradzieckim, bo nieugięty starzec tak działając, sądził, że stoi na posterunku, danym mu przez radę demogerontów — oni wiec tu odpowiedzialni. Dziś Grecy sądząc spokojnie ten fakt odległy, przypisują go raczej wulkaniczności nagromadzonych elementów, tworzących się w nowej społeczności, co w takim razie prawie zawsze z pewnemi zmianami się pojawia. Pożar zaś Poros nie nie ujął chwale Miaulisa w pamięci jego ziomków, którzy wiedzą dobrze, ile ich sprawa dłużna mu wdzięczności za tyloletnie, bohaterskie, niezmordowane zasługi. Zdarzenie to zamyka tragiczne pasmo życia słynnego żeglarsza, którego ostatnie lata minęły w zaciszu domowym. Był on jednym z posłów, których Grecja wyprawiła r. 1832 do Monachjum dla powitania nowego króla. Obejście jego pełne godności, surowość obyczaju i postać imponująca, sprawiły nadzwyczajne wrażenie na małym dworze niemieckim. Zakończył żywot rycerski w Atenach 1836, mając prawie lat 90, ubogi, jak największa część tych, co byli wodzami w walce o niepodległość. Kosztem państwa był pochowany, na samym krańcu spiczastym Pireusu, wobec rozwartego widoku morza, i tuż obok starożytnego urwiska, które Grecy zwał grobem Temistoklesa. Godniejszego miejsca nie mogła mu dać ojczyzna. Ateńczycy z jedną dumą wskazują skalę, w okolicy której podanie każe krążyć oieniom zwycięzcy Salaminy, i ka-

*) Tu sęk — jak to pogodzić z tylokrotnem bohaterstwem? (Przyp. tłum.)

mień, co jest stróżem popiołów nowoczesnego bohatera Archipelagu. Pamiętamy nadzwyczajną cześć i popularność, wiążącą się do takich nazwisk, jak Miaulis, Botzaris i kilku innych. Europa w ich postaciach, z zapalem przyklaskiwała prawdziwym potomkom w prostej linii „duchowej“ bohaterów starożytnej Hellady. Jak zwykle w sprawach ludzkich bywać zwykło, szybko po tym zapale nastąpić miało rozczarowanie i obojętność. Wyobrażano sobie, że Grecja zejdzie jak słońce nowe w dziejach XIX wieku, z wszelkimi splendorami, cnoty i chwałą starożytności; zapomniano jednak o tych czterech wiekach, w których opuszczona jęczała i zdziczała pod obuchem tyrauna; że barbarzyństwo i noc umysłowa z braku oświaty opanować musiały w skutku te nieszczęsne masy, którym jak znicz święty w ciemności został z wszystkich skarbów ojcowskich jeden święty instynkt niewytopiony, co je wyratował: patriotyzm wrodzony. Nie zważano, że po heroizmie, któremu oddano sprawiedliwość (dla tego, że świetnie zwyciężył), nastąpiła usilna a mrówcza praca organiczna około odrodzenia społeczności, praca mimo swej niepozorności wielka i czcigodna, długa, trudna, ukryta i wszelkiej strony efektywnej, której świat potrzebuje, by mógł podziwiać, pozbawiona. Gdy zważymy, że wypędzeni Turcy zostawili kupę gruzów po sobie, wśród której błdziła ludność w nędzy, bez promyka oświaty, wielkiej a odległej przeszłości prawie nieświadoma, acz instynktowo ją poczuwająca w walkach, co ją zdziśiatkowały, wejdzmy łatwiej w położenie rzeczy. Porównawszy Grecję dzisiejszą z Grecją 1828, nie można nie przyznać, że zrobiono to, co zrobić było podobna w ścieśnionych granicach i przy środkach skąpych cywilizacji, którą zaszczerpiła dyplomacja europejska. Z rządem reprezentacyjnym i ustawami liberalnymi, któremi się cieszy, Grecja powstała z ruin, znalazła pokój, porządek (?) i bezpieczeństwo. Handel jej wzrósł do wielkich rozmiarów, miasta jak Patras, Missolonghi, Korynt, Teby, Argos, Ateny powstały z zgliszczów i przedstawiają obraz kwitnącej pomyślności*). Obecnie, 5000 okrętów, w których 40.000 majtków pracą zdobywa pomyślność, przepływają Ocean i Śródziemne morze, z bogacając porty Patrasu, Spezzji, Halkis, Galaxidis, Poros, a nadewszystko Syre, która jest punktem ciężkości, do koła którego grupuje się siła morską Grecji.

Równie intelektualnem odrodzeniem i szybkością rozwoju młodej myśli, naród grecki podąża do zrównania się z narodami oświeconymi. Grecy licznie oddają się naukom, literaturze, umiejętności, a zwłaszcza poezji z szczególnem zamiłowaniem. Wszystko co myśl porywa, co uśmiecha się wyobraźni, ma dla nich szczególny powab. Dowód młodości. Gdy seniorowie wyzwolonego narodu zgromadzili się pod mirtami i pomarańczami, kiedy niegdyś Perypatetycy wymawiali imię Sokrata i Platona, wśród pierwszych żądań jakie sobie sami postawili, było założenie jak najliczniejszych szkół i krzewienie oświaty. I tak się stało. Wśród najuboższych klas ludności zakwitły szkoły**). Dziś Grecja szczyci się 400 za-

kładami, w których 50.000 uczniów się kształci*). Jeżeli Grecja w tych granicach, jakie ma, nie może czynnie działać na zewnątrz, jest przynajmniej ogniskiem, u którego zestrzelają się siły, mające kiedyś w przyszłości wyrzucić wpływ odradzający na Wschodzie. Grecy ufają, że dzieł ten niedaleki, pilno im rozszerzyć swe granice i przyspieszyć wyzwolenie szczepu helleńskiego, rozgależonego po całej Turcji europejskiej. Jakiegokolwiek cierpliwości czas wymaga w tej mierze od ludów chrześcijańskich w tem położeniu będących, uświecone poczucie narodowości i praw jej wieczystych nigdy w nich nie wygaśnie, choć Europa o własny pokój trwożliwa, dziś im ręki nie poda. Grecji równie jak innym rzeczom jest wyczekiwanie, wyrabianie sił moralnych i materialnych, wytrwałe, spokojne przetrwanie aż do czasu, gdzie złe pożre się własnymi skutkami, a Grecja prędzej czy później powołaną będzie do zajęcia miejsca i wywarcia wpływu, jaki jej na Wschodzie przynależy i za który tak niezłomnie walczyła.

Zakończenie.

Tu koniec trzech pięknych życiorysów, których autor nam osobiście nieznany i nie wiemy czy dotąd żyje. Książkę tę czytamy na pełnym morzu, kiedy brzegi Albanji i lica wysp Jońskich, lesisty homeryczny Zakintos, Kefalonja, Itaka, Santa Maura i rajskie Korfu kolejno nikły w mglistej powłoce, przełożyliśmy nie tyle dla indywidualnego w jej zaletach upodobania, ile dla pewnej analogji jej a naszych historycznych w walce postaciach. Czy dawniejsi bohaterowie Polski Czarnieccy, Żółkiewscy i Sobiescy mniej imponują od starożytnych Temistokłów i Arystydesów? Czy późniejsi Barscy nie równie wiele jak ci Bizancy, co legli na murach Konstantynopola z swym ostatnim cesarzem? Czy Somosierra ustąpi Termopilom miejsca? Nie! bo słusznie wyrzekł Niemcewicz:

Któż kraina tak jest oddaloną,
Aby krwią naszą nie była zbroczoną?

Czy wreszcie idąc myślą w ostatnie czasy, co raz większe zasługą, bo coraz trudniejsze, taki Marko Botzaris, pewnie wielki mąż, niezazdrościłby ceniom Kościuszki i Pułaskiego? A czy nie wspanialsze nad to wszystko nieuczczone dotąd postacie takich Padleskich, Sierakowskich, Mackiewiczów, Iszorów, Frankowskich, Lelewelów, Narbutów, Ruprechtów, wszystkich „Miechowitów“, i tylu bezimiennych? Czas nieuczczenia tych ludzi mija, ogół w tej mierze wstręt swój okazał, więc o tem nie mówmy więcej, bo na szczęście nie sprawa, ale tych, coby jej zapasów krwawych uczyć nie byli godni, szatą Jafetów przykryć należy, i to miłościwie i bez szyderstwa, co tak zaraźliwe, a w skutkach równe psu wściekłego zębom. Błędy walki podniesiono aż do atomów, funkoja smutna odbyta; czas, by z kolei znalazł się historjograf, coby przed oczy nasze postawił przymioty i męczeńskie te postacie, jak Yemenis swych Greków, nim zmierzchnie otoczy. „Gdyby byli z wy-

ciężyli tak jak polegli, świat byłby ich ubóstwiał!“

Umieili Grecy wyżej cenić swych ludzi, i w tem ich chwała. Miłość narodu była tem słońcem, na którym dojrzały wielkie postacie, jak wielkie drzewa, co cień wdzięczny dziś rzucają, bo kamienie żaków nie obijały im czoła, strzeżonego przez naród. Pragnęliśmy równie przekładem tej książki pomódz do zaprzeczenia fałszów, szerzonych tak serdecznie o tym narodzie, co dopiero od lat trzydziestu może się uczyć czytać swobodnie. Naród, co wydał powyższych trzech mężów, nikczemnym być nie może. I dziś ten kraj ministrów wiarołomnych publicznie osądził i ukarał, jak nie bywają w takich razach karani w potężnych krajach oświeconej, „a tak moralnej“ Europy. Charakterystycznym jest, że demoralizację w narodach uciemienionych szczepi uciemienie, a potem uciemienionym miota je w oczy! Rzymianie wynaleźli przysłowie: „Greca fides“, a jakąż była ich wiara?! Mniej wiary mają wynalazcy tych przysłów, niż ci, na których karb je wynajdują. Celuje tem głównie książka pana About, której przeciwstawimy dzieło pana Yemenisa. Autor francuzki nadto zdradził osobistej nienawiści, ziejającej z każdej kartki, by mógł zaszkodzić. Dowiódł swego czasu zrecznie i cyframi, których logice przeciw samemu sobie się wierzy, niechybnego upadku Grecji w przyszłości. Kto jednak widział w przeciągu lat kilku powtórnie Ateny, prawie widzialnie rosnące, ten pozna, że nawet cyfry są mylne.

Książka pana Yemenisa zawiera czwarty życiorys Teodora Colocotronis, nie mniej piękny i ważny, którego dla braku czasu nie przełożyliśmy, może nas kto z czytelników w tem wyrezyzy*). Mieści ona jeszcze rozdział o nowoczesnej literaturze i nowych poetach greckich. Ta gałąź więcej już znana z przekładów, i nie mieliśmy odwagi mimo całej przyjaźni dla Grecji mówić o niej wobec literatury Sofoklesa i Homera.

Mimo wszelkich wad, jakich sam autor nie zapiera w swym narodzie, mimo wszelkich możliwych zarzutów, sympatycznosci Grecji obok wspomnień heroiczych i estetycznych, będzie zawsze polegać na tem, że i sam szatan nie zaprzeczy, iż największa z cnot narodowych, patriotyzm, jest Greków najprzedniejszą cnotą.

Kiedy zacny starzec i Grek prawdziwy, pamiętny tych bojów, pan Leonardos, wyprawiał mnie z Aten do Lamji, obdarzonego listami, strażą wojskową, niezbędną w tych miejscach, i poleceniami ówczesnego ministra Zaimis, widząc kłopot mój z powodu, że nie miałem środka odwzajemnienia się za tyle grzeczności, rzekł do mnie: *Vous rendez cela a la pauvre Grece.* Tak! na tymczasem niech mu te słowa ta drobna praca przypomni.

Czerwiec 1876 r. Wróblewice.

PARA SABOTEK.

Powieść przez Ouidę.

(Ciąg dalszy.)

Przy tem okienku kobieta bardzo stara wykluwała szpilką deseń koronki na grubym papierze. Lili rzuciła się jej na szyję.

*) *La Grece Moderne* p. Yemenis. Paris, Lety freres.

*) Patras i Ateny tak, Teby i Sparta jeszcze, o innych i dziś niepodobna tego powiedzieć. Korynt jest osadą kilku mizernych lepiasnek pod strażnicą Akrokoryntu. (Przyp. tłum.)

**) *Instruction publique en Grece* p. Ampere. *Revue d. deux Mondes* 1. avril 1843.

(Przyp. autora.)

*) Dodalibyśmy, że niestety zapomniano, spuszczać się na drogi morskie, co zewsząd otaczają szczęśliwy kraj, o drogach lądowych; one są arterjami cywilizacji; i tylko ten, kto je tam przebywał, wie, jak są nieprzebyte, i że są podporą naturalną rozbojów. (Przyp. tłum.)